tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 28 (1174)
4-10.07.2022
Cena 8,90 zł
(w tym 8% VAT)

WALDEMAR WITKOWSKI
MAM ZŁE ZDANIE O POLITYKACH

SKĄD GEN. JARUZELSKI WIEDZIAŁ O ZAMIARACH ZSRR?

WIESŁAW KOT KINO LETNIE DLA WYMAGAJĄCYCH

JACEK PAŁKIEWICZ
PODRÓŻE NA KRAŃCE ŚWIATA

CO BIDENOWIE ZAWDZIĘCZAJĄ ZEŁENSKIEMU?

Hunter Biden

Joe Biden

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
28 >
9 771509 311201

STODOLA more than live music

Kazimiernikejszyn

wydarzenie bez spinki

KAZIMIERZ DOLNY

13-17 LIPCA 2022

• WCHODZIMY W DRUGĄ PRĘDKOŚĆ BEZSPINKOWĄ •

ZALEWSKI
DARIA ZAWIAŁOW
T.LOVE
RALPH KAMINSKI
MROZU
ØRGANEK
MERY SPOLSKY
L.U.C & REBEL BABEL
MAJKA JEŻOWSKA BAND
ANIA RUSOWICZ
GOORAL // PAPRODZIAD
RAT KRU
SHATAQS

BILETY DOSTĘPNE NA: **WWW.STODOLA.PL** ORAZ **WWW.TICKETCLUB.PL**

@KLUB.STODOLA **@KLUB.STODOLA**

eprasa.pl d48cff2080

Jerzy Domański

Będą wybory albo nie

Wzmożona aktywność prezesa Kaczyńskiego to początek bardzo długiej, bo ponadrocznej, kampanii przed wyborami parlamentarnymi. Albo przygotowanie partii do wcześniejszych wyborów. Na wypadek, gdyby sytuacja międzynarodowa, a zwłaszcza przebieg wojny na Ukrainie sprzyjały mobilizacji społeczeństwa wokół tej władzy. To, że PiS będzie chciało te obawy i poczucie zagrożenia wykorzystać, jest oczywiste.

Podobnie jak to, że najbliższy rok będzie dla Polaków najgorszy od lat. Rosnące koszty życia, inflacja i droższe kredyty będą coraz bardziej realną zmorą, zwłaszcza dla tych rodzin, które już przed kryzysem żyły na styk. Tym bardziej warto docenić programy pomocowe, jakie rząd do nich kieruje. Bo nie sądzę, by taką drogą szli liberałowie z opozycji. Pamiętamy, że gdy za ich rządów były problemy bytowe, to ludziom zasługującym na pomoc najczęściej mówili, że pieniędzy nie ma i nie będzie. I nie było. Do wyborów.

Niemosie zostały odesłane do opozycji. Nieprzygotowani i rozleniwieni nie wykorzystali czasu, którego w parlamencie mają pod dostatkiem. Co od nich przez te lata dostali wyborcy? Utyskiwanie, jałowe narzekanie i konferencje… przy stoliku dziennikarskim w Sejmie. To miejsce znane jest każdemu widzowi z setek występów polityków wszystkich partii. Dlaczego tam? Bo wszyscy mają najbliżej. Politycy i media. Stanąć przed kamerami i coś naopowiadać. Telewizje informacyjne biorą wszystko, bo to darmowe wypełnienie czasu.

Opozycja najchętniej wspomina czasy ministrowania i prezesowania. Jakoś nie potrafi się u nich przebić myśl, że ten etap jest definitywnie zamknięty. Nie ma szans, by ówczesna ekipa w podobnym składzie wróciła do władzy. Tyle że w nowych garniturach. Opozycja tylko marnuje czas na te mrzonki.

Prawo i Sprawiedliwość też zaczyna mieć pod górkę. Traci poparcie na wsi, choć od pierwszych wyborów prezydenckich Dudy do niedawna wygrywali tam z każdym ugrupowaniem. Jeszcze mają przewagę nad konkurencją, bo ta na wsi jest przeraźliwie słaba. Coraz liczniejsza jest tam grupa wyborców, którzy nie mówią, na kogo zagłosują.

Prezes PiS to wie i stąd dość desperacko próbuje pobudzić swoich działaczy do pracy. Chce, by oderwali się choć trochę od ulubionych zajęć. Czyli od pośrednictwa w załatwianiu możliwie dobrze płatnych, choć niewymagających większych umiejętności, posad. Od biur pracy wyspecjalizowanych w wyławianiu potrzebujących kasy członków rodzin aż do dalekich kuzynów. Machina pisowska jest w tym niezwykle skuteczna. I to chyba jedyny obszar, gdzie tak aktywnie się angażuje. Mogą zameldować: Panie prezesie, Program Posady+ został tak wykonany, że ho, ho.

BĄKOWSKI

eprasa.pl d48cff2080

W NUMERZE

KRAJ
8 **Praca – tak, wyzysk – nie**
– rozmowa z Waldemarem Witkowskim
10 **Wakacje dla bogatych**
Wyjazdowa drożyzna
46 **Fromborskie legendy odżywają na nowo**
Harcerze w mieście Kopernika

ZAGRANICA
12 **Co Bidenowie zawdzięczają Zełenskiemu**
Nieudany atak Trumpa
18 **Kogo i jak (nie) obchodzą sankcje**
Czy Rosja wygra gospodarczą wojnę z Zachodem?
24 **Przehandlowani**
Kurdowie a sprawa szwedzka
27 **Kto rządzi arabską opinią publiczną**
Trzy dekady Al-Dżaziry
30 **Ukraina jak druga Syria**
Rozmowa z Małgorzatą Olasińską-Chart
34 **Bezpieczny raj w Zatoce**
Nowa kryjówka albańskiej mafii

WOJSKO
22 **Czołgi to nie przeżytek**
Europa stawia na pancerz

OPINIE
38 **Jakub Dymek**
Wina biednych?

PRZEGLĄD ZWIĄZKOWY
41 **To nie wysokość płac odpowiada za drożyznę**

HISTORIA
42 **Tylko nieliczni wierzyli**
Odbudowa Warszawy
45 **Pułkownik i jego goście**
Skąd gen. Jaruzelski znał zamiary ZSRR?

MĘDIA
48 **Żadne zdjęcie nie jest warte śmierci**
– rozmowa z Wojciechem Grzędzińskim

OBSERWACJE
51 **Pół wieku reporterskich podróży Jacka Pałkiewicza**

KULTURA
54 **Rzeźnicy z Serbii, nieogary z Polski**
Wakacyjne zaległości filmowe
58 **Oswoić sukces**
– rozmowa z François Ozonem
60 **Qulturalia**
66 **Jacek Yerka. Magiczne Światy**

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Będą wybory albo nie
17 **Jan Widacki**
Giertych za Ziobrę, Kuba za Michała…
21 **Roman Kurkiewicz**
Ten stan wyjątkowy był zbrodnią
33 **Andrzej Romanowski**
Wspomnienie Świtezi
37 **Tomasz Jastrun**
Nad jeziorem
57 **Wojciech Kuczok**
Ówdzie i już

24
ZAGRANICA

PRZEHANDLOWANI
Kurdowie a sprawa szwedzka

48
MEDIA

ŻADNE ZDJĘCIE NIE JEST WARTE ŚMIERCI
– rozmowa z Wojciechem Grzędzińskim

54
KULTURA

RZEŹNICY Z SERBII, NIEOGARY Z POLSKI
Wakacyjne zaległości filmowe

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. AP/EAST NEWS(2)

eprasa.pl d48cff2080

Co z tym cholernym węglem?

To jest wręcz niepojęte. Kraj – jak piszecie – mający największe złoża węgla musi sprowadzać go z takich krajów jak Kolumbia itp.

Paweł Maćkowski

•

Taki węgiel jak nasz nie nadaje się do spalania w nowych piecach na ekogroszek, ten z Kolumbii jest sprowadzany dla odbiorcy indywidualnego.

Aśka Olszówka

•

Nasz węgiel jest taki sam jak ten z Kolumbii, tylko jest bardzo drogi. Przyczyny są dwie: związki zawodowe i głębokość zalegania złóż. U nas węgiel wydobywa się z głębokości ponad 1000 m, w temperaturze od 30 do 60 st. i w zagrożeniu wybuchem metanu. W Kolumbii rozwala się zbocze góry i węgiel już jest, w Australii, Indiach, Norwegii kopie się odkrywkowo. I jest to także lepsze dla górników – nie muszą martwić się ciągłymi wybuchami metanu ani tąpnięciami, nie muszą też pracować w piekielnie wysokiej temperaturze. Ale u nas na odkrywkę przejść już się nie da, bo trzeba by wyburzyć połowę Śląska.

Michał Zaorski

•

Rzeczywiście, czasami przy kopalni potrafi działać nawet kilkanaście związków zawodowych. A szefa każdego z nich trzeba utrzymać itp. Kiedyś czytałem, że gdy Czesi kupowali polską kopalnię i dowiedzieli się, ilu pracowników kopalni pracuje w administracji i w ogóle na powierzchni, a ilu na dole, to złapali się za głowę. Więc jak kopalnie mogą być rentowne?

Wojtek Szluga Giedrys

•

Problem jest taki, że mamy limity wydobycia, które niestety sprawiają, że wydobycie jest nieopłacalne – to kolejna duża składowa ceny. Gdybyśmy mogli wydobywać bez patrzenia na limity z UE, sytuacja byłaby nieco inna

Maciej Szafraniec

Sądy magistra alias ministra

Nauczyciel oczekuje od podręcznika nowszej historii uporządkowania faktów i musi mieć prawo do ich zestrojenia z własną wiedzą i doświadczeniem osobistym. Jeżeli ma inne zapatrywania niż autor podręcznika, a jest zmuszony do korzystania z niego, przeżywa ciężki dylemat, który może się kończyć nawet odejściem z zawodu. Jeszcze niedawno było parę podręczników do wyboru, zgodnie z zasadą, że do prawdy dochodzi się przez myślenie, a nie przez ślepe powtarzanie „sądów magistra”.

Andrzej Lam

Czy tanie zakładowe kolonie dla dzieci to był dobry pomysł?

To był znakomity pomysł. Jakiś czas temu w TVKurski leciał dokument utrzymany w formie kretyńskiej agitki, w którym zapewniano, że w czasach PRL kurorty typu Rabka, Szklarska Poręba czy Sopot zarezerwowane były właściwie wyłącznie dla partyjnych dygnitarzy i ich rodzin. Bardzo liczne musiały być te dygnitarskie rodziny, bo akurat byłem na koloniach i feriach m.in. w tych „zamkniętych” rzekomo dla pospólstwa miejscowościach i pamiętam, że latem i zimą były one wręcz najeżdżane przez dzieciarnię z zakładowych kolonii, takie same „czerwone dygnitarzęta” jak ja. Kurszczęta powinny odczekać, aż wymrą ludzie pamiętający tamte czasy, zanim zaczną w żywe oczy łgać, że te tabuny to były wyłącznie rodziny partyjniaków.

Rafał Galicki

ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski

Kurtyny wodne dają chociaż chwilową ulgę podczas fali upałów. W ostatnich dniach temperatura w Polsce sięgała 37 st. C. Warszawa, 30 czerwca 2022 r.

eprasa.pl d48cff2080

Coraz większa jest inflacja. W czerwcu ceny towarów i usług konsumpcyjnych wzrosły o 15,6% rok do roku, po 13,9% w maju. Ceny żywności najbardziej wzrosły w Wielkopolsce, a najmniej na Podkarpaciu.

•

Według najbardziej prestiżowego rankingu wyższych uczelni, który prowadzi Fundacja Edukacyjna „Perspektywy", najlepszą uczelnią akademicką w Polsce jest **Uniwersytet Warszawski**, który wyprzedził **Uniwersytet Jagielloński** i **Politechnikę Warszawską**. Wśród szkół niepublicznych na pierwszym miejscu jest **Akademia Leona Koźmińskiego**, a za nią **SWPS Uniwersytet Humanistyczny**.

•

40,4 mld zł wydali Polacy w 2021 r. na alkohol. Najbardziej wzrosły zakupy alkoholi najdroższych i najtańszych.

•

Adam Małysz został prezesem Polskiego Związku Narciarskiego. Był jedynym kandydatem. Zastąpił Apoloniusza Tajnera, który pełnił tę funkcję z sukcesami od 2006 r. W tym czasie Polacy zdobyli 14 medali olimpijskich i 28 razy stawali na podium mistrzostw świata. W uznaniu zasług w prowadzeniu PZN Apoloniusz Tajner został odznaczony Krzyżem Komandorskim OOP.

•

Naczelny Sąd Administracyjny prawomocnie podtrzymał postanowienie WSA o unieważnieniu uchwały **Rady Gminy Serniki** (woj. lubelskie) z 2021 r. o nazwie „Gmina Serniki wolna od ideologii LGBT". Sąd nie zgodził się z argumentacją prokuratury i Ordo Iuris. W kolejce czeka dziewięć podobnych spraw.

•

Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski zaapelował do rzecznika praw obywatelskich i rzecznika praw dziecka o systemowe zmiany w placówkach opieki nad dziećmi: „Lepiej by tego typu placówki prowadziły osoby, które same mają rodziny, dzieci i doświadczenie". Kościół katolicki prowadzi w Polsce 267 domów opieki i 538 domów dziecka.

•

Od 24 lutego do 12 czerwca br. system fotoradarowy zarejestrował 25,8 tys. naruszeń przepisów przez pojazdy na ukraińskich tablicach. Kierowcy są bezkarni, bo polskie służby nie mają dostępu do ich danych.

•

TVP z wiadomym efektem zarządzana przez Jacka Kurskiego zatrudnia w biurze prawnym 28 radców prawnych. Nie przeszkadza to jednak TVP w obfitym korzystaniu z usług kancelarii prawnych.

•

Od 1 września do polskich szkół trafi 520 mln zł na dodatkowe etaty dla psychologów, pedagogów, logopedów i neurologopedów – zapowiedział minister edukacji Przemysław Czarnek. Dzięki temu liczba specjalistów zwiększy się z 21 tys. do 38 tys. („Angora")

•

Z badań aktywności seksualnej Polaków przeprowadzonych przez **prof. Zbigniewa Izdebskiego** w latach 2021 i 2022 wynika, że 36% kobiet dzieli się z partnerami fantazjami erotycznymi. 85% Polek twierdzi, że seks odgrywa w ich życiu bardzo istotną rolę. 76% kobiet ma potrzebę uprawiania seksu minimum raz w tygodniu. 50% Polek w wieku 60+ uważa się za atrakcyjne seksualnie.

•

Według Polskiego Towarzystwa Stomatologicznego aż 9% polskich 18-latków nie ma już co najmniej jednego zęba.

PRZEBŁYSKI

Wybrali Kurskiemu kierownika

Wojny o awanse, i tym samym o wielką kasę, są w Telewizji Polskiej bardzo brutalne. Z jednym wyjątkiem. Jest redakcja, w której stanowisko kierownika jest dziedziczone. A w roli dziedzica obsadziła się Konferencja Episkopatu Polski. I to ona, a nie Jacek Kurski **wybiera** kierownika audycji katolickich TVP. Jak informuje serwis Press.pl, na miejsce ks. Macieja Makuły biskupi wybrali o. Michała Legana – rzecznika prasowego Jasnej Góry. **Ich wybór**. Ale widzowie też mają wybór i po to mają piloty, by oglądać, co chcą.

Paulina godna łaski

A to numer! Ostentacyjne bogobojny prezydent Duda ułaskawił 32-letnią Paulinę P. (na zdjęciu). Nie powstrzymały go dwa wyroki sądowe, jakie dostała za kradzież i handel narkotykami. Mąż Pauliny P., też z przestępczego środowiska, został za takie działania skazany na cztery i pół roku więzienia.

Prezydent Duda nie wziął pod uwagę opinii sądu ani prokuratora generalnego. Jak to się stało? Może prezydent podjął decyzję, oglądając serwis zdjęciowy pani P.P.?

W orbicie Fryzjera

Mało kto dziś do tego się przyznaje, ale Ryszard Forbrich nie tylko sprzedawał mecze. Bardzo dbał o dobre kontakty z dziennikarzami piszącymi o piłce. W cwany sposób wykorzystywał ich słabości. Amika Wronki zapraszała. I płaciła za wszystko. Wedle potrzeb. Gorzała, panienki, wyroby AGD z fabryki. I co, goszczeni nie wiedzieli o korupcji? Wiedzieli i pisali tak, by zadowolić sponsora. Nie tylko Michniewicz bił rekordy rozmów z Fryzjerem. Krzysztof Stanowski przyznaje, że miał ich 300, „bo wydzwaniał do mnie jak pierdolnięty". Wystarczy poczytać, kto i co pisał o meczach w latach 90. Lista hańby nie jest krótka. Dziś są to ludzie z Kanału Sportowego, z Weszło, Jacek Kmiecik, Mateusz Borek. Na szczęście dziennikarstwo sportowe to także Mirosław Żukowski z „Rzeczpospolitej", Paweł Kapusta z WP Sportowe Fakty, Antoni Bugajski z „Przeglądu Sportowego" i Onetu czy Dominik Panek z Polskiego Radia.

Grunwald ks. Oko

Jak przystało na skandalistę w sutannie, ks. Dariusz Oko, choć w procesie wytoczonym mu przez niemieckiego duchownego Wolfganga Rotha za mowę nienawiści na sali sądowej przeprosił za użycie słów „rak" i „pasożyty", to w prawicowych mediach trąbi o swoim niebywałym sukcesie. W „Do Rzeczy" ogłosił, że „w sądzie stanął sam naprzeciwko całej potęgi aparatu przemocy niemieckiego państwa".

Jak bardzo zmurszała musi być ta potęga, skoro ks. Oko nie jęczy w kazamatach. Lawendowa mafia okazała się bezsilna w zderzeniu z polskim herosem. I megalomanem, który dla siebie planuje życie wieczne bo: „chcieli go zakneblować, zmusić do milczenia, aż do końca świata" (!).

FOT. YOUTUBE (2), ARCHIWUM

eprasa.pl d48cff2080

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

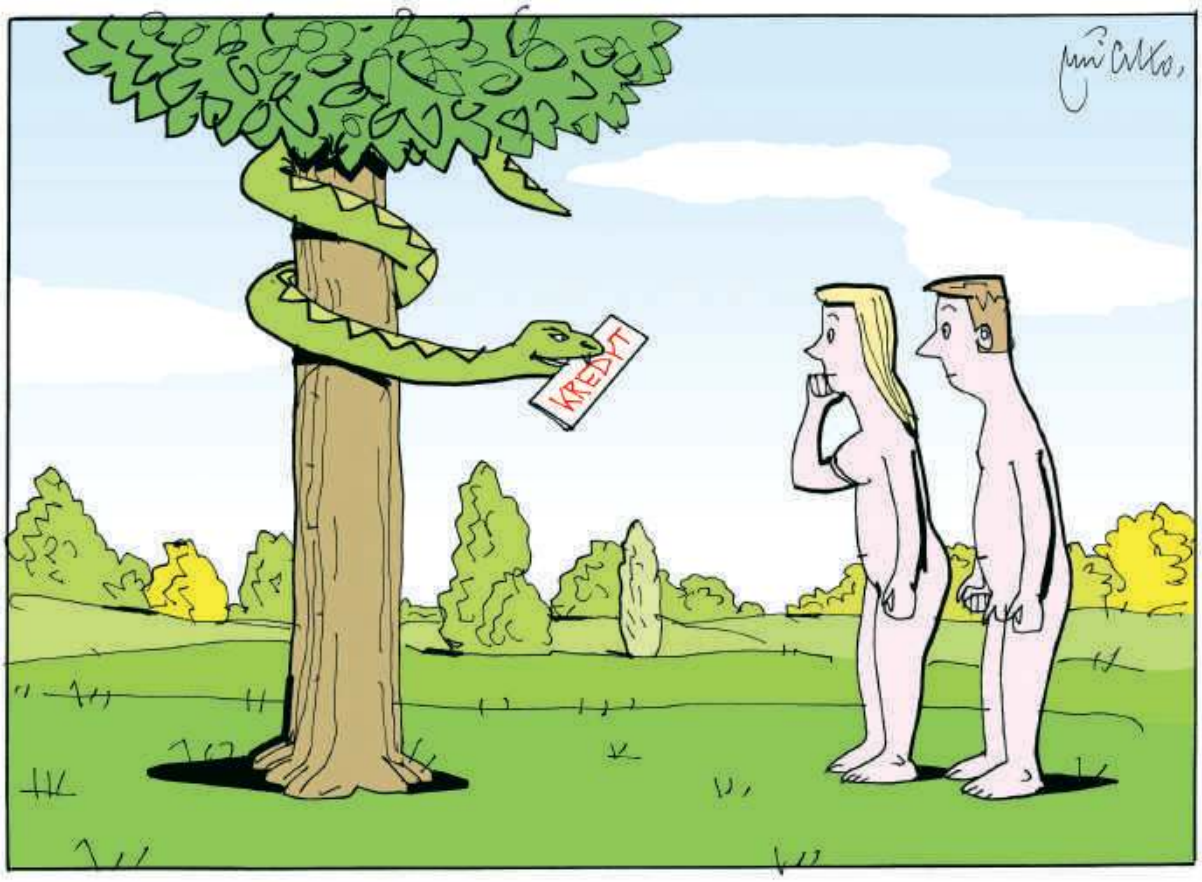

mleczko.pl

sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Jak zachęcić przyzwoitych ludzi, by szli do polityki?

DR PAWEŁ SĘKOWSKI,
historyk, UJ, Stowarzyszenie „Kuźnica"

Osobom ze średniego i młodszego pokolenia, których szczególnie brakuje w polityce, warto wskazywać przykłady wiarygodnych i ideowych polityków i polityczek, pełniących swoje funkcje z innych powodów niż pęd do kariery czy pieniędzy. Jeśli chodzi o moje krakowskie „podwórko", przychodzi mi na myśl choćby posłanka Daria Gosek-Popiołek, wyróżniająca się pobudzaniem ludzi wokół siebie do aktywności społecznej. Większemu zaangażowaniu przyzwoitych ludzi w politykę sprzyjałoby także rzeczywiste realizowanie postulatów społeczeństwa obywatelskiego przez osoby już aktywne w polityce. Młodzi, którzy angażują się w działalność organizacji pozarządowych czy chodzą na manifestacje, muszą widzieć, że to dzięki polityce ich energia może być przetwarzana na konkretną zmianę społeczną – wówczas część z nich poczuje motywację, by również mieć wpływ na zmianę rzeczywistości poprzez politykę.

MONIKA HELAK,
socjolożka, UW i Polityka Insight

Współczesna polityka dla Polek i Polaków stanowi przede wszystkim odległe i pocieszne widowisko. Wybory odbywają się bardziej na zasadzie plebiscytu na najbardziej lubianą twarz niż decyzji o wspólnej przyszłości, a metody działania polityków uznawane są za brudne i śmieszne. Aby to zmienić, trzeba po pierwsze, ustanowić nowe cele (np. wyzwania związane z klimatem zamiast bitew na interpretacje historii) i sposoby działania w mainstreamowej polityce (np. merytoryczne dyskusje i międzypartyjna współpraca na rzecz dobra wspólnego). Po drugie, polityka powinna być polem sprawczości tzw. zwykłych ludzi, którzy dzięki temu będą mogli poczuć, że mają wpływ na swoje otoczenie. W Polsce, w której rutynowo odrzuca się obywatelskie projekty ustaw, a na WOS uczy o liczbie posłów w parlamencie, a nie o tym, jak obywatelsko urządzić pobliski park i zreorganizować własne miejsce pracy, polityka pozostaje odległa, nieciekawa i alienująca.

JOANNA WICHA,
pielęgniarka i socjolożka, działaczka Razem

Wszyscy narzekamy na polityków: że są nijacy, mało zaangażowani itd. Mamy mnóstwo pomysłów na to, co powinni robić inaczej, ale ponieważ nie angażujemy się w politykę, nic nie możemy zmienić. I właśnie na tym bym się skupiła: na uświadamianiu ludziom, że skoro politycy nam nie odpowiadają, oraz nie wierzymy, że są w stanie rozwiązać ważne dla nas problemy, jedynym wyjściem jest wzięcie spraw we własne ręce. Jestem przykładem takiej drogi do polityki, jako pielęgniarka, która zapisała się do partii po którymś z kolejnych strajków. Przekonałam się bowiem, że samo maszerowanie i wykrzykiwanie postulatów na ulicach to za mało. Bez reprezentacji w parlamencie pewnych spraw nie załatwią nawet związki zawodowe, choć są bardzo potrzebne i często skuteczne.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl d48cff2080

PRACA – tak, WYZYSK – nie

Jak naprawić polską politykę?

Rozmawia Robert Walenciak

Unia Pracy podpisała umowę o współdziałaniu z Polską Partią Socjalistyczną, Wolnością i Równością oraz Socjaldemokracją Polską.

– To jest porozumienie czterech partii politycznych, ale do współpracy mogą się włączyć także inne podmioty. Chociażby Stowarzyszenie Lewicy Demokratycznej czy Inicjatywa Feministyczna. W naszych obradach brał też udział przedstawiciel związków zawodowych.

Jaki jest sens takiej umowy?

– Demokratyczna lewica szuka innego rozwiązania, bardziej uwzględniającego interesy pracowników.

To znaczy…

– Mnóstwo ludzi słyszało o Ignacym Daszyńskim jako o tym, który wprowadzał ośmiogodzinny dzień pracy. Ponad sto lat temu! I tak zostało. My, Unia Pracy, chcemy siedmiogodzinnego dnia pracy, żeby mieć więcej czasu dla siebie, dla rodziny, nie być tylko trybikiem w maszynie najbogatszych na świecie. Inna sprawa – wielu publicystów, polityków dyskutuje na temat rozwiązania problemu mieszkaniowego. Chciałbym przypomnieć, że to właśnie PPS przed II wojną zajęła się sprawą mieszkań dla zwykłych ludzi. To działacze PPS zakładali pierwsze spółdzielnie.

Pan zna się na tym świetnie jako prezes różnych spółdzielni.

– Na co dzień jestem spółdzielcą, jestem też wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Spółdzielczości. Mogę więc mówić: po co komu własność? Już po transformacji w naszej spółdzielni budowaliśmy mieszkania lokatorskie i ludzie chcieli w nich mieszkać. To bardzo wygodne rozwiązanie. Spółdzielnia bierze na takie mieszkanie kredyt, a ponieważ jest dość dużym podmiotem, nie musi się martwić, że odsetki poszły w górę, bo wie, że za trzy-cztery lata one spadną. Natomiast człowiek, który ma co miesiąc płacić odsetki od kredytu i nie wie, jak wysokie będą one za rok czy dwa, czuje obawę. Bo za moment może się okazać, że te odsetki go zrujnują.

A gdy straci pracę…

– To jest sytuacja niemoralna. Podobnie jak pomysły polityków – zamrozić raty kredytów bankowych czy nie zamrozić. To do niczego nie prowadzi. Bank jest instytucją, która ma zarabiać. Choćby dla bezpieczeństwa lokat ciułaczy, którzy trzymają w nim oszczędności. To są naczynia połączone. Biedy nie da się podzielić, zera też nie da się podzielić. Natomiast są zdrowe mechanizmy, które można skopiować. W całej Europie Zachodniej są spółdzielnie i potrafią to robić.

Wszyscy teraz mówią o mieszkaniach…

– Aktywna rola państwa czy samorządu powinna polegać na tym, że na budownictwo mieszkaniowe władza powinna dawać grunt za darmo. Bo to jest realizowanie celów ogólnospołecznych.

> Na budownictwo mieszkaniowe władza powinna dawać grunt za darmo.

Kiedy spółdzielnie budowały, to na osiedlach były sklepy, szkoła, przychodnia i inne obiekty użyteczności publicznej,

– Zmianę w podejściu do mieszkań widać, gdy porówna się osiedla PRL-owskie z tymi budowanymi przez deweloperów. Spółdzielnie, które budowały 50 lat temu, stawiały nie tylko bloki, ale też szkoły, pawilony handlowe, wszystko, co potrzebne. Oczywiście były patologie, drogi budowano z opóźnieniem. Ale generalnie można było na tych osiedlach mieszkać, robić zakupy, wypoczywać.

To smutne, że w imię antykomunizmu ileś świetnych rozwiązań z tamtych czasów po prostu podeptano.

– Dodam jeszcze jedno: wtedy łatwiej było odnieść sukces. Na studiach intelekt był ważniejszy niż pieniądze rodziców. Pod wieloma względami był to dużo bardziej sprawiedliwy system niż obecny. Nie był do końca ekonomicznie wydajny, to każdy wie. W czasach PRL moglibyśmy szybciej się rozwijać, gdyby pozwolono na więcej inicjatywie prywatnej, pozwolono ludziom działać.

Ale to, co teraz robi PiS ze spółkami skarbu państwa, prowadzi do kłopotów, one powoli przestają być wydolne gospodarczo. I za chwilę mogą stać się kulą u nogi państwa.

PiS uważa, że wspaniale nimi zarządza.

– Poziom intelektualny tych, którzy trafiają do polityki, jest coraz częściej beznadziejny. To ludzie, którzy wcześniej nie mieli żadnych osiągnięć. Jedynym ich sukcesem było załapanie się na jakiś stołek, na którym siedzą za publiczne pieniądze. I to wszystko, co chcą robić – dalej za te pieniądze sobie żyć. Nie tak powinno być. Najpierw ktoś powinien mieć jakieś osiągnięcia, zawodowe, naukowe, i dopiero wówczas aspirować do spraw publicznych. Byłem trzy kadencje w sejmiku. I widziałem, że wielu radnych nawet nie czytało materiałów na sesję. A Sejm? Po co 460 posłów, skoro kilku decyduje o wszystkim, a reszta automatycznie podnosi rękę?

A krzewiąca się korupcja polityczna?

– Ludzie nie mają twarzy. Obserwowałem posłanki z moich okolic – poza polityką klepałyby biedę. A jak już się załapały, to się cieszą, że jest

eprasa.pl d48cff2080

WALDEMAR WITKOWSKI

– przewodniczący Unii Pracy

wysoka pensja, przejazdy za darmo… A ważne problemy państwa? To z doskoku. Z roku na rok jest gorzej.

Porozumienie czterech partii lewicowych jest więc pomysłem, by lewica zaczęła głośniej mówić o sprawach społecznych?

– Chcemy przede wszystkim skupić się na sprawach socjalnych, pracowniczych. Ale żeby była jasność – o sprawach wolności, równości nie zapominamy. One są oczywiste. Byliśmy na Paradzie Równości… W roku 2022 w cywilizowanej Europie o tym w ogóle nie powinno się mówić! To jest tak oczywiste! Natomiast rozwiązania pracownicze – to jest temat do rozmowy.

Dlaczego?

– Nie ma już tej wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, z wielkich zakładów. A związki zawodowe zbyt często zanadto serwilistycznie nastawiają się do aktualnych władz. Trzeba wzmacniać pozycję związkowców.

A nie obawia się pan, że mówiąc o rozwiązaniach socjaldemokratycznych, europejskich, zostaniecie przelicytowani? Teraz Tusk też tak mówi.

– Był w strukturach unijnych ileś lat. Więc trochę się dziwię, że dopiero teraz tak mówi. Może dopiero wyczuwa, jakie jest nastawienie społeczeństwa? W Europie też odchodzi się od pojęcia globalizacji, wolnego rynku itd. Bo okazuje się, że globalizacja się nie sprawdziła. W sytuacjach kryzysowych wyszło na jaw, że pomysł na pomnażanie kapitałów najbogatszych jest przeciwko społeczeństwom.

Zatem co zamiast globalizacji?

– Większość rzeczy powinniśmy wytwarzać blisko siebie, zwłaszcza żywność. Żeby takie kryzysy jak teraz nie dotykały nas częściej. Bo nie wierzę, że kryzys w Ukrainie będzie ostatnim. Na świecie co chwilę wybuchają kryzysy, tylko do tej pory nie dotykały nas one bezpośrednio.

> Większość rzeczy powinniśmy wytwarzać blisko siebie, zwłaszcza żywność.

I nie były nagłaśniane.

– Mam o politykach, niezależnie od opcji, złe zdanie. Przypomnę, że minęło 50 lat od pierwszego szczytu w Davos. Zawsze spotykają się tam najważniejsi światowi politycy z najbogatszymi tego świata. Zawsze dyskutują, jak pomóc najbiedniejszym. Hasła szczytne – a z roku na rok coraz większa część światowego majątku jest kontrolowana przez coraz mniejszą grupę ludzi. I coraz więcej ludzi żyje poniżej średniej. Najbogatsi nadal się bogacą, zwłaszcza różne finansowe korporacje. A tym, którzy zasuwają od rana do wieczora, poziom życia nie poprawia się proporcjonalnie do ich zaangażowania. Jednocześnie eksplorujemy naszą planetę w taki sposób, że pewnie za 20-30 lat ciężko będzie na niej żyć. Mówimy o gazach cieplarnianych, o dwutlenku węgla. Ale znacznie bardziej niebezpieczna jest hodowla bydła. Metan jest dużo gorszy dla otoczenia niż dwutlenek węgla. Pamiętam pewien wykład wygłoszony kilka lat temu na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu – wskazywano tam, co ma największy wpływ na ocieplenie klimatu. Otóż średniolitrażowy samochód przejeżdżający 30 tys. km rocznie wytwarza tyle samo gazów cieplarnianych, ile rocznie jedna krowa w przemysłowej hodowli. I tyle samo wytwarza F-16 w ciągu godziny lotu wznoszącego. Takie są relacje. Czyli wojna w Ukrainie to nie tylko zniszczenia, ale i ogromne szkody dla atmosfery.

Czy będziecie przeciwwagą dla Nowej Lewicy?

– Część działaczy PPS czy Stowarzyszenia Lewicy Demokratycznej została w dość drastyczny sposób usunięta z Nowej Lewicy. I pewnie noszą oni w sobie chęć pewnego rewanżu. Ja tego nie odczuwam. Bliskie jest mi myślenie Aleksandra Małachowskiego, który swego czasu proponował wszystkim na lewicy Drzewo Oliwne na zasadzie, że nie ma wroga na lewicy. Poglądy mamy podobne. A że w Nowej Lewicy mają problemy z wewnętrzną demokracją… Natomiast dzisiaj szans na współpracę zbyt wielu nie widzę. Choć uważam, że im bliżej będzie wyborów, tym więcej będzie zaproszeń do współpracy. I zarówno Tusk, jak i kierownictwo Nowej Lewicy będą szukać możliwości porozumienia. Nie będzie to łatwe. Ale w polityce nie takie rzeczy się dzieją. A czy to oznacza jedną listę, czy wiele list? My chcemy w 41 okręgach być na tyle silni, by zebrać podpisy i samodzielnie startować.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl d48cff2080

Anna Stachowiak

Wakacje dla bogatych

Jest z czego wybierać: obozy żeglarskie, konne, nurkowe. Wyjazdy dla dzieci kuszą różnorodnością. I odstraszają ceną

Za tegoroczne wakacje zapłacimy średnio o 800 zł więcej niż przed rokiem – tak wynika z analiz Instytutu Badań Rynku Turystycznego TravelDATA. Podwyżki dotyczą zarówno wycieczek zagranicznych, organizowanych przez uznane biura podróży, jak i wakacji w Polsce. Także oferty dla dzieci. Według raportu przygotowanego przez instytut w 2022 r. średnia cena wyjazdów wzrastała już 11 razy.

24 czerwca zakończył się rok szkolny. Część rodziców już dawno wykupiła kolonie i obozy dla dzieci, ale nie wszyscy – dla wielu cena okazała się barierą nie do przeskoczenia. Na przykład za dwa tygodnie obozu żeglarskiego na Mazurach, podczas którego uczestnicy mogą zdobyć uprawnienia żeglarskie i motorowodne, trzeba zapłacić 3,5 tys. zł. Na podobny wydatek trzeba się przygotować, jeśli zdecydowaliśmy się wysłać dziecko na obóz konny, windsurfingowy czy filmowy. Cena zawiera oczywiście transport, zakwaterowanie, wyżywienie i zajęcia na miejscu, a także opiekę wykwalifikowanego personelu. Są i tańsze opcje, ale bez dodatkowych zajęć, po prostu zwykłe obozy i kolonie nad morzem czy na Mazurach.

Przy średniej krajowej w sektorze przedsiębiorstw wynoszącej w 2021 r. 4240 zł netto, przy zatrudnieniu na umowę o pracę oraz inflacji na poziomie ponad 13%, wielu rodziców po prostu uznało, że nie stać ich na taki wydatek. To z tego powodu, jak wynika z badań Barometr Providenta, co czwarty Polak spędzi urlop w domu. Wielu zrezygnowało z własnych wakacji, by móc wysłać na nie dzieci.

Średnia kwota, jaką Polacy przeznaczą na wakacyjny wyjazd, to 2726 zł – o 600 zł więcej niż w ubiegłym roku. Przed pandemią było to 3,4 tys. zł. Ponad 40% badanych deklaruje, że wakacyjne wyjazdy finansuje z oszczędności, 34% – z bieżących dochodów, a prawie 3% weźmie pożyczkę.

– Wakacje planujemy sfinansować przede wszystkim z oszczędności – zadeklarowało tak niemal 44% badanych – skomentowała wyniki Karolina Łuczak, ekspertka Providenta. – Zebranie potrzebnej kwoty to dla nas spore wyzwanie. 31,6% Polaków odłożenie pieniędzy na wakacje zajęło poniżej sześciu miesięcy. Podobny odsetek badanych potrzebny budżet gromadził 7-12 miesięcy. Aby wyjechać na upragniony urlop, 12,4% badanych musiało oszczędzać ponad rok.

Dorota, samotna matka Kajtka, 9 lat: – Zarabiam 3,5 tys. netto. Po zapłaceniu czynszu, opłaceniu mediów i innych bieżących wydatków, zostaje mi nieco ponad 2 tys. Z tego

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI/AGENCJA WYBORCZA

eprasa.pl d48cff2080

W Lublinie w sezonie wakacyjnym wznowił działalność Rezerwat Dzikich Dzieci, jeden z pierwszych w Polsce przygodowych placów zabaw.

staram się co miesiąc odłożyć chociaż parę groszy i w sumie tylko dzięki temu mogę wysłać syna na wakacje. Pojedzie na kolonie nad morze, wyjazd kosztuje 1,5 tys. zł. Plus kieszonkowe. Ja zostanę w domu. Na wakacje mnie nie stać.

Kobiet, które samodzielnie wychowują dzieci, są w Polsce prawie 2 mln. Teoretycznie przysługują im alimenty dla dzieci, jednak aż 230 tys. zobowiązanych do ich płacenia nie łoży na potomstwo. Dług alimentacyjny wynosi, według różnych szacunków, od kilkunastu do kilkudziesięciu miliardów złotych. Wiele dzieci tych rodziców zostanie w domu. Pieniędzy po prostu nie ma.

Jest 500+ i bon turystyczny (wynosi 500 zł na każde dziecko, większa kwota przysługuje rodzicom dzieci niepełnosprawnych). Te pieniądze też pójdą na wakacje Kajtka – po powrocie z kolonii weźmie jeszcze udział w półkoloniach w mieście. Koszt półkolonii, na których dzieci będą się uczyć programowania i podstaw robotyki i które potrwają pięć dni, to nieco ponad 800 zł. Tyle kosztuje opieka nad dziećmi przez 10 godzin dziennie, wyżywienie, wykłady, animacje i zajęcia.

Półkolonie można znaleźć w każdym mieście. Organizowane są zajęcia z pływania, jazdy konnej, robotyki, malarstwa – oferta naprawdę bogata. Ceny różnią się w zależności od miasta i programu, ale trzeba liczyć, że to wydatek rzędu kilkuset złotych. Jeśli się zapisze razem dwoje dzieci, można dostać rabat – 50 zł. Za zakup dwóch turnusów – 100 zł. A to tylko kilka dni. Co z resztą wakacji?

Ania, mama Alana i Klary: – Wszyscy razem pojedziemy na kilka dni, może tydzień, nad jezioro. Zobaczymy, może pod namiot, a może wynajmiemy domek. Resztę wakacji dzieci spędzą u dziadków, będziemy do nich dojeżdżać na większość weekendów. Nie mamy innej opcji, nie stać nas na wysłanie dwojga dzieci na kolonie. To kosztowałoby dobrze ponad 4 tys. zł, plus wyprawka, bo wiadomo, że trzeba kupić nowe ubrania, strój kąpielowy, kremy z filtrem, klapki... W tym roku nie damy rady.

Wie, co mówi, bo dokładnie przyjrzała się (razem z mężem) ofertom. Jedno z biur podróży oferuje bardzo ciekawe kolonie i obozy – naprawdę, mówi Ania, wszystko można znaleźć, od pierwszych kolonii dla maluszków po obozy za granicą – ale ceny zaczynają się od mniej więcej 2 tys. zł. Obawiałaby się puścić dzieci na tańszy wyjazd, bo martwiłaby się, czy opieka jest odpowiednia. W tym roku więc wakacje będą bez takiego wyjazdu. Może w przyszłym.

Dla Oli i Pawła wyjazdy dzieci to priorytet. Najmłodsza zostanie z nimi w domu, dwoje starszych – 11 i 15 lat – pojedzie na obozy. Mieli drobne oszczędności, bo wakacje dla dzieci planowali od kilku miesięcy, ale na resztę wzięli pożyczkę. – Trudno, spłacimy to sobie powoli. Po pierwsze, dzieciom taki reset z rówieśnikami, zwłaszcza po pandemii, jest potrzebny, a po drugie, my też musimy trochę odpocząć od codziennego kieratu. To nie są jakieś superekskluzywne wakacje, zwykłe obozy nad morzem. W sumie kosztuje to, razem z zakupami, 5 tys. zł – mówi Paweł.

Kaśka i Michał nie mieliby żadnego problemu, żeby sfinansować dzieciom wakacje pod żaglami czy na desce za granicą, ale plany musieli zmienić w związku z podwyżką stóp procentowych. Jak wynika z danych HRE Investments, we wrześniu zeszłego roku rata kredytu na 300 tys. zł (zaciągniętego na 25 lat) wynosiła 1,4 tys. zł. Obecnie to już prawie 2,5 tys. – Dzieci pojadą na tańsze, krótsze obozy, jeżdżą co roku i w tym też, ale to nie będą takie wyjazdy jak w poprzednich latach. Musimy zostawić poduszkę na kredyt – mówią.

Ci rodzice, których budżet nie zmieścił wyjazdowych wakacji dla dzieci – i nie zdecydowali się bądź nie mogli wziąć pożyczki – będą, jak mówi wielu z nich, „kombinować". Część organizuje się ze znajomymi i sąsiadami – ktoś ma działkę na wsi, ktoś może załatwić wyjazd na konie, ktoś inny ma znajomego instruktora pływania, który da zniżkę na wejścia na basen.

Wielu będzie korzystać z tego, co oferują lokalne samorządy – w większości miast i miasteczek w czasie wakacji organizowane są rodzinne pikniki, festiwale, koncerty. Organizatorzy dbają, żeby dzieci się nie nudziły – ściągają artystów, szczudlarzy, animatorów, którzy malują twarze, puszczają bańki mydlane i organizują wyścigi. Dla najmłodszych są dmuchane zamki.

W Lublinie właśnie wznowił działalność Rezerwat Dzikich Dzieci, jeden z pierwszych w Polsce przygodowych placów zabaw. To miejsce, w którym dzieci decydują, jak i czym chcą się bawić. Nie ma tradycyjnych zabawek, karuzeli, huśtawek, zjeżdżalni – rządzi wyobraźnia gospodarzy, czyli dzieci: „Dzieci kształtują go zgodnie z zasadami swobodnej zabawy, a ich aktywność polega na kreowaniu tej przestrzeni od podstaw z dostarczonych materiałów, budowaniu obiektów, baz, stawianiu konstrukcji", czytamy w materiałach reklamowych. Z maluchami – tymi do siedmiu lat – można spędzić czas w sferze buforowej, starsze dzieci bawią się w tzw. strefie ścisłej. Rodzice z Lublina bardzo czekali na otwarcie – w wakacje to dla wielu z nich wybawienie i możliwości zapewnienia dzieciom atrakcji na miejscu. Nawet przy 13-procentowej inflacji i większej o 1000 zł racie kredytu.

■

Za tegoroczne wakacje zapłacimy średnio o 800 zł więcej niż przed rokiem.

Co czwarty Polak spędzi urlop w domu. Wielu zrezygnowało z własnych wakacji, by móc wysłać na nie dzieci.

eprasa.pl d48cff2080

Co Bidenowie zawdzięczają Zełenskiemu?

Gdyby republikanom udało się rozkręcić aferę Huntera Bidena, demokraci wyborów prezydenckich by nie wygrali

Robert Walenciak

To ważna rozmowa i warto ją przypomnieć. Zaraz po wyborach prezydenckich w Stanach Zjednoczonych, w grudniu 2020 r., Wołodymir Zełenski udzielił wywiadu dziennikowi „New York Times". Pytano go oczywiście, jak ocenia Bidena i Trumpa i co myśli o aferze, dotyczącej Trumpa i syna Joego Bidena – Huntera, w której grał jedną z głównych ról.

„Zostaliśmy w to wciągnięci", mówił Zełenski. „Ale myślę, że zachowywaliśmy się z godnością stosowną dla suwerennego kraju". Ocenił także, że Biden zna Ukrainę lepiej niż Trump. „Przed prezydenturą miał bliskie relacje z Ukrainą i dobrze rozumie Rosjan, rozumie różnice między Ukrainą i Rosją oraz, jak mi się wydaje, rozumie ukraińską mentalność", tłumaczył. Dodając, że może to pomóc we wzmocnieniu relacji ukraińsko-amerykańskich i w zakończeniu wojny w Donbasie (tej rozpoczętej w roku 2014 – przyp. aut.).

Odnosząc się do samych relacji, mówił, że jest wdzięczny za amerykańskie wsparcie dla Kijowa w trakcie prezydentury Trumpa, w tym za zaostrzenie sankcji wobec Rosji. „Powinienem podziękować Stanom Zjednoczonym czasów Donalda Trumpa", podkreślał.

Te kilka zdań jest bardzo ważnych. Przede wszystkim świadczy o tym, że w sprawach polityki zagranicznej nie ma wielkiej różnicy między Ameryką republikanów a Ameryką demokratów. Może być różna forma polityki, ale strategiczne cele określa racja stanu. Dlatego, również za czasów Trumpa, Stany Zjednoczone coraz mocniej angażowały się w interesy w Kijowie. I zdecydowanie występowały przeciwko Nord Stream 2. Nie tylko w imię bezpieczeństwa energetycznego Europy czy też w obawie przed wzmocnieniem Rosji, ale również (a może – przede wszystkim) w imię interesów amerykańskich producentów gazu łupkowego.

> Zostaliśmy wciągnięci w aferę dotyczącą Trumpa i syna Joego Bidena – Huntera – mówił w grudniu 2020 r. Wołodymir Zełenski. – Ale zachowywaliśmy się z godnością stosowną dla suwerennego kraju.

Ale Zełenski pytany był przez dziennikarzy „New York Timesa" o jeszcze jedną sprawę – aferę, która pociągnęła za sobą próbę postawienia prezydenta Trumpa w stan oskarżenia. I która mogła skończyć się dla Trumpa impeachmentem

Chodziło o Huntera Bidena, zasiadającego w radzie dyrektorów (odpowiedniku rady nadzorczej) ukraińskiej firmy Burisma Holdings, której właścicielem był Mykoła Złoczewski, oligarcha związany z Wiktorem Janukowyczem. Trump w rozmowach z Zełenskim proponował, by ukraińska prokuratura przyjrzała się jej interesom i rozpoczęła śledztwo. W tej sprawie zresztą jeździł do Kijowa prezydencki wysłannik Rudolph Giuliani. Zełenski mógł wyjść naprzeciw życzeniu Trumpa, ale tego nie zrobił.

Co to oznacza?

Patrząc na wyniki wyborów prezydenckich w roku 2020, na to, jak niewielką liczbą głosów Biden wygrał z Trumpem w kluczowych stanach, śmiało można zaryzykować tezę, że gdyby republikanom udało się rozkręcić aferę Huntera Bidena, demokraci tych wyborów by nie wygrali.

Innymi słowy, Joe Biden wiele zawdzięcza Zełenskiemu. Być może nawet prezydenturę. Bo bezpardonowo naciskany przez Trumpa zachował się powściągliwie. Jak sam mówi – z godnością.

Afera

Dlaczego śledztwo przeciwko Hunterowi Bidenowi mogłoby zaszkodzić kampanii demokratów? Odpowiedź jest prosta – Hunter Biden nie ma dobrej prasy w USA. Media w Ameryce wiele razy pisały o jego trudnej przeszłości, uzależnieniu od alkoholu i narkotyków, orgiach seksualnych, laptopach z filmami pornograficznymi i o tym, że jest biznesowo zaangażowany w Rosji, Ukrainie i Chinach oraz że te interesy nie zawsze wyglądają podręcznikowo.

I tak m.in. CNN informowała, że prokuratura badała, czy Hunter Biden i jego współpracownicy złamali prawo podatkowe oraz regulacje dotyczące prania pieniędzy w ich działalności biznesowej za granicą, głównie w Chinach. Sam Trump głośno o tym mówił, domagając się prześwietlenia interesów Bidena z Chińczykami.

Jeśli chodzi o Rosję, to zupełnie niedawno, już po inwazji na Ukrainę, Donald Trump zwrócił się do

eprasa.pl d48cff2080

1 września 2021 r. Joe Biden spotkał się z Wołodymirem Zełenskim w Białym Domu. Czy dziękował mu, że nie uległ naciskom Trumpa?

Władimira Putina, aby ujawnił wszelkie informacje, które mogą skompromitować syna Joego Bidena. Jakie? Otóż Trump oskarżył Huntera Bidena, że przyjął dużą sumę pieniędzy od żony burmistrza Moskwy Eleny Baturiny. „Dała mu 3,5 mln dol., więc teraz myślę, że Putin zna odpowiedź", mówił Trump. „Myślę, że powinien to upublicznić, a my powinniśmy poznać tę odpowiedź".

Ale największy potencjał, jeśli chodzi o oskarżenia, miały związki Bidena syna z firmą Burisma Holdings, której właścicielem był – jak wspominaliśmy – Mykoła Złoczewski, człowiek z otoczenia Wiktora Janukowycza, prezydenta Ukrainy w latach 2010-2014.

Gdy notowania Janukowycza zaczęły pikować w sondażach i szanse na to, że zostanie on wybrany na drugą kadencję, szybko malały, jego ludzie zaczęli szukać wsparcia w innych ośrodkach. Złoczewski uznał, że warto postawić na Amerykę. To był słuszny wybór, bo po 2014 r. nie musiał uciekać do Rosji, tylko przeniósł się do Monako. Stamtąd organizował na nowo swoje interesy. M.in. dotarł do Huntera Bidena, którego ojciec, ówczesny wiceprezydent, odpowiadał w Białym Domu za relacje m.in. z Ukrainą. W ten sposób Hunter Biden wszedł w skład rady dyrektorów Burismy, gdzie zarabiał 50 tys. dol. miesięcznie, a jego firma Rosemont Seneca Partners zawarła kontrakt gwarantujący jej wpływy rzędu 166 tys. dol. W sumie Biden junior zarobił w Burismie przez niewiele ponad cztery lata ponad 3 mln dol.

Dodajmy, że Burisma została zarejestrowana w 2002 r. na Cyprze, a obszarem jej aktywności miała być działalność w zakresie poszukiwań i wydobycia gazu oraz ropy. Gdzie? Przede wszystkim na Ukrainie.

Ale ciekawsze nastąpiło później. I o tym piszą media.

Śledztwo, śledztwo

Otóż już po Majdanie prokuratura generalna Ukrainy pod kierownictwem Wiktora Szokina wszczęła śledztwo w sprawie nadużyć w przedsiębiorstwie Burisma Holdings. W tym samym czasie Joseph Biden, wiceprezydent u boku Baracka Obamy, który Ukrainę odwiedzał wielokrotnie, miał naciskać na władze w Kijowie, aby zdymisjonowały Szokina, bo prokuratura przez niego kierowana wyjątkowo słabo spisuje się w walce z korupcją. Żeby sprawa była jasna – naciskał nie tylko on, podobne sygnały były kierowane ze strony Banku Światowego, MFW i Unii Europejskiej. Ostatecznie w marcu 2016 r. doszło do dymisji. I cóż – Szokin tłumaczył, że zdymisjonowano go, bo prowadził niewygodne śledztwa, m.in. w sprawie Burisma Holdings. Ten trop podjął Trump, sugerując, że Joseph Biden interweniował, by zdymisjonować szefa prokuratury, która prowadziła dochodzenie niewygodne dla jego syna (był w radzie dyrektorów Burismy do kwietnia 2019 r.). Trump chciał więc trafić jednocześnie i ojca, i syna. Tyle że nie miał żadnych dowodów na potwierdzenie swoich oskarżeń. Mogło je przynieść jedynie śledztwo ukraińskiej prokuratury. Energiczne, nagłośnione. A tu nic…

Po prostu kłopot Trumpa polegał na tym, że śledztwo związane z Burismą, które przez jakiś czas

eprasa.pl d48cff2080

prowadziła ukraińska prokuratura, dotyczyło lat 2010-2012. Czyli okresu, kiedy Huntera Bidena jeszcze tam nie było. A jeśli chodzi o czasy późniejsze? „Ukraina wszczęłaby śledztwo w sprawie okresu, kiedy pracował tam Hunter Biden, gdyby pojawiły się nowe, przekonujące dowody, ale nie może tego zrobić z własnej inicjatywy, na podstawie komentarzy, które pojawiają się w USA", mówił w wywiadzie radiowym, w roku 2019, szef wydziału ds. śledztw antykorupcyjnych w prokuraturze generalnej Nazar Chołodnicki.

Później ukazała się inna informacja. Niezależna rosyjska „Nowaja Gazieta" opublikowała artykuł na temat śledztwa przeciwko innemu z oligarchów – Serhijowi Kurczence, nazywanemu skarbnikiem rodziny Janukowyczów. To śledztwo zostało wszczęte przez ukraińską prokuraturę generalną w 2014 r., ale już po ucieczce Janukowycza i jego ludzi z Ukrainy. Dochodzenie dotyczyło sprzedaży bazy przeładunku ropy naftowej w Chersoniu – sprzedawał Złoczewski, kupował Kurczenko. Prokuratorzy uważali, że pieniądze na zakup pochodziły z przestępstwa, więc transakcja była rodzajem prania brudnych pieniędzy. Dodajmy, że posłużyły one później do uregulowania należności wobec Bidena juniora i pozostałych członków rady dyrektorów.

Hunter Biden zasiadał w radzie dyrektorów firmy Burisma Holdings, której właścicielem był Mykoła Złoczewski, oligarcha związany z Wiktorem Janukowyczem.

Rozmowa

O tym, że Donald Trump marzył, by za sprawą Burismy i Bidena juniora uderzyć w swojego głównego konkurenta, i nie przebierał w środkach, dowiedzieliśmy się, gdy ujawniono rozmowę telefoniczną między Trumpem a Zełenskim z lipca 2019 r.

To był ich pierwszy kontakt, zaraz po ukraińskich wyborach. Trump dzwonił do Zełenskiego z gratulacjami. I już przy tej okazji, winszując zwycięstwa, poprosił go o „przysługę" i zaczął namawiać, by prokuratura ukraińska powróciła do sprawy Burismy Holdings. Zamiary Trumpa były oczywiste – na kilkanaście miesięcy przed wyborami chciał uderzyć w swojego głównego przeciwnika. Chciał go skompromitować, pokazując, że i Hunter Biden, i Joe Biden byli uwikłani w niejasne interesy, korupcję i pranie brudnych pieniędzy ludzi Janukowycza. Trzeba było mu tylko jednego – by na Ukrainie przeciwko Bidenowi ruszyło śledztwo. Więc nacisnął Zełenskiego. A o tych naciskach dowiedzieliśmy się, gdyż jeden z urzędników Departamentu Stanu uczestniczących w rozmowie zameldował o tym prokuraturze.

Okazało się, że rozmów Trumpa z Zełenskim było kilka. Trump sugerował w nich współpracę ukraińskiej prokuratury z jego wysłannikiem Rudolphem Giulianim w sprawie Burismy. Jedną z formą „zachęty" do współpracy, do rozpoczęcia śledztw, było zatrzymanie przez Trumpa uchwalonego przez Kongres pakietu pomocy dla Ukrainy w wysokości 391 mln dol. I to na kilka dni przed rozmową z Zełenskim. Patrząc z boku, była to oferta z gatunku mafijnych. Miliony za współpracę. Państwowe pieniądze, i to w dodatku przyznane przez Kongres, w zamian za zupełnie prywatną przysługę. Ta blokada wywołała furię w Kongresie, pieniądze zostały do Kijowa przekazane. A gdy na jaw wyszło, w jakim celu Trump je blokował, furia się zwielokrotniła. I 24 września 2019 r. szefowa Izby Reprezentantów Nancy Pelosi rozpoczęła wstępne dochodzenie w sprawie zasadności uruchomienia procedury impeachmentu wobec urzędującego prezydenta. Demokraci uważali, że Trump chciał przy pomocy obcego państwa (za pieniądze amerykańskiego podatnika!) wpływać na wynik wyborów w USA.

Procedura impeachmentu i przesłuchania wysokich urzędników pokazały oprócz działań Trumpa przeciwko politycznym przeciwnikom zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Ukrainie. Łącznie w latach 2014-2018 USA przekazały do Kijowa ponad 2 mld dol. na pomoc gospodarczą i militarną oraz udzieliły trzech pożyczek w wysokości 3 mld dol. Oprócz tego mieliśmy rosnący udział firm amerykańskich w ukraińskim rynku. Współpraca odbywała się ponad politycznymi podziałami. Burisma Holding była związana z ludźmi z grupy prorosyjskiego Wiktora Janukowycza. Przy okazji przesłuchań w sprawie impeachmentu dla Trumpa mogliśmy również się dowiedzieć, że grupa ważnych ukraińskich polityków współpracowała z Krajowym Komitetem Partii Demokratycznej (DNC) oraz ambasadą USA w Kijowie. Na jaw wyszły także działania dwóch biznesmenów amerykańskich pochodzenia ukraińskiego – Lwa Parnasa i Igora Frumana, współpracujących z republikanami.

Z przesłuchań w Izbie Reprezentantów wyłonił się więc model polityki USA wobec Ukrainy. Był on dwutorowy. W pierwszym, oficjalnym, nurcie Stany Zjednoczone wspierały odbudowę gospodarczą i militarną Kijowa. W drugim – politycy amerykańscy uczestniczyli w zakulisowych rozgrywkach. Rudy Giuliani, wysłannik Trumpa, naciskał na uruchomienie ukraińskiej prokuratury w sprawie Burismy, łącząc to z kwestią programów amerykańskiej pomocy.

Mówił o tym przesłuchiwany w komisji wywiadu Izby Reprezentantów William Taylor, chargé d'affaires a.i. w Ukrainie. Zeznawał on, że w działania Giulianiego zaangażowani byli także sekretarz energii Rick Perry, ambasador USA przy Unii Europejskiej Gordon Sondland oraz specjalny wysłannik do Ukrainy i Rosji Kurt Volker. Celem ich działań miało być „oswojenie" prezydenta Zełenskiego i jego doradców z koniecznością wszczęcia śledztw w sprawie Bidena oraz kontaktów ukraińskich polityków z Partią Demokratyczną. Chodziło też o to, by zrozumieli, że od tych działań zależy,

eprasa.pl d48cff2080

Prezydent Barack Obama, ówczesny wiceprezydent Joe Biden i jego syn Hunter Biden na meczu koszykówki w styczniu 2010 r. Wtedy jeszcze nie prowadził interesów w Ukrainie.

jak prezydent Trump będzie traktować Ukrainę – zwłaszcza w kwestiach pomocy finansowej i militarnej.

„Czyszczono" też Kijów z wpływów demokratów. M.in. odwołano przed terminem ambasador USA w Ukrainie Marie Yovanovitch, mianowaną jeszcze za prezydentury Baracka Obamy. Sprawa jej odwołania jest o tyle interesująca, że pokazuje ówczesną specyfikę politycznych gier. Otóż według doniesień Bloomberga za jej dymisją stał… prokurator generalny Ukrainy Jurij Łucenko (następca Szokina, kierował prokuraturą do 29 sierpnia 2019 r.). To on miał informować Giulianiego, że Marie Yovanovitch utrudnia prowadzenie śledztwa w sprawie Burismy, czyli Bidenów. Z kolei Yovanovitch ripostowała, że te oskarżenia to próba obrony Łucenki przed zarzutami, że prokuratura wciąż nie walczy z korupcją.

Ludzie

Bliskie relacje amerykańskich urzędników i ukraińskich polityków nie były czymś nadzwyczajnym. Związki te sięgają początków wieku i prezydentury Wiktora Juszczenki. Jego żona była Amerykanką, a on sam otwierał Ukrainę na Amerykę i zachodnią Europę, stawiając za cel członkostwo w NATO i Unii Europejskiej.

Nie był to tylko wybór Juszczenki i ludzi z jego otoczenia – ukraińskie elity, w pewnym stopniu opinia ta odnosi się również do osób związanych z prorosyjskim Wiktorem Janukowyczem, stawiały na Zachód. Ameryka, Europa Zachodnia bardziej im imponowały niż Rosja.

Charakterystyczny przebieg miała kampania w wyborach prezydenckich w roku 2010, kiedy to wszyscy liczący się kandydaci korzystali z usług firm i lobbystów zachodnich. Przyszły zwycięzca Wiktor Janukowycz zatrudnił Paula Manaforta, waszyngtońskiego stratega politycznego, który pomagał w kampanii prezydenckiej McCaina w 2008 r.

Jego główna rywalka, Julia Tymoszenko, wynajęła firmę konsultingową AKPD, którą założył szef sztabu Obamy, David Axelrod. Z kolei prezydent Wiktor Juszczenko zaprosił do współpracy stratega kampanii Clintona Marka Penna oraz waszyngtońską firmę konsultingową PBN. Z amerykańskich bądź brytyjskich firm korzystali też inni kandydaci.

Ludzie z amerykańskim paszportem pojawili się również w innych sferach aktywności. Byli w rządzie (nawet na stanowiskach ministrów, na przykład Ulana Suprun kierowała resortem zdrowia za czasów prezydenta Poroszenki), w administracji, w bankowości i przede wszystkim w armii.

Po roku 2014 rozpoczęła się przebudowa ukraińskich sił zbrojnych i amerykańscy instruktorzy odegrali w tej operacji kluczową rolę. W jednym tylko Jaworowskim Ośrodku Szkolenia Bojowego w zachodniej Ukrainie szkolenie prowadziło 300 instruktorów z USA. Kształcili oficerów i podoficerów. Jak niedawno podał „New York Times", „od roku 2015 w okolicach Lwowa Amerykanie wyszkolili ponad 27 tys. ukraińskich żołnierzy". W momencie rosyjskiej inwazji amerykańscy instrukotrzy zostali z bazy wycofani.

Z kolei jesienią 2021 r. pracę w Ukrainie rozpoczęła specjalna komórka wojsk USA specjalizująca się w obronie przed atakami cyfrowymi. Amerykanie rozbudowali ukraiński system cyberbezpieczeństwa. Odniesiono sukces – Ukrainie udało się odeprzeć jeszcze przed wybuchem wojny, 14 stycznia i 15 lutego 2022 r., dwa groźne cyberataki – na ministerstwa obrony i energetyki oraz system bankowy. Odparty został również cyberatak przeprowadzony w noc poprzedzającą inwazję .

Dzikie Pola

Gdybyśmy jednak na tej podstawie chcieli wysunąć tezę, że Ukraina była krajem, gdzie Amerykanie rozdawali karty, byłaby to spora pomyłka. Jeszcze większe pieniądze niż z USA szły do Kijowa z Unii Europejskiej. Pomoc UE dla Ukrainy w latach 2014-2018 wyniosła 3,5 mld dol., a Europejski Bank Odbudowy i Rozwoju w formie bezpośrednich inwestycji i kredytów przekazał dodatkowo 3,8 mld dol.

FOT. AP/EAST NEWS, ABACA/EAST NEWS

eprasa.pl d48cff2080

Patrząc zaś szerzej – zauważymy, że dla Zachodu jeszcze atrakcyjniejszym krajem do inwestowania niż Ukraina była Rosja. Jeśli zaś chodzi o Europę, to głównym inwestorem w Rosji były Niemcy. Po zapaści 2014 r. niemieckie koncerny, mimo gospodarczych ograniczeń, zaczęły odbudowywać swoją pozycję w Rosji. A ich roczne inwestycje zaczęły przekraczać 3 mld euro rocznie.

Wielki biznes, wielkie koncerny, były zafascynowane Rosją i możliwościami handlu. 140 mln konsumentów, bogactwa naturalne – to wszystko rozbudzało wyobraźnię. I kształtowało niemiecką politykę. Co interesujące – niemiecko-rosyjska wymiana handlowa była na poziomie wymiany niemiecko-węgierskiej. I była trzykrotnie niższa niż wymiana niemiecko-polska! Lecz te dane na niemieckich menedżerach nie robiły żadnego wrażenia. Liczył się miraż przyszłych interesów w Rosji.

Tymczasem ten miraż od kilku lat jest weryfikowany przez realia. Większość niemieckich firm, które inwestowały w Rosji, kończyła ze stratami. To powodowało, że zaczęły się wycofywać z niemieckiego rynku. W roku 2011 działało w Rosji 6300 firm z udziałem kapitału niemieckiego. W roku 2021 było ich już tylko 3651. I zapowiadano, że to nie koniec, że będą się wycofywać kolejne. Biznes wyliczał – płytki rynek, wysokie koszty działalności, niejasne przepisy, wszechobecna korupcja. A do tego doszły ostatnie posunięcia administracji.

Otóż jeszcze przed inwazją na Ukrainę, w grudniu 2021 r., prezydent Putin podpisał ustawę, na mocy której przebywający w Rosji cudzoziemcy mają być regularnie badani pod kątem zażywania narkotyków, chorób zakaźnych, takich jak HIV, kiła, gruźlica i koronawirus. Także dzieci powyżej szóstego roku życia oraz współmałżonkowie mają co trzy miesiące poddawać się badaniom, w tym „badaniom rentgenowskim z wysokim poziomem promieniowania. Obowiązkowe są również rozmowy z psychologami", podkreślał niemiecki portal RND. Dla zachodnich menedżerów pracujących w Moskwie i Petersburgu ustawa była szokiem. Zwłaszcza że musieli godzinami czekać na badania i wyniki. „Jest oczywiste, że jeszcze więcej firm spakuje manatki w 2022 r., jeśli wkrótce nie zostaną znalezione rozwiązania, które ustabilizują klimat biznesowy", mówił Matthias Schepp, szef Niemiecko-Rosyjskiej Izby Handlu Zagranicznego.

Taki zresztą, jak mówili przedstawiciele biznesu, był zamysł Moskwy. Żeby zachodni menedżerowie nie chcieli pracować w Rosji i żeby ich stanowiska przejęli miejscowi. Ale to już jest przeszłość. Niemiecko-Rosyjska Izba Handlu Zagranicznego, która jeszcze 14 lutego 2022 r. promowała wielką kampanię lobbingową na rzecz rosyjsko-niemieckich kontaktów, ucichła. Za to mówi się coraz więcej o przyszłej odbudowie Ukrainy.

Nie miejmy złudzeń, kto ustawi się na czele kolejki tych, którzy dostaną najlepsze kontrakty. I jakie nazwiska w różnych radach dyrektorów będą się liczyć.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Z Galicji

Jan Widacki

Giertych za Ziobrę, Kuba za Michała…

Marszałek Senatu Tomasz Grodzki publicznie ujawnił swojego kandydata na stanowisko prokuratora generalnego. Oczywiście po wygranych przez opozycję wyborach. Otóż zdaniem pana marszałka na to stanowisko nadaje się najbardziej… Roman Giertych! Ujawniając nazwisko kandydata, marszałek ujawnił znacznie więcej. Nie chodzi już o to, że to akurat Giertych. Z całą jego przeszłością z czasów, gdy był posłem, członkiem komisji śledczej, ministrem w pierwszym rządzie PiS. Platforma już tak ma. Lubi przytulać tych, którzy odeszli od Jarosława Kaczyńskiego albo zostali przez niego wyrzuceni. Osób takich nawet wśród prominentnych członków Platformy znalazłoby się niemało. Za najlepszą rekomendację do polityki i zajmowania najwyższych stanowisk Platformie wystarcza, jak widać, aktualny, dobrze nagłośniony w mediach konflikt z Jarosławem Kaczyńskim. Tak już jest, ale tu nawet nie o to chodzi.

Jak widać, dla pana marszałka Senatu, czwartej osoby w państwie, jednego z liderów opozycji, transformacja po pokonaniu PiS w wyborach miałaby polegać nie na zmianach instytucjonalnych, ale na zmianach personalnych. W ramach takiej filozofii rzeczywiście Ziobrę mógłby zastąpić Giertych. W konsekwencji ludzi Ziobry zastąpiliby ludzie Giertycha. Tyle że istotą patologii polskiej prokuratury nie jest to, że Ziobro ma paskudny charakter i trzeba go wymienić, najlepiej na Giertycha. Nie jestem zresztą pewien, czy Giertych charakter ma lepszy. Istotą tej patologii jest upolitycznienie prokuratury, bo na jej czele stanął polityk, i to polityk o wyrazistych, skrajnych poglądach. Tu akurat Giertych ma identyczne kwalifikacje jak Ziobro. I na stanowisko prokuratora generalnego tak samo jak Ziobro się nie nadaje.

Polsce potrzebna jest sprawna, profesjonalna i całkowicie apolityczna prokuratura. Oczywiście trzeba rozdzielić stanowiska ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Ministrem sprawiedliwości z natury rzeczy (i konstytucjonalnego porządku) może (choć też wcale nie musi) być polityk. Ale prokuratorem generalnym powinien być apolityczny fachowiec! Najlepiej sędzia karny, doświadczony, ale nieubabrany politycznie prokurator (są jeszcze tacy!), może profesor prawa. W każdym razie musi to być osoba ciesząca się szacunkiem z racji swojej wiedzy, uczciwości, siły charakteru. Bo tylko taka osoba jest w stanie uczynić z prokuratury apolityczny, służący państwu, prawu i obywatelom organ.

Wydawać by się mogło, że są to sprawy oczywiste, przynajmniej dla liderów opozycji. Jak widać – nie są. A tak na marginesie, czy opozycja ma jakiś program naprawy wymiaru sprawiedliwości poza pomysłami, aby ludzi Ziobry zastąpić ludźmi Giertycha, Kubą zastąpić Michała, Frankiem Józka…?

Tymczasem z uporu i obsesji Kukiza (prawdziwe nieszczęście polskiej polityki!) trwają prace nad wprowadzeniem do polskiego wymiaru sprawiedliwości instytucji „sędziego pokoju". Jestem absolutnie pewien, że Kukiz nie wie, na czym polega ta instytucja. Tak mu się rzuciło, bo tak mu się skojarzyło. Bo tak sobie wyobraził, że ludzie sami sobie będą wybierać sędziów do drobniejszych spraw. Bo takie ma wyobrażenie idealnego państwa demokratycznego: jednomandatowe okręgi wyborcze i sędziowie pokoju. I plecie o tym już od kilku lat. Ale głosy Kukiza i jego posłów nabrały w Sejmie znaczenia. Potrzebuje ich PiS, potrzebuje opozycja. W efekcie w Sejmie są już złożone cztery projekty ustaw o instytucji sędziego pokoju.

Za najlepszą rekomendację do polityki Platformie wystarcza dobrze nagłośniony w mediach konflikt z Jarosławem Kaczyńskim.

Do tematu sędziego pokoju trzeba będzie wrócić przy innej okazji, bo to temat ważny i – co więcej – niebezpieczny. Autorzy wszystkich czterech projektów nie bardzo potrafią odpowiedzieć na pytanie, na jaką to dolegliwość polskiego wymiaru sprawiedliwości sędzia pokoju ma być lekarstwem, nie bardzo wiedzą, jak ta instytucja (ściślej instytucje – bo modeli instytucji sędziego pokoju w świecie jest wiele) ma wyglądać i do czego właściwie jest potrzebna poza zaspokojeniem ambicji posła Kukiza. W efekcie, jeśli Sejm zdąży ustawę uchwalić (nadzieja w tym, że nie zdąży), wrócimy, pod nową nazwą, do instytucji kolegiów do spraw wykroczeń, które przed laty, słusznie jako przeżytek z czasów PRL, likwidowaliśmy. Dyskusja o instytucji sędziego pokoju w oderwaniu od dyskusji o całym modelu wymiaru sprawiedliwości po prostu nie ma sensu. A o wymiarze sprawiedliwości, jego reformie, kierunkach tej reformy opozycja rozmawiać nie chce albo nie potrafi. Pozostaje więc tylko debata, czy Giertych za Ziobrę, Kuba za Michała…

j.widacki@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM AUTORA

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Kogo i jak (nie) obchodzą sankcje

Czy Rosja wygra gospodarczą wojnę z Zachodem?

Marek Czarkowski

Należąca kiedyś do gdańskiej spółki LPP SA marka Sinsay to obecnie Sin.

Sankcje i embargo to instrumenty nacisku na przeciwnika znane i stosowane od stuleci. Na początku XIX w. Napoleon Bonaparte chciał zgnieść gospodarkę Wielkiej Brytanii, wprowadzając blokadę kontynentalną, czyli zakaz handlu z Londynem przez kraje europejskie. Bezskutecznie.

W roku 1906 rząd Austro-Węgier wprowadził embargo na serbskie towary, chcąc wymusić ustępstwa Belgradu. Głównym towarem eksportowym Serbii była wówczas trzoda chlewna, dlatego konflikt nazwano „świńską wojną". Nie udało się.

Amerykanie od 40 lat dokładają starań, by pogrążyć sankcjami Iran. Z miernym skutkiem.

Premier Wielkiej Brytanii Winston Churchill słynął z miłości do kubańskich cygar firmy Romeo y Julieta. Jej właściciele specjalnie dla niego wyprodukowali cygara o długości 178 mm. Ten standard nazwano „Churchill" i jest on nadal bardzo popularny. Gdy na początku lat 60. Stany Zjednoczone wprowadziły embargo na handel z Kubą rządzoną przez Fidela Castro, Winston ostentacyjnie pokazywał się ze słynnym cygarem i mówił, że takimi bzdurami jak embargo nie będzie się przejmował.

Plotka głosi, że Monika Lewinsky, przyjaciółka prezydenta Billa Clintona, używała w celach intymnych kubańskiego cygara formatu „Presidente" o długości 235 mm, pochodzącego z poufnych zapasów Białego Domu. Amerykańskie sankcje wobec „Wyspy wolności" nie przyczyniły się do obalenia Fidela Castro i jego następców. Podobnie może być w wypadku Rosji.

Historia nie zna przypadku, by duże państwo ugięło się pod sankcjami. I zapewne tak będzie w wypadku Rosji.

To Amerykanie zbudowali Związek Radziecki

Wśród kremlowskich polityków powszechna jest świadomość, że sankcje są po to, by je obchodzić. Związek Radziecki od chwili powstania został nimi objęty przez kraje zachodnie. Utrudniło to intensywną industrializację kraju, zwłaszcza w latach 1925-1940, lecz jej nie przeszkodziło. Budowa hut, elektrowni wodnych, zakładów produkujących ciężarówki, samochody osobowe, traktory itp. byłaby niemożliwa, gdyby nie amerykańscy inżynierowie i amerykańskie firmy.

Spółka architekta Forda Alberta Kahna w latach 1929-1942 zaprojektowała na zlecenie rządu radzieckiego 521 fabryk, w tym słynną fabrykę traktorów w Stalingradzie. Głównym inżynierem budowy Dnieprogesu (obecnie Dnieprzańska Elektrownia Wodna) – wielkiej elektrowni na Dnieprze w Zaporożu – był inżynier Hugh Cooper, który wcześniej budował elektrownie wodne w Stanach Zjednoczonych. John K. Calder z Detroit nadzorował budowę fabryki traktorów w Czelabińsku, w której miano produkować repliki ciągnika gąsienicowego Caterpillar o wdzięczniej nazwie „Staliniec". Inny Amerykanin, Leon A. Swajian, wcześniej zaangażowany w budowę zakładu Forda w River Rouge, w latach 30. XX w. nadzorował rozbudowę małej fabryki traktorów w Leningradzie, a następnie budowę zakładu w Charkowie, w którym miały być produkowane kopie traktorów firmy International Harvester. W czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu, aż do rozpadu Związku Radzieckiego, w obu tych przedsiębiorstwach produkowano czołgi. Ich rewolucyjne podwozie na początku lat 30. XX w. sprzedał Związkowi Radzieckiemu amerykański inżynier i wynalazca Walter Christie.

eprasa.pl d48cff2080

Kompleks zakładów hutniczych w Magnitogorsku na Uralu zaprojektowała firma Arthur G. McKee & Company z Cleveland, która potem nadzorowała ich budowę. Była to kopia zakładów United States Steel Corporation Gary Works w stanie Indiana. Zanim w 1933 r. prezydent Franklin D. Roosevelt uznał oficjalnie Związek Radziecki, świetne interesy z ZSRR robiły takie firmy jak General Electric International, Westinghouse Electric Company, General Motors i Chase National Bank.

Wolno przypuszczać, że także teraz znajdą się ludzie i firmy gotowe dobrze zarobić na handlu z Rosją. Na początku marca br. dziennikarze stacji NBC ujawnili, że nowojorski bank inwestycyjny Goldman Sachs sprzedaje rosyjskie papiery dłużne amerykańskim funduszom hedgingowym, wykorzystując lukę prawną w sankcjach wobec Rosji, ogłoszonych przez prezydenta Bidena. Biznes był wyjątkowo lukratywny, gdyż rosyjskie papiery wyceniano wówczas bardzo nisko. To przypadek, o którym wiemy. A jest jeszcze szara strefa, o której na razie nic nie wiemy.

Na początku czerwca br. Reuters podał, że ambasadorka Stanów Zjednoczonych przy ONZ Linda Thomas-Greenfield zapewniła, iż jej kraj gotów jest wystawić listy gwarancyjne firmom żeglugowym i ubezpieczeniowym, by ułatwić eksport rosyjskiego zboża i nawozów sztucznych. Amerykanie uznali, że w wypadku pszenicy nie należy przesadzać z sankcjami, zwłaszcza gdy boleśnie uderzają one w ich sojuszników.

Cóż, historia nie zna przypadku, by duże państwo ugięło się pod sankcjami. I zapewne tak będzie w wypadku Rosji.

Zawsze jest jakiś sposób

Polski biznes także ma doświadczenie w obchodzeniu sankcji. Moskwa w 2006 r. wprowadziła sankcje na polskie mięso eksportowane przez nasze zakłady na wschód. Firmy, które oficjalnie zajmowały się tym handlem, z dnia na dzień straciły rynek. Za to pojawiły się nowe, dla których ów zakaz stał się okazją do robienia interesów. Kluczowym warunkiem było znalezienie ukraińskiego partnera z dobrymi dojściami w Rosji. Schemat był taki. Polska spółka odprawiała samochody chłodnie z mięsem na Ukrainę. Po przekroczeniu granicy zamieniano dokumenty i polskie mięso stawało się ukraińskim. Następnie bez przeszkód jechało do Moskwy, Nowogrodu, Petersburga… Ten sam model biznesowy stosowany był w wypadku polskich jabłek, które wjeżdżały do Rosji jako białoruskie, serbskie ewentualnie mołdawskie.

Zapewne Moskwa sięgnie po identyczne rozwiązania, chcąc obejść zachodnie sankcje. Na przykład zakaz sprzedaży złota czy ropy naftowej oraz paliw płynnych. Choć tak być nie musi. Chiny, Indie, Brazylia, Argentyna, Iran, większość krajów arabskich, afrykańskich, południowoamerykańskich oraz krajów Dalekiego Wschodu zachowują wobec Rosji neutralność.

Ostatnio Reuters podał, że na przełomie maja i czerwca Indie zwiększyły zakupy rosyjskiego węgla do 331,17 mln dol. Średnio każdego dnia kraj ten kupował węgiel za aż 16,5 mln dol. Podczas gdy wcześniej była to kwota 7,71 mln dol. Pod względem tonażu, w porównaniu z rokiem 2021, jest to wzrost sześciokrotny. Oczywiście Moskwa sprzedaje węgiel ze zniżką ok. 30%.

Identyczna sytuacja panuje w handlu ropą naftową. W tej samej depeszy Reuters podał, że o ile w ubiegłym roku Rosja sprzedała Indiom ten surowiec za 110 mln dol., o tyle w roku bieżącym jest to 2,22 mld dol. By ułatwić i ożywić handel, rosyjskie banki przyjmują od Delhi zapłatę za dostawy węgla i ropy w rupiach. Co oznacza, że wkrótce zaczną się wzmożone dostawy towarów z subkontynentu na rosyjski rynek.

Coraz ściślejsze są kontakty handlowe Kremla z Chinami. Chodzi nie tylko o nowe kontrakty na dostawy rosyjskiego gazu, węgla i ropy naftowej, ale także o współpracę w dziedzinie elektroniki, informatyki i farmacji. Ostatnio USA wpisały na czarną listę i objęły sankcjami 36 firm, z czego 26 z Chin, które współpracują z rosyjskim sektorem zbrojeniowym. Byli to głównie dostawcy podzespołów elektronicznych.

Media zapewniały, że poważnym ciosem dla Moskwy będzie wycofanie się znanych światowych marek, takich jak Apple. Oznaczało to nie tylko wstrzymanie dostaw nowych towarów, ale i zamknięcie autoryzowanych punktów serwisowych. Rozwiązaniem stał się tzw. import równoległy, czyli sprowadzanie urządzeń z innych krajów. W wypadku Apple głównie z Chin. Ceny nowych smartfonów z Cupertino są oczywiście wyższe o kilkanaście procent, a usługi serwisowe zajmą więcej czasu, ale nie są to zbyt uciążliwe przeszkody. Miejsce opuszczone przez amerykańskiego giganta wypełnią chińscy producenci elektroniki, tacy jak Xiaomi, Huawei, vivo, Oppo, realme, Nubia czy Ulefone. I zarobią miliardy. Dziesiątki miliardów.

Zwłaszcza że Moskwa ma czym płacić. Na skutek sankcji ceny surowców energetycznych bardzo wzrosły i Kreml osiąga rekordowe zyski. A ponieważ Rosja kupuje mniej towarów w krajach zachodnich, rubel tak się umocnił – w ubiegłym tygodniu dolar kosztował 50 rubli – że aby powstrzymać ten proces i osłabić go, interweniowało ministerstwo finansów.

Kreml wie, że najskuteczniejszym sposobem, by wyrwać zęby zachodnim sankcjom, jest budowa alternatywnego systemu międzynarodowych rozliczeń i wprowadzenie konkurencyjnej wobec dolara waluty lub kilku walut. W połowie czerwca kraje BRICS (Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i RPA) wezwały do stworzenia – jak to ujęły – zdywersyfikowanego, stabilnego i przewidywalnego systemu walutowego oraz zwiększenia roli państw rozwijających się międzynarodowych instytucjach finansowych. W prasie zachodniej pojawiły się informacje, że ruszyły prace nad

By ułatwić i ożywić handel, rosyjskie banki przyjmują od Delhi zapłatę za dostawy węgla i ropy w rupiach.

FOT. TASS/FORUM

eprasa.pl d48cff2080

stworzeniem, postulowanej przez Kreml nowej waluty rozliczeniowej.

Rosyjskie media wiele uwagi poświęcają dwóm krajom – Iranowi i Kubie. Pokazując, jak można żyć pod sankcjami i dowodząc, że wielka, bogata w surowce naturalne i dysponująca niezłym rolnictwem Rosja bez trudu poradzi sobie z gospodarczą agresją „kolektywnego Zachodu". „Ciuchy Armaniego zastąpimy równie dobrą produkcją turecką. Zamiast na Riwierę Francuską polecimy na Riwierę Turecką albo do Tajlandii. A leki sprowadzimy z Chin i Indii, a potem sami je wyprodukujemy", taki jest przekaz rosyjskich mediów.

Także część zachodnich firm nie chce oddawać konkurencji rosyjskiego rynku. Gdańska spółka LPP SA (właściciel marek Reserved, Cropp, House, Mohito i Sinsay) podała w maju br. informację o sprzedaży swojej spółki zależnej RE Trading OOO, odpowiedzialnej za działalność jej sklepów na terenie Federacji Rosyjskiej, nieznanej z nazwy chińskiej firmie. Okazało się, że sklepy należące niegdyś do tej spółki zależnej LPP działają nadal pod lekko tylko zmienionymi nazwami. I tak Reserved to obecnie Re, Cropp to Cr, a Sinsay to Sin. Łatwo się domyślić, że nie sprzedaje się w nich tureckich ciuchów.

Głośny jest też przypadek sieci McDonald's, która w połowie maja br. oficjalnie wycofała się z Rosji, przekazując 850 swoich restauracji mało znanemu biznesmenowi Aleksandrowi Goworowowi. Kwota, jaką zapłacił on Amerykanom, nie została ujawniona. Jednocześnie koncern zachował prawa do znaku McDonald's na terenie Federacji Rosyjskiej. Dlatego nowe – a właściwie stare – lokale działają pod nazwą Smacznie i Kropka. Nie brak podejrzeń, że gdy wojna w Ukrainie się skończy, a sytuacja uspokoi, Amerykanie wrócą, odkupując od Goworowa „swoje" restauracje za nieujawnioną cenę.

W podobny sposób Rosję opuścił francuski koncern Renault, który sprzedał rosyjskiemu państwu udziały w rosyjskim koncernie AVTOVAZ. Gwarantując sobie jednocześnie możliwość ich pierwokupu w ciągu najbliższych sześciu lat.

W związku z sankcjami rosyjski rząd chce przeorientować gospodarkę na współpracę z partnerami azjatyckimi, afrykańskimi i południowoamerykańskimi. Zakłada, że gdy wojna się skończy, część państw zachodnich wróci do robienia wzajemnie korzystnych interesów.

29 czerwca br. na łamach niemieckiego tygodnika „Die Zeit" ukazał się apel pod tytułem „Rozejm teraz" podpisany przez liczne grono naukowców, ekonomistów, pisarzy i dziennikarzy, którzy wzywają Zachód do podjęcia wysiłków w celu doprowadzenia do rozejmu i rozpoczęcia rozmów z Kremlem. Bo przecież tracą na tym wszyscy.

Sny o rosyjskich mikroprocesorach i nowoczesnych lekach

Są jednak dwa obszary gospodarki, w których Rosja znacząco odstaje i samodzielnie nie sprosta wyzwaniom, jakie stworzyły zachodnie sankcje – to produkcja mikroprocesorów i farmacja. W ostatnich latach Rosjanie zaprojektowali dwa procesory, które można montować w komputerach osobistych i serwerach – to Bajkał i Elbrus. Są one wytwarzane na Tajwanie przez firmę TSMC – największego i najnowocześniejszego w świecie producenta tego rodzaju układów. Ostatnio w ramach sankcji spółka odmówiła dalszej współpracy i Kreml został bez tych układów. Mimo że znacząco odbiegały one od procesorów produkowanych dla amerykańskich koncernów Intel i AMD, można było budować na ich podstawie komputery. Jeśli rosyjskiemu rządowi nie uda się zorganizować produkcji w miarę nowoczesnych mikroprocesorów, konsekwencje dla gospodarki i obronności kraju będą dramatyczne.

Na skutek sankcji ceny surowców energetycznych bardzo wzrosły i Kreml osiąga rekordowe zyski.

Rosyjscy inżynierowie są w stanie zaprojektować nowoczesne układy, nie gorsze niż te, które mają Amerykanie. Lecz w Federacji Rosyjskiej nie ma ani jednego zakładu dysponującego technologiami zdolnymi wypuścić taki produkt. Koszt wybudowania fabryki mikroprocesorów liczony jest w miliardach dolarów i nawet gdyby Rosję było na to stać, budowa zajęłaby lata, bez gwarancji, że wszystko się powiedzie. Poza tym największym i właściwie jedynym dostawcą urządzeń do fotolitografii, na której opiera się cały proces produkcji tych układów, jest holenderska firma ASML. Dziś znajduje się ona pod bardzo ścisłą kontrolą największych służb specjalnych zachodniego świata. Co oznacza, że droga do zakupu takich urządzeń przez Kreml jest zamknięta. Dlatego Rosjanie będą musieli kupować procesory w ramach importu równoległego, płacąc za nie znacznie więcej, niż gdyby panował pokój. Na razie z powodu braku układów scalonych stanął rosyjski przemysł samochodowy. W przyszłości może być tylko gorzej.

Przed identycznym wyzwaniem stanęła branża farmaceutyczna. Wiele nowoczesnych leków było importowanych z krajów, które dzisiaj Kreml uważa za wrogie. Z pewnością koncerny chińskie i indyjskie mogą zastąpić zachodnie firmy, jednak produkcja nowoczesnych leków na terenie Federacji Rosyjskiej będzie niemożliwa z powodu ograniczonego dostępu do specjalistycznego sprzętu, który jest produkowany w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych.

Wkrótce poznamy skalę problemów, jakie w tych obszarach wywołały zachodnie sankcje. Czy będzie to miało wpływ na społeczeństwo rosyjskie? Raczej nie. Rosjanie, zwłaszcza ci żyjący na prowincji, nie mają wielkich oczekiwań. Mieszkaniec okolic Kaługi pytany przez dziennikarza telewizji ORT 1, co sądzi o z sankcjach, odparł, że jeśli będzie „kartoszka" (smażone na oleju słonecznikowym ziemniaki) i chleb, to on wszystko przetrwa. Tacy jak on zdecydują, czy Rosja wygra, czy przegra gospodarczą wojnę z Zachodem.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Ten stan wyjątkowy był zbrodnią

Po cichutku, bez konferencji prasowych, bez ministrów w świetle kamer dokonał żywota. Został wprowadzony 2 września 2021 r. wzdłuż granicy polsko-białoruskiej, potem, po 90 ustawowych dniach, przedłużany pod pretekstem na chybcika uchwalonej ustawy o ochronie granicy, przepchniętej przez tzw. parlament i podpisanej przez tzw. prezydenta. Obie te decyzje legislacyjne oraz wszyscy, którzy przyłożyli do nich rękę i je realizowali, przechodzą do historii polskiego bezprawia i rasizmu, tortur, bezwzględnego traktowania ludzi, których polskie i międzynarodowe (ratyfikowane przez Polskę) prawo każe otoczyć szczególną ochroną, opieką i troską. W zamian były śmierci, brutalność, niekończące się wypychanki na białoruską stronę (pushbacki, żeby brzmiało niezrozumiale). Prezydent, premier, wicepremier ds. bezpieczeństwa (Jarosław Kaczyński), ministrowie (w szczególności Mariuszowie Kamiński i Błaszczak), dowódcy, oficerowie, funkcjonariusze Straży Granicznej i Wojsk Obrony Terytorialnej, policji, parlamentarzyści całej tzw. Zjednoczonej Prawicy mają krew na rękach, mają na sumieniu zadekretowanie tortur i hańbiących praktyk. O tym, że również do nich samych to dociera, świadczy równoczesna cisza nad tym, co się działo i dzieje na tamtej „złej" granicy, i niekończący się bulgot zachwytu nad pomocą dla uchodźczyń i uchodźców z Ukrainy – traktowanych skrajnie odmiennie.

Odpowiedzialność za przeprowadzenie tej operacji ponoszą także pasy transmisyjne propagandy antyuchodźczej, niegdyś zwane mediami. O roli tzw. mediów publicznych nawet nie warto wspominać, przeżyliśmy spotkanie oko w oko z praktykami hitlerowskich szmatławców. Ale trzeba z całą mocą podkreślić, że również tzw. wolne media nie udźwignęły wyzwania, bo choć zdarzało im się relacjonować naganne, kryminalne czy choćby problematyczne zachowania polskich władz, instytucji, służb, to równocześnie niemal po dziś dzień nie radziły sobie z pełnym stygmatyzacji, stereotypów i uprzedzeń językiem. Antyuchodźczy język rasizmu okazał się językiem ponadpolitycznego porozumienia i jedności narodowej. Kilkanaście dni temu, wedle relacji Wojciecha Tochmana na Facebooku, we flagowym programie wolnych mediów, „Faktach" TVN, jego czołowi prezenterzy: Grzegorz Kajdanowicz (później) i Anita Werner (wcześniej) posługiwali się frazą „nielegalni imigranci". Jest to klasyczny przykład zideologizowanej, mającej sprawiać wrażenie obiektywności, ignorancji. Prawo do przemieszczania się, migrowania jest jednym z podstawowych praw człowieka, ujętych w każdym najważniejszym kodeksie międzynarodowym. Jest czymś niezbywalnym, czymś, co określa podstawowe wolności człowieka. Istnieje wydana przed kilku laty przejrzysta książka, kompendium wiedzy na ten temat: „Migranci, migracje. O czym warto wiedzieć, by wyrobić sobie własne zdanie" wydawnictwa Karakter. Wystarczy przeczytać i zrozumieć.

Wracając do stanu wyjątkowego na granicy z Białorusią. Szacuje się, że nawet kilkaset osób mogło stracić życie w konsekwencji zachowań państwa polskiego. Ciała migrantów będą odnajdywane w nadgranicznych bagnach i ostępach jeszcze przez dekady. Albo nigdy nie zostaną odnalezione. Na katalogu krzywd wyrządzonych migrantom i migrantkom, w tym dzieciom, podczas wypychania ich poza polską granicę, wywożenia, przesłuchań, wielomiesięcznego przetrzymywania w ośrodkach zamkniętych się nie kończy.

Antyuchodźczy język rasizmu okazał się językiem ponadpolitycznego porozumienia i jedności narodowej.

Zdewastowano jeden z najważniejszych, najpiękniejszych, najrzadszych pomników europejskiej przyrody – Puszczę Białowieską. Stawiając nieskuteczny, zbędny, karygodny mur. Demolując ciężkim sprzętem budowlanym jego bezpośrednie i dalsze otoczenie, lokalne drogi. Wyrządzając niepowetowaną krzywdę roślinom i zwierzętom. Ten mur, o każdy swój metr zbędny, jest na kolejne lata, aż do jego usunięcia i rewitalizacji otoczenia, murem pomnikiem polskiej bezdennej głupoty, manipulanctwa, propagandowego odurzenia i bezwzględności. To mur śmierci i kłamstwa, a nie „bezpieczeństwa".

I jeszcze ludzie. Ludzie skrzywdzeni stanem wyjątkowym za to, że tam żyją, mieszkają, pracują. Ich życie, praca, spokój zostały złożone na politycznym ołtarzu nagonki na niechrześcijańskich, „niebiałych" uchodźców. Z ich domów, sąsiedztwa uczyniono kryminalną zonę. I dzień w dzień straszono, rewidowano, ścigano, grożono, kiedy zwyciężało człowieczeństwo i wola ratowania ludzi skazanych przez Polskę na głód, choroby, cierpienia i śmierć.

Polska będzie się długo dźwigać z tego pasma zbrodni. Mam nadzieję, że winni odbędą zasłużone kary. Do końca ich żywota nie pozwolimy im o tym zapomnieć. Andrzeju Duda, Jarosławie Kaczyński, Mateuszu Morawiecki, Mariuszu Kamiński, Mariuszu Błaszczak, Tomaszu Praga, Jarosławie Szymczyk i inni – ten stan wyjątkowy był zbrodnią, a wy jesteście za to odpowiedzialni.

r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Czołgi to nie przeżytek

Europa znów stawia na solidny pancerz, gąsienice i wielkokalibrową lufę

Marcin Ogdowski

W połowie czerwca br. w Paryżu odbyły się Eurosatory 2022, targi zbrojeniowe poświęcone wyposażeniu wojsk lądowych, druga co do wielkości tego rodzaju impreza na świecie. Z powodu sankcji w halach wystawienniczych zabrakło przedsiębiorstw z Rosji, co wykorzystały zbrojeniówki z Chin i Indii, prezentując sporo sprzętu o poradzieckiej i rosyjskiej proweniencji. Był także inny, trochę nietypowy „rosyjski" akcent w postaci… nadmuchiwanego zestawu rakietowo-artyleryjskiego Pancyr-S1. Gumowa makieta – wyprodukowana przez Amerykanów z firmy i2k Defense – to oferta całkiem serio, skierowana do użytkowników rosyjskiej broni. O tym, że realistycznie odwzorowane systemy uzbrojenia nadal są wykorzystywane w działaniach pozoracyjno-maskujących, świadczą chociażby drewniane czołgi stawianie przez Białorusinów przy granicy z Ukrainą. W tym wypadku „maskirowka" się nie powiodła – Ukraińcy zdobyli wiele zdjęć ilustrujących powstawanie rzekomego odwodu pancernego – niemniej solidnie wykonane makiety wciąż pozostają w cenie. Poza myleniem przeciwnika służą też do działań szkoleniowych dla własnych wojsk. Wspomniany Pancyr mógłby przydać się lotnikom trenującym wykrywanie wrogich systemów rakietowych.

Wracając do targów – zorganizowano je w cieniu wojny rosyjsko-ukraińskiej, pierwszego od dekad tak poważnego konfliktu w Europie. W mediach z miejsca pojawiły się opinie, wedle których sytuacja w Ukrainie wprost przełożyła się na ofertę wystawienniczą. „Europa znów pokochała czołgi", zawyrokował jeden z największych na kontynencie portali, sugerując, że producenci zdołali już wyciągnąć wnioski z bitew stoczonych po 24 lutego. Trudno zgodzić się z taką oceną, bowiem czołgów nie projektuje się z tygodnia na tydzień czy nawet z miesiąca na miesiąc. Powierzchowne modernizacje da się przygotować w tak krótkim terminie, ale zaawansowanych już nie. Co wcale nie oznacza, że kolejna pancerna fiksacja Europy nie ma swoich źródeł w działaniach Moskwy. Tyle że nie chodzi tu o najnowszą odsłonę prób znokautowania Ukrainy, a o wysiłki z przełomu 2014-2015 r. – z fazy najintensywniejszych manewrowych starć w Donbasie, gdzie czołgi dowiodły, że nadal liczą się na polu walki. Pełnoskalowa inwazja potwierdziła zjawisko pancernej dominacji, z zastrzeżeniem, że pojazdy nie przetrwają bez należytej aktywnej ochrony – sam pancerz to za mało. Wystawcy uwzględnili ów czynnik, choć miejmy świadomość, że zachodni producenci czołgów już od dawna udoskonalają systemy unieszkodliwiania nadlatujących pocisków.

> Realistycznie odwzorowane systemy uzbrojenia wciąż są wykorzystywane w działaniach pozoracyjno-maskujących.

Cyfrowa Panthera

Co znamienne, ale i niezaskakujące, w kwestii pancernych kolosów najwięcej w Paryżu mieli do powiedzenia Niemcy. Media skupiły się szczególnie na ofercie koncernu Rheinmetall – czołgu Panthera KF-51. Poza kwestiami merytorycznymi zadecydowała o tym symbolika – nazwa wprost nawiązująca do wozu produkowanego w czasach III Rzeszy. Nad Renem istnieje tradycja, zgodnie z którą czołgom (i innym ciężkim wozom bojowym) nadaje się „imiona" dzikich kotów (Tygrys, Leopard, Gepard itp.), lecz ta konkretna konotacja wydaje się szczególnie niefortunna. Być może dlatego Niemcy zastrzegli, że KF-51 nie jest i będzie oferowany armii niemieckiej, ale zagranicznym użytkownikom, obecnie eksploatującym wozy z rodziny Leopard. Futurystycznie wyglądającą Pantherę wyposażono w uzbrojenie główne o większym kalibrze – zamiast dotychczas najpopularniejszej armaty 120 mm, działo użyte w KF-51 ma 130 mm. Zdaniem konstruktorów pozwoli to na zwiększenie siły ognia o 50%. Proces ładowania jest w Pantherze całkowicie zautomatyzowany, armata może strzelać zarówno tradycyjną amunicją, jak pociskami typu airburst, eksplodującymi nad wybranym celem (co okazuje się morderczo skuteczne w rażeniu piechoty). Czołg wyposażono w zaawansowane systemy samoobrony oraz w mnóstwo cyfrowych udogodnień (w tym sensorów), zwiększających świadomość sytuacyjną załogi. Ma również wyrzutnię amunicji krążącej, zdolnej do atakowania celów na odległość do 60 km. Przypomnijmy, że do tej pory o klasie czołgu decydował skuteczny zasięg armaty, nieprzekraczający 2-3 km.

Inny niemiecki kolos na gąsienicach zaprezentowany w Paryżu to Leopard 2A7 – najnowsza odmiana popularnego czołgu, używanego także przez Wojsko Polskie. „Leo" w najświeższej odsłonie otrzymał m.in. nową armatę dostosowaną do strzelania pociskami o zwiększonej energii kinetycznej, nowe przyrządy obserwacyjne oraz wzmocnioną ochronę balistyczną

eprasa.pl d48cff2080

Panthera KF-51 koncernu Rheinmetall ma być sprzedawana za granicę.

i przeciwminową. System aktywnej ochrony EuroTrophy wraz ze zdalnie sterowanym stanowiskiem strzeleckim znacząco podniosły parametry tzw. przeżywalności załogi. Niemniej jednak wciąż mówimy o maszynie, której początki sięgają lat 80. XX w., która w perspektywie najbliższych kilkunastu lat zmuszona będzie zejść ze sceny. Niemcy – tym razem do spółki z Francuzami – solidnie się do tego przygotowują. Przemysłowa kooperacja obu krajów odbywa się na podstawie dwóch programów – EMBT (ang. *Enhanced Main Battle Tank* – Europejski/Ulepszony Czołg Podstawowy) oraz MGSC (ang. *Main Ground Combat System* – Podstawowy Lądowy System Bojowy). W wypadku tego drugiego mówimy o produkcie, który ma być gotowy w połowie lat 30. Na razie w Paryżu pokazano prawdopodobne uzbrojenie francusko-niemieckiego czołgu przyszłości – armatę o kalibrze 140 mm. Konstruktorzy działający w ramach EMBT zaprezentowali z kolei wóz z nietypowym dla współczesnych czołgów składem załogi. Choć maszynę wyposażono w automat do ładowania, nadal wymaga ona czteroosobowej obsługi. Znakiem czasów, w których czołgi staną się „nosicielami" całej masy wyspecjalizowanych urządzeń, jest załogant – operator systemów. W EMBT odpowiedzialny za obsługę systemu zarządzania walką, drona i dodatkowego stanowiska strzeleckiego z armatą 30 mm.

Potencjał modernizacyjny

Lecz nie samymi czołgami Eurosatory stały – sporo powierzchni i uwagi poświęcono artylerii. W przeciwieństwie do wojsk pancernych, które po 1989 r. miały w zachodnich armiach pod górkę, z „boga wojny" nikt rezygnować nie zamierzał. Wiadomo było jednak, że należy artylerię „usamobieżnić", zwiększyć jej precyzję i zasięg rażenia. Koncepcje oparte na takich założeniach w całości sprawdziły się w Ukrainie. Nie dziwi zatem spore zainteresowanie, jakie towarzyszyło francuskiej armatohaubicy Caesar, używanej przez armię ukraińską. Wnioski z tej eksploatacji są na tyle obiecujące, że w Paryżu podpisano dwie umowy (z Litwą i Belgią) na dostawy systemów, do tej pory – poza krajem producenta – używanych przez „egzotyczne" armie: saudyjską, indonezyjską i tajlandzką. À propos umów – podczas Eurosatorów Polska Grupa Zbrojeniowa zawarła porozumienie o współpracy z koreańskim koncernem Hyundai Rotem. Tak naprawdę nie bardzo wiadomo, co ma z tego wynikać. Minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak zapewnia, że chodzi o „współpracę w rozwoju czołgów i transporterów opancerzonych". Koreańczycy już od jakiegoś czasu zabiegają, by Polska kupiła od nich czołgi K2 Black Panther, oferując możliwość licencyjnej produkcji i głębokiej „polonizacji" wozu i jego następców. Szczegółów na razie brak.

Gdyby rzeczywiście K2/K2PL weszły na uzbrojenie Wojska Polskiego – i towarzyszyłoby temu uruchomienie linii produkcyjnej w kraju – byłaby to dobra wiadomość. Także w kontekście obserwowanego w Europie „powrotu do czołgu". Los poradzieckich maszyn w Polsce jest już przesądzony – wszystkie trafią do Ukrainy. Niemieckie leopardy jeszcze posłużą, ale polityczne zatargi na linii Warszawa-Berlin i nieumiejętny lobbing na rzecz pozyskania kolejnych maszyn dla WP każą widzieć w produktach made in Germany co najwyżej zapas mobilizacyjny (w perspektywie najbliższych kilku lat). O sile wojsk pancernych będą zapewne decydować amerykańskie abramsy – które niebawem zaczną trafiać nad Wisłę – oraz ewentualnie koreańskie, a docelowo polsko-koreańskie maszyny. K2 to zupełnie świeży czołg, abramsy w wersji oferowanej Polsce to właściwie również nowa konstrukcja. Obie maszyny będą miały zatem bardzo wysoki potencjał modernizacyjny, co sprawi, że nawet za 20-30 lat pozostaną konkurencyjne wobec kolejnych pojawiających się typów uzbrojenia. Jeśli zaś idzie o artylerię samobieżną – gąsienicowe kraby ze Stalowej Woli (udany owoc polsko-koreańskiej współpracy!) właśnie dowodzą swojej skuteczności w Ukrainie. A i w tym przypadku mówimy o stosunkowo „młodym" systemie uzbrojenia.

Zachodni producenci czołgów już od dawna udoskonalają systemy unieszkodliwiania nadlatujących pocisków.

m.ogdowski@tygodnikprzeglad.pl

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d48cff2080

Mateusz Mazzini

Przehandlowani

Turcja wycofała weto w sprawie członkostwa Szwecji w NATO. Kurdów tam mieszkających to nie uspokoiło

Choć temperatura powietrza wynosiła wtedy zaledwie 19 st. C, 7 czerwca był jednym z najgorętszych dni w szwedzkim parlamencie. Mniejszościowy rząd pod przewodnictwem socjaldemokratki Magdaleny Andresson walczył o przetrwanie. Wotum nieufności przygotowała opozycyjna prawica, zarzucająca rządzącym bezradność w walce z przestępczością zorganizowaną. Po relatywnie spokojnym okresie pandemicznym na ulicach największych szwedzkich miast znowu zaczęły wybuchać bomby. Przyczyna nie była szczególna, po prostu na nowo uaktywniły się gangi, głównie przemytników i handlarzy narkotyków. Ale ponieważ w kilku telewizyjnych reportażach na temat wybuchów pojawili się młodzi mężczyźni o śniadej cerze, skrajnie prawicowi Szwedzcy Demokraci odkurzyli swoje zapatrywania. Ruszyli przeciwko rządowi Andersson, oskarżając go o zbyt liberalną politykę migracyjną.

Kraj od dekad neutralny nagle stał się frontowym, a sami Szwedzi przestali czuć się bezpiecznie.

Dla nich wszystko było jasne, socjaliści sprowadzali do Szwecji blisko-wschodnich terrorystów. I jeszcze płacili im za naukę szwedzkiego.

W ławach rządowych zaczęło się gorączkowe liczenie szabel i szukanie nowych zwolenników. W jednym z najbardziej prawdopodobnych scenariuszy wychodziło na remis, po 174 głosy dla każdej ze stron. Nie pierwszy raz w tej kadencji o losie szwedzkiej polityki zadecydować miała więc jedna osoba. I nie pierwszy raz była to Amineh Kakabaveh.

Bohaterka, feministka, „terrorystka"

Prezydent Turcji Recep Erdoğan nazywa ją wprost terrorystką. Dla 150 tys. mieszkających w Szwecji Kurdów jest z kolei bohaterką, symbolem tego, że w nowej ojczyźnie można osiągnąć wielki sukces. Jest feministką, ma za sobą epizod w partyzantce, w dodatku wywodzi się z ortodoksyjnego marksizmu, przez co z większością lewicowych ugrupowań nie było jej po drodze. Dlatego dzisiaj jest posłanką niezależną i twarzą kurdyjskiej demokratycznej opozycji na Półwyspie Skandynawskim. Kakabaveh dobiła targu z Magdaleną Andersson w listopadzie ubiegłego roku. Obiecała premierce, że będzie głosować razem z jej rządem nad wszystkimi kluczowymi ustawami. W zamian socjaldemokraci mieli ogłosić poparcie Szwecji dla utworzenia administracji niezależnego państwa kurdyjskiego na północnym wschodzie Syrii.

Ta prosta relacja zadowalała obie strony. Rząd miał zapewniony kluczowy głos na sali plenarnej za relatywnie niewielką cenę. Nawet sama Kakabaveh nie oczekiwała frontowych deklaracji, że od teraz Szwecja uznawać będzie Kurdystan za niepodległe państwo. Chodziło jej o utrzymanie wsparcia, jakie rząd w Sztokholmie od lat udzielał kurdyjskiej diasporze. Pomoc rozwojowa, projekty edukacyjne, szkolenia w zakresie partycypacji obywatelskiej. Nic wielkiego. A jednak dla Erdoğana, najpotężniejszego polityka południa Europy, to zagrożenie wręcz egzystencjalne.

Rosyjska inwazja na Ukrainę wstrząsnęła szwedzką polityką, zarówno w przestrzeni międzynarodowej, jak i na scenie krajowej. Kraj od dekad neutralny nagle stał się krajem frontowym, a sami Szwedzi przestali czuć się bezpiecznie. Od lat wzmacniali zdolności obronne, ale własnym kosztem i siłami. Na ewentualną agresję Rosji z pewnością byłoby to za mało. W pierwszych kilkunastu dniach wojny, gdy wagę deklaracji Władimira Putina o użyciu broni nuklearnej trudno było jeszcze ocenić, w Szwecji zapanowała dyskretna panika. Bez krzyków, protestów, długich kolejek, ale jednak w aptekach zaczynało brakować płynu Lugola, a rząd wyciągnął z szuflady plany narodowej sieci schronów atomowych. Po kolejnych kilku tygodniach rosyjskich zbrodni w Ukrainie szefowe rządów Szwecji i Finlandii spotkały się, by omówić dalszą strategię. Ich cel był jasny: koniec neutralności, wchodzimy do NATO. Z poparciem 78% Finów i 60% Szwedów.

Oficjalny wniosek o członkostwo w Sojuszu oba kraje złożyły 18 maja. Perturbacji nikt się nie spodziewał, w gronach eksperckich mówiło się wręcz o autostradzie do akcesji, przyśpieszonym, zaledwie kilkumiesięcznym procesie. Amerykanie cieszyli się, wreszcie mogli z Morza Bałtyckiego zrobić zamknięte natowskie jezioro, co ułatwia logistykę ćwiczeń i zwiększa presję na Rosjan. Wszystko prowadziło do happy endu, aż pojawiło się weto Ankary. Przyjęcie nowych członków do NATO wymaga jednomyślności, więc nawet jeden głos sprzeciwu wstrzymywał plany Szwecji i Finlandii. Zachodnia opinia publiczna stanęła jak wryta, ale Erdoğan ani myślał ustępować. Blokował oba kraje, chociaż wiadomo było, że jego prawdziwym celem jest Szwecja, która według niego udziela wsparcia – również militarnego – antytureckim organizacjom terrorystycznym.

Jakakolwiek kurtuazja wyparowała. Dwa dni później turecki ambasador w Sztokholmie Emre Yunt

eprasa.pl d48cff2080

Amineh Kakabaveh mówi, że jeśli ona w Szwecji nie upomni się o Kurdów, to nie zrobi tego nikt.

udzielił wywiadu w pierwszym programie szwedzkiego radia publicznego, powtarzając słowa swojego szefa. Od siebie dodał, że jedna z tych „terrorystek" zasiada nawet w szwedzkim parlamencie. Miał na myśli oczywiście Kakabaveh, która po tych słowach wpadła w furię. Nie dlatego, że turecki dyplomata ją obraził, ale z powodu braku zdecydowanej reakcji ze strony rządu. Jednym z elementów listopadowej umowy była bowiem obietnica, że Szwedzi nie pozwolą już nikomu nazywać Kurdów terrorystami.

Wymiana mało parlamentarnych wypowiedzi trwała jeszcze kilka dni, Yunt pokusił się nawet o wyznanie, że „w miarę dostępnych metod" chciałby doprowadzić do ekstradycji Kurdyjki do Turcji. Przy tej temperaturze sporu, dla której tło stanowiły deklaracje Siergieja Ławrowa o „zbrojnych konsekwencjach" dla Szwecji za wejście do NATO, brak dyplomatycznej eskalacji można uznać za cud.

Kurdowie to Kurdowie

Mówiąc „terroryści", Turcy mają na myśli przede wszystkim YPG, Powszechne Jednostki Ochrony, popularnie zwane kurdyjską armią. YPG powstały w 2004 r. jako zbrojne ramię Partii Unii Demokratycznej, jednego z największych ugrupowań Kurdów w Syrii. Świat dowiedział się jednak o nich dopiero kilka lat później, kiedy syryjski konflikt destabilizował już cały Bliski Wschód. Żołnierze YPG byli forpocztą walki z Państwem Islamskim, pokonując kalifat w słynnej bitwie o Kobani na północy Syrii w 2015 r. W wielu innych miejscach bili się do ostatniego żołnierza, wykonując zadania, których za żadną cenę nie chciały realizować wojska USA. Amerykanie zresztą Kurdów chronili, dawali wsparcie z powietrza. I, podobnie jak Szwedzi, przyjmowali do siebie ich liderów na uchodźstwie.

Dla Ankary YPG to zagrożenie tureckiego bezpieczeństwa narodowego. Wszystkich Kurdów Erdoğan postrzega jednakowo, bez względu na to, czy mieszkają w Turcji, Syrii czy w Iraku. PKK, Kurdyjska Partia Robotnicza, od 1984 r. walczy o niepodległość Kurdystanu. Ale Zachód był tej walce nieprzychylny, w najlepszym razie obojętny. Długo podzielał turecki punkt widzenia, bo we wspieraniu Kurdów nie miał żadnego interesu.

Współtwórcami tej doktryny byli zresztą Szwedzi. To Szwecja jako pierwszy kraj po Turcji uznał PKK za organizację terrorystyczną, dopiero potem zrobiły to Stany Zjednoczone i Wspólnota Europejska. Kiedy dwa lata później działacze partii zastrzelili dwóch swoich dezerterów na ulicach Sztokholmu, niechęć jeszcze wzrosła. PKK była nawet na liście podejrzanych w sprawie morderstwa Olofa Palmego, bo premier i od Kurdów otrzymywał pogróżki. Długo więc między Szwecją a Kurdystanem nie było żadnego politycznego porozumienia.

I to pomimo faktu, że migracja Kurdów na północ zaczęła się dużo wcześniej. Pierwsze duże grupy przyjechały tu w latach 1961-1962 w odpowiedzi na ogromne zapotrzebowanie tutejszego przemysłu na siłę roboczą. Pracowali głównie fizycznie, w ośrodkach przemysłowych, jak Malmö czy Göteborg. Głównym magnesem była praca, której wtedy brakowało w Turcji, bo zdecydowana większość Kurdów mieszkających w Szwecji pochodzi właśnie z tego kraju. Tych syryjskich i irackich jest znacznie mniej, zaczęli się pojawiać dopiero w ostatnich latach, wypędzeni przez wojnę domową. Pierwsza dekada ich pobytu w Skandynawii była bezbarwna. Upolityczniać zaczęli się dopiero w 1971 r., kiedy w Turcji nastąpił wojskowy zamach stanu. Mundurowi oskarżyli PKK o propagowanie komunizmu i porwania dla okupu na modłę latynoamerykańskich bojówek.

Nie ma dowodów, żeby Sztokholm dawał Kurdom broń, choć Ankara twierdzi inaczej.

Wtedy do Szwecji zaczęli zjeżdżać pierwsi kurdyjscy uchodźcy polityczni. Ale i tak nie było im łatwo. Nikt ich nie wspierał, szwedzki cud

FOT. AFP/EAST NEWS

eprasa.pl d48cff2080

gospodarczy dopiero się wydarzał. Nie wiedzieli nawet, ilu dokładnie ich jest – Kurd to przecież nie narodowość, w migracyjnych statystykach demograficznych nie widnieją jako osobna grupa. Wszystkie dane na ich temat były szacunkowe. Dopiero na początku tego stulecia pojawiły się dość wiarygodne statystyki, określające wtedy liczbę Kurdów w Szwecji na mniej więcej 50 tys. Dziś jest ich trzy razy tyle, co pokazuje skalę migracji ostatnich dwóch dekad.

Presja

Podejście Sztokholmu zmieniło się dopiero, kiedy YPG okryło się chwałą jako pogromcy Państwa Islamskiego. Kurdyjscy przywódcy zaczęli być w Szwecji podejmowani z najwyższymi honorami. Ankara te ruchy obserwowała, co jakiś czas wysyłając sygnały niezadowolenia. Szwedzcy Kurdowie uważają zresztą, że Sztokholm zaczął się uginać pod ich presją dużo wcześniej. Od 2018 r. 57 Kurdom odmówiono wydania kart stałego pobytu, a ich teczki zostały przekazane szwedzkiemu wywiadowi. Kiedy rok temu Zozan Buyuk, Kurdyjka pochodząca z Belgii, zamężna z Kurdem ze Szwecji, została deportowana, w społeczności kurdyjskiej zawrzało. Między innymi stąd wzięła się twarda polityka, którą wobec rządu uprawia dziś Amineh Kakabaveh. Sama często mówi, że jeśli ona nie upomni się tu o Kurdów, nie zrobi tego nikt.

W tej sprawie akurat punkt widzenia bardzo zależy od punktu siedzenia. Kurdowie narzekali, że tracą ochronę. Turcy – że Szwedzi promują terrorystów. Erdoğana do wściekłości doprowadziło zrobione w maju zdjęcie Nesrin Abdullah, dowódczyni żeńskiego szwadronu YPG, podczas wizyty w Sztokholmie. Abdullah uśmiecha się na nim w towarzystwie Kakabaveh i szwedzkiej minister spraw zagranicznych Ann Linde, znanej w przeszłości z feministycznego i pacyfistycznego aktywizmu. Z Ankary natychmiast poszedł komunikat, że taka wizyta nie może się powtórzyć, bo inaczej Szwedzi będą musieli zapomnieć o członkostwie w NATO.

To zresztą niejedyne oskarżenia. Erdoğan utrzymuje, że Szwedzi sponsorują kurdyjskie bojówki aktywne w Syrii, które według niego ściśle współpracują z PKK. A więc próbują obalić jego rząd. Faktem jest, że YPG stanowi kręgosłup Syryjskich Sił Demokratycznych, popieranych przez Amerykanów oddziałów wciąż walczących z islamistami na terenie Syrii. Sami Kurdowie przyznają, że dostali już ze Szwecji miliony dolarów wsparcia, bezpośrednio lub przez organizacje międzynarodowe.

Nie ma natomiast dowodów, żeby Sztokholm dawał Kurdom broń – choć i tu Ankara twierdzi inaczej. 25 maja tamtejsze ministerstwo obrony poinformowało, że w jednej z górskich jaskiń na terytorium walk YPG odnaleziono broń przeciwpancerną szwedzkiej produkcji. Linde natychmiast się odcięła, wydając oświadczenie, że „wbrew fake newsom" żadnej broni jej rząd nigdy Kurdom bezpośrednio nie przesłał.

Rzeczniczka MSZ Julia Eriksson-Pogorzelska podała do wiadomości publicznej więcej szczegółów. Owszem, Szwecja ma strategię dla Syrii na lata 2016-2023. Zakłada ona „wsparcie rozwoju regionalnego dla społeczności syryjskich oraz uchodźców z Syrii przebywających w sąsiednich krajach". Łączna kwota zarezerwowana na ten cel w budżecie to 3,21 mld koron, czyli 376 mln dol. Ale granica jest jasno określona, ani grosza z tej puli nie dostają aktywne na miejscu organizacje militarne i polityczne. Dyplomatyczny ping pong na chwilę został wstrzymany.

Możliwe, że Turcji nigdy nie chodziło o Szwecję i Kurdów, tylko o presję na Amerykanach.

Strach pozostał

Ostatecznie Magdalena Andersson przetrwała ciężki czerwiec. Wotum nieufności upadło, a dwa tygodnie później przepchnęła przez parlament projekt budżetu, znów dzięki głosowi Kakabaveh. Największy triumf przyszedł jednak pod koniec miesiąca. Na ubiegłotygodniowym madryckim szczycie NATO Recep Erdoğan ogłosił, że blokować rozszerzenia sojuszu już nie będzie. 29 czerwca Szwecja i Finlandia zostały oficjalnie zaproszone do wejścia do NATO. W Sztokholmie otwarto szampany. Ale Kurdów tam mieszkających oblał zimny pot.

Czy zostali przehandlowani? A jeśli tak, to jakim kosztem? Możliwe, że Turcji nigdy nie chodziło o Szwecję i Kurdów, tylko o presję na Amerykanach. Waszyngton od lat próbuje temperować Erdoğana, nakładając na Ankarę sankcje m.in. w przemyśle zbrojeniowym. Przez to Turcja ma problemy z zakupem dodatkowych myśliwców F-16, została też wykluczona z projektu produkcji myśliwców piątej generacji F-35. Pełna prawda nie wyjdzie pewnie nigdy na jaw. Ale to wszystko nie zmniejsza strachu kurdyjskich uchodźców.

Mateusz Mazzini
m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl

W nowym numerze tygodnika „NIE":
Co by mówił premier Morawiecki, gdyby nie był patologicznym kłamcą.

eprasa.pl d48cff2080

Program „Przeciwny kierunek" prowadzony przez Fajsala al-Kasima jest najbardziej kontrowersyjnym punktem ramówki Al-Dżaziry.

Kto rządzi arabską opinią publiczną?

Po niemal trzech dekadach działalności Al-Dżazira to najbardziej opiniotwórcze i jednocześnie najbardziej kontrowersyjne medium z Bliskiego Wschodu

Jakub Katulski

Do połowy lat 90. zeszłego wieku koncepcja obiektywnych mediów była w świecie arabskim czymś wręcz abstrakcyjnym. Stacje telewizyjne, rozgłośnie radiowe i gazety uchodziły za tuby propagandowe przywódców reżimów i dyktatorów. Przekazywały przede wszystkim wizję wydarzeń, jaką chciał zaprezentować rząd, a nie taką, jaką widziała ulica. Brak wolności mediów sprawiał, że Arabowie chcący poznać inną perspektywę zwracali się ku zachodnim międzynarodowym nadawcom, takim jak CNN czy BBC. To jednak nie rozwiązywało problemu, gdyż stacje te z kolei przedstawiały świat widziany zachodnimi oczami, nie zawsze zwracając uwagę na niuanse istotne dla bliskowschodniego odbiorcy.

Wyraźną lukę postanowiło zapełnić BBC, uruchamiając stację telewizyjną nadającą po arabsku. Przy współpracy z Orbit Communications Company, spółką kontrolowaną przez kuzyna saudyjskiego króla Fahda, w 1994 r. zaczęła nadawać BBC Arabic Television.

Brytyjski nadawca miał już pewne doświadczenie w dostarczaniu treści dla arabskiego społeczeństwa. W 1936 r., kiedy Brytyjczycy wciąż zarządzali terytorium Mandatu Palestyny, w Jerozolimie z inicjatywy Biura Kolonialnego uruchomiono arabską rozgłośnię radiową Palestine Broadcasting Service, wraz z jej hebrajskim i angielskim kanałami. Podstawowym celem PBS było przekazywanie brytyjskiej wizji świata arabskojęzycznym słuchaczom. Ze względu na trudną sytuację polityczną w regionie – od napiętych relacji arabsko-żydowskich w Mandacie Palestyny, po rozpoczętą kilka lat po uruchomieniu rozgłośni II wojnę światową – wiadomości i komentarze polityczne były ściśle cenzurowane.

Doświadczenie z PBS pozwoliło BBC na uruchomienie już w 1938 r., w ramach BBC World Service, 65-minutowego programu nadawanego w literackim języku arabskim. W kolejnych latach długość programu była stopniowo zwiększana, a dzisiaj radio nadaje przez całą dobę.

Kiedy w latach 90. nadawanie rozpoczęła BBC Arabic Television, Brytyjczycy naciskali na wolność dziennikarską, co nie podobało się ich saudyjskim współinwestorom z Orbit, podległym bezpośrednio rodzinie królewskiej z Rijadu. Telewizja zniknęła z anteny po dwóch latach, kiedy nadała odcinek „Panoramy", programu dokumentalnego skupiającego się na bieżących wydarzeniach. Krytycznie opisano w nim sytuację praw człowieka w Królestwie, pokazując także scenę ścięcia głowy skazańcowi. Orbit błyskawicznie wycofało się z umowy z BBC, co zmusiło telewizję do zamknięcia redakcji.

Gorący „Przeciwny kierunek"

Szansę w tej sytuacji dostrzegł katarski emir Hamad ibn Chalifa

FOT. AL JAZEERA

eprasa.pl d48cff2080

as-Sani. Choć sam był przywódcą autorytarnego państwa, miał też wizję reformy mediów, która dopuszczałaby wolność słowa, a nawet krytykę rządu (a przynajmniej w ten sposób prezentował swoje poglądy). As-Sani wyasygnował 500 mln riali (ok. 137 mln dol.), by utworzyć nową stację telewizyjną i utrzymać ją przez pierwszych pięć lat funkcjonowania. W Dosze stanął budynek, do którego szybko ściągnęli dziennikarze, producenci i technicy pozostawieni na lodzie po zamknięciu arabskiego kanału BBC. W zatłoczonym newsroomie przez pięć miesięcy pracowano, przygotowując się na 1 listopada 1996 r., dzień, w którym Al-Dżazira miała rozpocząć nadawanie dla świata. Tak zaczęła się historia najbardziej wpływowego medium na Bliskim Wschodzie, które z niewielkiej stacji telewizyjnej rozrosło się do prawdziwego molocha nadającego pasma rozrywkowe i sportowe, wraz z siostrzaną stacją również po angielsku, także popularną stroną internetową, biurami na całym świecie i dziesiątkami korespondentów prezentujących wydarzenia ze wszystkich kontynentów.

Początkowo program nadawany był jedynie przez sześć godzin dziennie, a serwisy informacyjne emitowano w połowie każdej godziny, by nie kolidowały z wiadomościami innych państwowych telewizji regionu. Stopniowo jednak zwiększano czas nadawania programów, a serwisy przesunięto na pełną godzinę, kiedy 16 maja 1998 r. Pakistan ogłosił, że przeprowadzi pierwszą próbę nuklearną w odpowiedzi na testy prowadzone przez Indie. Premier Pakistanu Nawaz Sharif miał przemówić o godz. 16.00 według czasu w Dosze. Aby wyemitować przemówienie na żywo, podjęto decyzję o zmianie formatu telewizji. Jest on utrzymywany do dzisiaj. Od stycznia 1999 r. Al-Dżazira nadaje swój program całodobowo.

Już w pierwszym miesiącu działalności telewizja wyemitowała talk-show na żywo, nazwany „Szariat i życie", podczas którego widzowie mieli możliwość dzwonienia do studia i zadawania gościom pytań zarówno o kwestie typowo religijne, jak i społeczne. Dopiero jednak drugi talk-show stacji, „Przeciwny kierunek", przykuł uwagę szerszej publiczności. Program prowadzony przez Fajsala al-Kasima jest do dzisiaj najbardziej kontrowersyjnym punktem ramówki Al-Dżaziry, jeśli nie w ogóle najbardziej kontrowersyjnym arabskim programem telewizyjnym. Al-Kasim pochodzi z Syrii, ale wykształcenie zdobył w Wielkiej Brytanii. Doświadczenia pozyskane w pracy dla BBC, wraz z doktoratem z nauk o mediach uzyskanym na Uniwersytecie w Hull, przyczyniły się do stworzenia programu, w którym mierzą się ze sobą goście reprezentujący przeciwne stanowiska w istotnych problemach politycznych i społecznych, takich jak korupcja, islamski fundamentalizm czy poligamia. Każdy odcinek rozpoczyna się od wprowadzenia, w którym al-Kasim zadaje liczne pytania, przygotowując grunt pod gorącą debatę. Prowadzi on program w taki sposób, by dochodziło do konfrontacji między gośćmi, a niektórzy badacze twierdzą, że prezenter dąży do tego, by goście jak najczęściej sięgali po obelgi lub wręcz fizyczną agresję.

Na początku XXI w. wobec Al-Dżaziry i programu al-Kasima wysuwano oskarżenia o to, że emitując wypowiedzi Osamy bin Ladena i innych przedstawicieli Al-Kaidy, stają się narzędziem w rękach terrorystów. Pojawiły się wezwania ze strony Zachodu, by Katar zamknął stację telewizyjną, jednak władze w Dosze nigdy poważnie tego nie rozważały.

Według Hafeza al-Miraziego, ówczesnego dyrektora biura Al-Dżaziry w Waszyngtonie, fakt, że jego stacja emitowała nagrania przygotowane przez najbardziej znanego terrorystę na świecie, nie świadczy o tym, że katarska telewizja jest tubą propagandową Al-Kaidy. Al-Mirazi przypominał, że kiedy w Stanach Zjednoczonych działał Theodore Kaczynski, szerzej znany jako Unabomber rozsyłający pocztą ładunki wybuchowe, „New York Times" również zdecydował się na opublikowanie jego manifestu, wzywającego czytelników do porzucenia zdobyczy nowoczesnych technologii.

Hugh Miles, amerykański dziennikarz i autor książki „Al Jazeera: How Arab TV News Challenged the World" (Al Dżazira: Jak arabskie wiadomości telewizyjne rzuciły wyzwanie światu), zauważa, że stacja o wiele więcej czasu antenowego poświęcała polityce amerykańskiej i izraelskiej niż samej Al-Kaidzie. W wywiadzie dla programu „Democracy Now!", udzielonym wspólnie z Fajsalem al-Kasimim w 2006 r., podkreślił też, że jego zdaniem Al-Dżazira nie jest zainteresowana propagandą, a wiele nagrań pozyskanych od terrorystów z Al-Kaidy nigdy nie ujrzało światła dziennego.

Pod ogniem pocisków

Al-Dżazira wspięła się na szczyty popularności podczas amerykańskiej inwazji na Afganistan po zamachach na World Trade Center z 11 września 2011 r. Już od jakiegoś czasu w Kabulu mieściło się zagraniczne biuro telewizji. Dzięki stałej obecności reporterzy katarskiej stacji mogli zdobywać lepsze materiały, które chętnie kupowały od nich zachodnie media, często za wysoką cenę. Minęło jednak pierwszych pięć lat funkcjonowania stacji i wciąż nie stała się ona samowystarczalna finansowo. Emir as-Sani postanowił więc, że będzie dotował Al-Dżazirę co roku i do dzisiaj jego rodzina zapewnia lwią część dochodów stacji.

W telewizji pojawiali się też zachodni politycy, tłumaczący stanowisko swoich krajów wobec operacji wojskowej. Brytyjski premier Tony Blair w nagranym wywiadzie wprost odnosił się do emitowanych wcześniej nagrań Osamy bin Ladena, mówiąc że Al-Kaida wykorzystuje nierozwiązany wciąż konflikt izraelsko-palestyński do manipulacji arabską opinią publiczną. Blair bronił też zaangażowania Londynu w wojnę w Afganistanie, mówiąc, że „nie chodzi tutaj o walkę Zachodu z islamem", gdyż „przyzwoici

Al-Dżazira wspięła się na szczyty popularności podczas amerykańskiej inwazji na Afganistan po zamachach na WTC.

eprasa.pl d48cff2080

muzułmanie, miliony z nich w Europie, potępiły terrorystyczne ataki w Nowym Jorku". Dodał, że nie wierzy, by Arabowie chcieli żyć w reżimie proponowanym przez Al-Kaidę.

W listopadzie 2001 r. stacja znalazła się w ogniu walk. Jej kabulskie biuro zostało zniszczone amerykańskim pociskiem rakietowym. Według Hugh Milesa nie było to przypadkowe. Stację obrano za cel z premedytacją, by uciszyć jej reporterów. Po ataku dyrektor zarządzający stacji Mohammed Dżasim al-Ali nie chciał spekulować, czy był to celowy atak, ale podkreślił, że dokładna lokalizacja kabulskiego biura Al-Dżaziry była Amerykanom dobrze znana.

Nie była to jedyna siedziba stacji, która padła ofiarą ataku w trakcie działań wojennych. 15 maja ubiegłego roku w izraelskim nalocie na Gazę zbombardowany został 11-piętrowy budynek, w którym mieściły się mieszkania i redakcje Al-Dżaziry i Associated Press. Nie ma wątpliwości, że atak był zamierzony, gdyż właściciel budynku już wcześniej poinformował pracowników, że Izraelczycy zarządzili natychmiastową ewakuację lokali. Dziennikarze musieli się przenieść do hotelu i biur Agence France-Presse, która użyczyła im miejsca, by mogli na żywo transmitować izraelskie ataki na cele w Gazie.

Niemal rok później palestyński oddział Al-Dżaziry spotkała kolejna tragedia. Doświadczona reporterka Szirin Abu Akla została śmiertelnie postrzelona podczas relacjonowania izraelskiej operacji w Dżaninie na Zachodnim Brzegu Jordanu. Wciąż trwa śledztwo mające wyjaśnić okoliczności jej śmierci, lecz według katarskiej telewizji i Palestyńczyków reporterkę zabił izraelski żołnierz, by ją uciszyć. Liczni dziennikarze i publicyści, zwłaszcza zajmujący się zawodowo Bliskim Wschodem, po jej śmierci publikowali artykuły chwalące Abu Aklę za profesjonalizm i obiektywizm, które miały być powodem obrania jej za cel.

Niezadowolenie Izraelczyków

Jednak opinii o obiektywizmie zarówno Abu Akli, jak i całego zespołu redakcyjnego Al-Dżaziry nie podzielają Izraelczycy. Kolejne ekipy rządzące Państwem Żydowskim uważają, że katarskie media nieobiektywnie przedstawiają konflikt z Palestyńczykami, kierując się uprzedzeniami wobec Żydów i syjonizmu. Były dyrektor biura międzynarodowego Al-Dżaziry w Egipcie, Mohamed Fahmi, skrytykował stację za to, że w kwestii Izraela i Żydów reprezentuje stanowisko zbliżone do pozycji katarskiego rządu. W 2019 r., w rozmowie z portalem Arab News, podkreślił, że anglojęzyczna wersja stacji i strona internetowa, skierowane przede wszystkim do zachodniego odbiorcy, mogą chwalić międzynarodową społeczność żydowską, ale jednocześnie do arabskiej odsłony zapraszani są tak kontrowersyjni rozmówcy jak egipski duchowny Jusuf al-Karadawi, jeden z intelektualnych przywódców Braci Muzułmanów, który w transmitowanych na antenie kazaniach wprost wzywa współwyznawców do zabijania Żydów.

Fahmi jest dzisiaj adiunktem na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej w Kanadzie i wytoczył proces poprzedniemu pracodawcy za zaniedbanie i to, że nie zapewniono mu odpowiedniej ochrony w czasie przewrotu w Egipcie w 2013 r., co doprowadziło do aresztowania go przez egipskie służby bezpieczeństwa pod zarzutem działania na szkodę bezpieczeństwa narodowego. Prawdziwa przyczyna aresztowania Fahmiego i jego redakcyjnych kolegów była inna. Dziennikarze Al-Dżaziry niemal jawnie wspierali protesty arabskiej wiosny w 2011 r. i kolejnych latach, przedstawiając wydarzenia w sposób, który nie mógł się podobać autorytarnym rządom wielu krajów Bliskiego Wschodu. Fajsala al-Kasima oskarżano nawet o to, że wstępy do jego „Przeciwnego kierunku" zmieniły się w niemal rewolucyjne odezwy. Zdaniem Fahmiego stanowisko stacji wobec arabskiej wiosny tłumaczy przede wszystkim wpływ katarskich władz na Al-Dżazirę: „Sieć jest niczym więcej niż przedłużeniem katarskiego wywiadu", zdradził swoją opinię w rozmowie z Arab News.

Wynika to z długiej historii rywalizacji Dohy z Rijadem. Podczas gdy w Arabii Saudyjskiej Bracia Muzułmanie, międzynarodowa organizacja stojąca, przynajmniej częściowo, za protestami, które rozlały się niemal na cały Bliski Wschód, uważane jest za ugrupowanie terrorystyczne, Katar ma stanowisko odmienne. Aż do 2021 r. Bracia byli politycznym sojusznikiem rodziny as-Sanich. Zmieniło się to po niedawnym kryzysie relacji Kataru z arabskimi sąsiadami. W 2017 r. kilka państw, w tym Arabia Saudyjska, zerwało stosunki dyplomatyczne z małym emiratem i rozpoczęło blokadę jego portów. Jednym z żądań monarchii Półwyspu Arabskiego było zamknięcie Al-Dżaziry, co dla Kataru było wymaganiem oderwanym od rzeczywistości. Kiedy cztery lata później podpisano deklarację kończącą izolację Dohy, do tematu zamknięcia stacji już nie powrócono, choć rodzina as-Sanich zażądała, by Bracia Muzułmanie opuścili kraj. Wielu z nich udało się wówczas do Turcji, która udzieliła im schronienia już po egipskim przewrocie.

Al-Dżazira wciąż pozostaje największym i najchętniej oglądanym kanałem telewizyjnym w arabskim świecie. Mimo licznych kontrowersji, w wielu badaniach opinii publicznej stacja uchodzi za obiektywną i przedstawiającą wydarzenia zgodnie z prawdą. Nawet jeśli ten obiektywizm zostaje czasem nadszarpnięty przez kontrolę, jaką nad dziennikarzami sprawuje wciąż finansujący telewizję rząd Kataru, to z pewnością tworzą oni jedno z najbardziej opiniotwórczych mediów na Bliskim Wschodzie. Z opiniami Al-Dżaziry liczą się nawet arabscy despoci.

Jakub Katulski

eprasa.pl d48cff2080

Ukraina jak druga Syria

Syryjscy uchodźcy są zszokowani tym, że Europa może być narażona na takie same działania wojenne, jakie widzieli u siebie w domu

Rozmawia Bartosz Rumieńczyk

MAŁGORZATA OLASIŃSKA-CHART
– szefowa Programu Pomocy Humanitarnej Polskiej Misji Medycznej

W Irackim Kurdystanie – północnej części autonomicznej Iraku znajdującej się pod rządami Kurdów – mieszka nawet 2 mln uchodźców. To ludzie, którzy szukali schronienia, uciekając przed wojną w Syrii, ale także wojną w Iraku. Co się mówi w obozach uchodźców o wojnie w Ukrainie?

– Cały Iracki Kurdystan żyje wojną w Ukrainie. Uchodźcy w obozach mówią, że nigdy nie przypuszczali, aby w środku Europy, u granic Unii Europejskiej, doszło do wybuchu wojny, i to nie wojny nowoczesnej, toczonej za pomocą np. dronów, ale wojny klasycznej, konwencjonalnej, z wysadzaniem mostów i budynków, z ostrzeliwaniem pociskami ziemia-ziemia, z czołgami, samolotami i bombardowaniem całych miast.

Wracają wspomnienia wojny w Syrii czy wojen w Iraku?

– Tak – i ludzie są zszokowani, bo okazało się, że Europa może być narażona na takie same działania wojenne, jakie widzieli u siebie, na Bliskim Wschodzie. Dla uchodźców w Irackim Kurdystanie Ukraina to druga Syria, mimo że są świadomi różnic. Wojna w Syrii była przecież wojną bratobójczą, w którą przerodziły się protesty przeciwko dyktatorowi, jakim był Assad. Ale rozmiar zniszczeń w Ukrainie, ataki na cywilów, niszczenie budynków, w których chronią się kobiety z dziećmi, niszczenie szpitali – to wszystko bardzo mocno przypomina im naloty prowadzone na cele cywilne w Syrii przez koalicję Assada, Iranu i Rosji. Jednocześnie współczują Ukraińcom i trzymają za nich kciuki. Życzą też upadku Putinowi, bo przecież podczas wojny w Syrii trzymali stronę opozycji, a więc byli przeciwko Rosji.

A czy są w nich obawy, że wojna w Ukrainie wpłynie na ich sytuację? Dziś dużo mówi się już o wiszącej nad Bliskim Wschodem czy Afryką klęsce głodu, którą może wywołać wstrzymanie dostaw zbóż z Ukrainy.

– Jeszcze dwa miesiące temu nie było tego tematu, ale już dziś o tym się dyskutuje, i to na poziomie ogólnonarodowym oraz rządowym.

> Ani rząd kurdyjski, ani organizacje pozarządowe nie robią w zasadzie nic, by poprawić warunki w obozach dla uchodźców.

Co prawda Irak nie jest uzależniony od dostaw zbóż z Ukrainy, więc nie ma tu bezpośredniego zagrożenia, ale będzie musiał się zmierzyć z echami kryzysu ekonomicznego wywołanego wojną w Ukrainie i najbardziej ucierpią ci, którzy stoją najniżej w hierarchii społecznej. Będą to także uchodźcy w obozach.

Tak właśnie dziś wygląda sytuacja w Libanie, który od lat zmaga się z potężnym kryzysem gospodarczym, odczuwalnym bodaj najmocniej przez uchodźców syryjskich.

– A musimy pamiętać, że uchodźcy nie są narażeni jedynie na następstwa kryzysów ekonomicznych, ale są także pierwszymi ofiarami następstw kryzysu klimatycznego.

Czy w Iraku i Irackim Kurdystanie widać już efekty zmian klimatycznych?

– Owszem, popatrzmy choćby na natężenie burz piaskowych. Mówimy tu o drobnym pyle niesionym silnymi wiatrami znad Sahary w stronę Bliskiego Wschodu. I co prawda w Iraku te burze piaskowe były od zawsze, ale nie zdarzały się aż tak często jak teraz. Nie dalej jak wczoraj Al-Dżazira alarmowała o nadchodzącej kolejnej burzy piaskowej.

Jak wygląda kraj, w który uderza burza piaskowa?

– Iracki Kurdystan odwiedzałam pod koniec kwietnia, a tuż po moim wylocie, na początku maja, Bagdad musiał zamknąć lotnisko i nakazać pracownikom pozostanie w domu, bo nadeszła burza piaskowa. A wtedy na ulicach nie da się oddychać – nawet jeśli szczelnie zakryjesz twarz chustą, to ten pył i tak się wdziera. Pył zatyka także wentylatory, więc najlepiej wyłączyć klimatyzację w dużych budynkach, takich jak lotnisko czy inne zakłady pracy, a bez klimatyzacji w zasadzie nie da się pracować – temperatury w Iraku czy Erbilu teraz to grubo ponad 30 stopni. Rząd apeluje więc o pozostawanie w domach.

Rząd apeluje o pozostawanie w domach, a w jakich domach mają pozostawać uchodźcy?

– Weźmy obóz Baharka w Irackim Kurdystanie, dla uchodźców z Iraku, którzy uciekali przed Państwem Islamskim. Mieszka w nim

eprasa.pl d48cff2080

Małgorzata Olasińska-Chart (nz. druga z prawej) w przychodni zorganizowanej przez Polską Misję Medyczną w obozie Baharka.

920 rodzin – to prawie 5 tys. ludzi. Ten obóz jest zaniedbany. Obozy dla uchodźców syryjskich są w lepszym stanie. Powstawały na początku wojny w Syrii, ściągały uwagę międzynarodowej społeczności i dużych organizacji pozarządowych, są w nich porządne domy z pustaków, a nawet wyasfaltowane alejki. Tyle że w obozie Baharka domy są wprawdzie na podmurówkach, ale dachy mają klecone z brezentu, blachy falistej lub desek, a więc z materiałów, które nie są ani szczelne, ani odporne. Takie dachy podczas burzy piaskowej przepuszczają pył. Przepuszczają też chłód, gdy temperatura spada w nocy poniżej zera, ale i upalne powietrze, gdy w dzień jest 50 st. Dom kryty takim dachem nie jest więc żadnym bezpiecznym schronieniem przed zjawiskami atmosferycznymi. Ciężko też jest taki dom po burzy piaskowej posprzątać. W obozie nie ma przecież dostępu do nieograniczonej ilości wody, a pył jest wszędzie – w kocach, w materacach. Nie ma też służb komunalnych, które mogłyby pomóc w sprzątaniu.

A w czym dziś pomaga Polska Misja Medyczna? Gdy kilka lat temu odwiedzałem z tobą Iracki Kurdystan, prowadziliście w Baharce gabinet dentystyczny.

– Dziś mamy centrum pomocy medycznej: to trzy gabinety lekarskie, recepcja z poczekalnią i kącikiem dla dzieci oraz apteka. Mamy też laboratorium, kupiliśmy sporo sprzętu diagnostycznego, żeby wspomóc lekarzy w wykonywaniu podstawowych badań: krwi czy moczu. Mamy też gabinet zabiegowy, gdzie pielęgniarka szczepi dzieci, ale może też podać kroplówkę lub zszyć rany. Dzieciaki ganiają po gołej ziemi i bawią się wszystkim, co znajdą, więc nietrudno o skaleczenia. No i jest gabinet dentystyczny, który widziałeś i który dziś jest częścią całej przychodni.

Chcecie zafundować leczenie 13-letniej Asii. Kim jest ta dziewczynka?

– To dziewczynka, która wraz z rodziną mieszkała w Sindżarze, czyli miejscu ludobójstwa jazydów popełnionego przez Państwo Islamskie. Rodzina Asii zdecydowała się uciekać, gdy na budynek ich sąsiadów spadła bomba, zabijając sześć osób. Najpierw uciekli w głąb Syrii, a potem do Turcji, gdzie spędzili aż cztery lata. To był dla nich dobry czas, dzieci poszły do szkoły, jakoś się wiodło, ale ojciec chciał wrócić do domu. W Iraku już nic nie mieli, trafili więc do obozu w Baharce. Dziś żyją w skrajnej biedzie, ojciec pracuje tylko dorywczo, to bardzo uboga rodzina.

Asia już w Turcji zauważyła, że na jej ciele pojawiają się białe plamy. Matka zabrała ją do lekarza, który orzekł, że jest to choroba autoimmunologiczna, która pojawiła się w wyniku przebytej traumy, czyli doświadczeń wojennych. W Turcji dziewczynka miała możliwości leczenia dermatologicznego, ale w Iraku już nie. Gdy ją poznałam, miała zajęte całe plecy, traciła włosy, a plamy wychodziły już na twarz.

Co dokładnie chcecie dla niej zrobić?

– Chcemy zapłacić za pierwszą serię terapii laserowej i zobaczyć, jakie będą efekty. Jeśli zadziała – będziemy kontynuować. Pierwsza seria to koszt ok. 1 tys. dol.

Ta pomoc kojarzy mi się z finansowaniem protez elektronicznych dla dziesięciu Syryjek, które razem z tobą odwiedziłem w Turcji. Pytałem cię wtedy, dlaczego decydujesz się na tak drogą pomoc dla pojedynczych osób, i tu muszę cię zapytać w zasadzie o to samo. Czy w Baharce nie ma pilniejszych potrzeb niż terapia laserowa dla jednej 13-latki?

– Potrzeby są rozmaite, ale uchodźcy w Baharce mają podstawową opiekę medyczną w naszej przychodni, a w bardziej skomplikowanych przypadkach trafiają do

Zbiórka na leczenie Asii

Wesprzyj pomoc Polskiej Misji Medycznej:

- ustaw płatność cykliczną w Twoim banku na działania PMM na **www.pmm.org.pl**
- przekaż darowiznę na konto Polskiej Misji Medycznej: **62 1240 2294 1111 0000 3718 5444**

eprasa.pl d48cff2080

Warunki życia w obozie są trudne.

szpitali. Ale gdy widzimy dziecko, które może wrócić do normalnego życia kosztem kilku tysięcy dolarów, to czasem decydujemy się na indywidualną pomoc. Chyba każdy z nas docenia – a przynajmniej ja tak mam, gdy odwiedzam te obozy – to wielkie szczęście mieszkania w bezpiecznym kraju, gdzie mamy dostęp do służby zdrowia i gdzie możemy liczyć na pomoc rodziny, opieki społecznej czy rozmaitych fundacji. Mamy to w Polsce, a 13-letnia Asia w Irackim Kurdystanie tego nie ma.

Za to ma traumę i chorobę, która uniemożliwia jej normalne funkcjonowanie. Jeśli twoja skóra jest cała w białych plamach, to ludzie zaczynają cię unikać, zwłaszcza 13-letni rówieśnicy. W przyszłości ta choroba może także uniemożliwić jej zawarcie małżeństwa czy nawet wykluczyć ją z życia społecznego.

Finansowaliśmy protezy dla dziewczynek z Syrii, które poznałeś, z tych samych powodów, dla których finansujemy terapię Asii – aby umożliwić dzieciom start w normalne życie.

Kilka lat temu w jednym z obozów w Darashakran trafiliśmy na wesele – najlepszy chyba dowód na to, że w obozach jest życie, że – mimo wszystko – ludzie potrafią się cieszyć, świętować, a nawet zakochiwać się w sobie i brać śluby. Odwiedzasz te obozy od wielu lat, jak zmienia się obozowe życie?

– Jeśli chodzi o sytuację bytową w obozach, to nie zmienia się nic. Od lat jest tak samo źle, jak było. Ani rząd kurdyjski, ani organizacje pozarządowe nie robią w zasadzie nic, by znacząco poprawić obozową infrastrukturę.

Ludzie są coraz bardziej zrezygnowani. Zniknęły już gniew i frustracja z pierwszych lat pobytu w obozie, gdy byli pełni niezgody na to, co się wydarzyło w ich życiu, czyli utratę całego dorobku życia, w wyniku czego trafili w tak prymitywne warunki, jakie panują w obozach. Ale dziś mieszkają w tych obozach już piąty, szósty rok, czasem i dłużej. Przystosowują się więc do tych warunków, pojawia się pewien rodzaj stagnacji.

Ale jednocześnie widzimy efekty swoich działań – widzimy osoby, które dbają o higienę podczas pandemii koronawirusa, widzimy dorosłych, którzy szczepią się przeciw COVID-19, widzimy matki, które przyprowadzają swoje dzieci na szczepienia albo gdy tylko zaczyna rozwijać się infekcja, nie czekając, aż pojawi się wysoka temperatura, a dziecko zacznie przelewać się przez ręce. Edukacja medyczna przynosi efekty.

Ludzie wiedzą też, do kogo się zgłosić – mają w końcu tę waszą przychodnię w obozie. A jaką perspektywę widzisz dla mieszkających tam dzieci? Często mówimy o nich „stracone pokolenie", tak jakbyśmy już z góry postawiali na nich krzyżyk.

– O straconym pokoleniu mówimy w przypadku dzieci urodzonych w trakcie 11-letniej wojny w Syrii. To całe pokolenie, które nie poszło do szkoły, nie miało żadnych szans na edukację i nie będzie mogło kształcić kolejnych pokoleń. A to znaczy, że nie będzie ludzi, którzy będą mogli Syrię odbudować. Trzeba pamiętać też, że bardzo dużo wykształconych ludzi opuściło Syrię, to syryjska klasa średnia, której dziś w kraju nie ma – lekarze, nauczyciele, inżynierowie. Syria straciła ok. 30 lat rozwoju. To jest prawdziwa zapaść.

Jeśli chodzi zaś o dzieci w obozie, to sytuacja nie jest już tak dramatyczna. One są włączone w system edukacji, uczą się swojego języka. Po podstawówce mogą uczyć się dalej i wielu rodziców wysyła swoje dzieci do gimnazjów. Rodzice rozumieją, że edukacja jest ważna i mają nadzieję, że ich dzieci będą mogły po szkole znaleźć pracę i coś w życiu osiągnąć.

Znam też przypadki dziewcząt, które jeżdżą z obozu do Erbilu na studia. I to też jest możliwe. Edukacja jest możliwa, jeśli tego się chce – a ci ludzie tego chcą. Chcą, by ich dzieci się uczyły.

Bartosz Rumieńczyk

Domy w obozie Baharka mają dachy z brezentu, blachy falistej lub desek, które nie ochronią przed pyłem z burzy piaskowej, zimnem w nocy ani upałem.

FOT. PMM/MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl d48cff2080

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wspomnienie Świtezi

Nikt chyba o tym nie pamiętał, a przecież minęło 200 lat. W Wilnie pod koniec czerwca 1822 r. ukazał się debiutancki tomik Adama Mickiewicza. Zatytułowany „Poezji tom I", zawierał „Ballady i romanse", i jest do dziś (choćby nawet z przesadą) uznawany za początek polskiego romantyzmu. Wtedy jednak – pisze w „Encyklopedii Mickiewiczowskiej" Dorota Siwicka – „najwięcej kupować [go] mieli służący i pokojowe, w salonach zaś wiersze wzbudzały śmiech i oburzenie". Jan Śniadecki, największa intelektualna sława Wilna, wyszydził kiedyś przy Mickiewiczu jego wiersze, ten zaś „blady i drżący opuścił bez pożegnania salon".

Napisałem w tytule „wspomnienie" nie dlatego, rzecz jasna, bym pamiętał te czasy. Pamiętam bowiem co innego: najpierw lata mojej szkoły podstawowej. Przerabiana na lekcjach ballada „Świteź" tak mnie zachwyciła, że nauczyłem się jej na pamięć i kiedyś recytowałem ją wieczorem, wracając z jakiejś wycieczki. A potem pamiętam przygodę ze „Świtezią" sprzed półwiecza. Jako student trzeciego roku wysłuchałem w Krakowie odczytu Kazimierza Wyki.

Sala naszego polonistycznego „Gołębnika" była pełna, a wśród publiczności zasiadł kwiat profesury. Widzę ich dziś jak na fotografii. Na katedrze Wyka ze słynnymi krzaczastymi brwiami, w pierwszym rzędzie siwy prof. Mieczysław Piszczkowski, dalej niewielkiego wzrostu prof. Tadeusz Ulewicz i jedyna w tym gronie kobieta, prof. Maria Dłuska. A także mój promotor, doc. Tomasz Weiss. 50-letni prof. Henryk Markiewicz wstaje, zadaje Wyce pytanie i przeprasza, że pyta jako pierwszy, skoro jest w tym gronie najmłodszy...

Dawne czasy. Odczyt „Ballady i romanse po 150 latach" wygłaszał Wyka w swoim zwykłym gawędziarskim stylu. I po kolei odmawiał wielkości poszczególnym balladom, uzasadniając, że się zestarzały. Trochę mi było przykro, ale wywodom wielkiego uczonego dałem się przekonać, natomiast czekałem, czy powie coś o „Świtezi". Powiedział. Uznał, że akurat ta ballada się broni, że do dziś zachowała świeżość, że jest w niej kawał dobrej poezji, trafiającej także do współczesnego czytelnika. Odetchnąłem. Pomyślałem, że w sprawie literatury mam może coś do powiedzenia.

Ale przeżyłem też – nieco później – przygodę z realnym jeziorem Świteź. Jako młody pracownik naukowy często jeździłem na staże do Związku Radzieckiego. Mądrzejsi ode mnie koledzy poloniści pukali się w czoło, udawali się bowiem do Francji czy Portugalii, ja jednak uparcie jeździłem do ZSRR, bo szukałem tam ruskiego płuca dawnej, przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Za pierwszym razem wyjechałem do Kijowa i zdążyłem jeszcze poprosić o konsultacje Jarosława Iwaszkiewicza. Za drugim razem udałem się do Wilna, wspominając, jak kiedyś na wykładzie właśnie prof. Wyka rysował na tablicy drogę do „celi Konrada". Za trzecim razem znalazłem się w Mińsku i wpadłem w ramiona tamtejszego białorutenisty i mickiewiczologa, prof. Olega Łojki. Był on członkiem radzieckiej partii, ale wiedział i rozumiał wszystko. Od razu się zaprzyjaźniliśmy. Razem z nim i z białoruskim pisarzem Wiaczesławem Adamczykiem udaliśmy się na Święto Poezji do Nowogródka.

Był rok 1988, trwała już, i wciąż się rozpędzała, Gorbaczowowska pierestrojka. Patrzyłem na Górę Zamkową, na ruiny zamku Mendoga, na farę Witoldową i odrestaurowany dworek Mickiewiczów, a przecież w tym uroczo smętnym Nowogródku nic nie zrobiło na mnie takiego wrażenia, jak ujrzane zaraz potem nieodległe jezioro Świteź. Jechaliśmy do niego jakiś czas przez ostępy „Płużyn ciemnego boru" i gdy stanęliśmy u celu, zobaczyłem jezioro jak z ballady – jakby nie tknęły go czasy radzieckie, jakby czas się zatrzymał, a od młodości Mickiewicza nic się nie zmieniło. Nie było tu ludzi, panowała cisza. Czyżby nikt Świtezi nie odwiedzał? Nie była dla Białorusinów ważna?

> Czy na Białorusi dziś goszczono by mnie z tą samą, co kiedyś, serdecznością?

Było zupełnie inaczej. W Nowogródku na Święcie Poezji wystąpił starszy już mężczyzna, nędznie ubrany, o grubo ciosanej twarzy i sękatych, spracowanych dłoniach. Poszeptano mi do ucha, że to były łagiernik, tutejszy Żyd, nazywający się Samson Perłowicz. Monotonnie, z charakterystyczną wschodnią intonacją, która chwilami brzmiała jak skarga, recytował swój wiersz, a w każdej strofie, zawsze w tym samym miejscu, powtarzał się zaśpiew: „Swiciaź, maja Swiciaź..." Słuchałem jak zaczarowany. Jezioro Swiciaź było miłością tego człowieka.

Od tego czasu minęły 34 lata. Od odczytu Kazimierza Wyki – równe półwiecze. Nie ma już moich profesorów. A na Białorusi – czy goszczono by mnie z tą samą, co kiedyś, serdecznością?

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Bezpieczny raj w Zatoce

Nowa kryjówka albańskiej mafii

Chrystian Ślusarczyk

Kiedy 15 lat temu Hashim Thaçi, były prezydent Kosowa (2016-2020), powiedział, że „wkrótce cała Europa będzie musiała nauczyć się albańskiego", media prześcigały się w prześmiewczych artykułach o albańsko-kosowskiej manii wielkości. Choć trudnego języka albańskiego wciąż nie znamy, czas pokazał, że polityk tych słów nie rzucał na wiatr. Ambitny Thaçi został premierem, a potem prezydentem nie przez wszystkich uznawanego młodego kraju. A zajmowanie się polityką na najwyższym szczeblu ani trochę nie kolidowało z byciem typowym bałkańskim mafiosem. Także na światowym poziomie.

Mafia już za Hodży

Początków mafii albańskiej należy szukać jeszcze przed upadkiem komunistycznego reżimu Envera Hodży. Już w 1980 r. w Albanii zaczęły działać grupy przestępcze, które wyspecjalizowały się w handlu ludźmi, przemycie alkoholu i tytoniu, a także w kradzieżach samochodów.

Ale tak naprawdę o szybko rosnącej w siłę albańskiej mafii świat zaczął się dowiadywać pod koniec XX w. Zachodnie media coraz częściej straszyły czytelników nagłówkami „Albańska ośmiornica" czy „Kosowscy płatni zabójcy". Szybko okazało się, że w tych tytułach nie było przesady. Chcąc nie chcąc, staliśmy się świadkami narodzin nowej mafijnej siły na mapie świata. Po kryzysie w środowisku rosyjskich mafiosów i przenosinach czeczeńskich mafii do Europy Zachodniej ich miejsce w krajach dawnego bloku wschodniego zajęli gangsterzy z Bałkanów, głównie Albańczycy i Kosowianie.

Ważną, by nie powiedzieć kluczową rolę we wzroście znaczenia mafii albańskiej w Europie odegrała wojna w Kosowie. Podobnie jak wcześniej Czeczeńcy, teraz Kosowianie i Albańczycy zaczęli masowo wyjeżdżać do Europy Zachodniej. Tam – najczęściej bardzo skutecznie – prosząc o status uchodźcy wojennego, tworzyli podwaliny sprawnie działających grup o charakterze przestępczym. Inspektorat Generalny Interpolu przygotował specjalny raport, w którym podkreślono, że rok po wybuchu wojny domowej w Kosowie Albańczycy przejęli siłą 60-80% rynku heroiny w Szwajcarii, Austrii, Niemczech, na Węgrzech, w Czechach, Szwecji i Norwegii. Mało tego, już w roku 1999 przejęli od 25 do 40% rynku heroiny w USA.

Umacnianie się potęgi mafii albańskiej to jednocześnie lata strachu, niepewności i degrengolady społeczno-politycznej w Albanii i Kosowie. Przestępcy terroryzowali nie tylko rodaków, ale i mieszkańców sąsiednich krajów bałkańskich. Pod koniec lat 90. w strzelaninach na terenie Bałkanów, Europy Zachodniej i USA życie straciło łącznie niemal tysiąc osób! W zamachach ginęli, oprócz mafiosów, również zwykli mieszkańcy Tirany. W 2006 r. w czasie regularniej bitwy na ulicach stolicy zginęły w wybuchu trzy młode kobiety.

Kompania Bello – trafiony niezatopiony

Od Ekwadoru, przez Europę Zachodnią, aż po Bułgarię i Grecję albańskie kartele kontrolujące rynek przemytu narkotyków, broni, samochodów i ludzi czuły się bezkarne. Stan ten utrzymywał się przez kilka lat.

Pierwsze poważne sygnały, że globalna sieć albańskich mafiosów może być zagrożona, pojawiły się we wrześniu 2020 r. Wtedy to zakrojona na szeroką skalę operacja policyjna przeprowadzona w kilku krajach europejskich częściowo rozbiła siatkę przemytu kokainy. Według Europolu grupa znana pod nazwą Kompania Bello należała do najlepiej zorganizowanych sieci przemytu kokainy z Ameryki Południowej do Europy. Setki policjantów z niemal wszystkich krajów Europy Zachodniej zadały albańskiej mafii cios, po którym wydawało się, że przestępcy już nigdy się nie podniosą. Służbom udało się skonfiskować 4 tony kokainy i 5,5 mln euro, Europol aresztował kilkanaście osób (głównie o korzeniach albańskich), które oskarżono o międzynarodowy handel narkotykami, a także o brutalne przestępstwa, w tym morderstwa.

Według florenckiej prokuratury Kompania Bello to kartel składający się z 14 albańskich organizacji

Szejkowie widzą w bałkańskich mafiosach niezły potencjał do dalszego gospodarczego rozkwitu emiratów.

Albańska mafia skutecznie zagnieżdża się na Wyspach Brytyjskich. Według „Daily Mail" brutalne gangi wywodzące się z Albanii i sąsiedniego Kosowa są bliskie przejęcia pełnej kontroli nad wartym co najmniej 5 mld funtów rynkiem kokainowym na Wyspach. Jak dodają znawcy tematu, ich towar jest najtańszy od 1990 r. i najczystszy od ponad dekady. Albańczykom sprzyja fakt, że w całej Europie to właśnie młodzi Brytyjczycy najbardziej upodobali sobie kokainę.

eprasa.pl d48cff2080

powiedział albański urzędnik pragnący zachować anonimowość.

We wrześniu 2020 r. Europol ogłosił też poważną operację przeciwko albańskojęzycznej grupie przestępczej uważanej za jedną z najbardziej aktywnych w handlu kokainą w Europie. W wyniku śledztwa aresztowano 20 osób z dziewięciu krajów, w tym Eldiego Dizdariego, Albańczyka mieszkającego w Dubaju, jednego z kilku oskarżonych o międzynarodowy handel narkotykami, którzy znaleźli schronienie w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

W świetle tych wydarzeń – przede wszystkim opieszałości władz i urzędników w emiratach w kwestii ekstradycji – nie dziwi, że coraz więcej osób pokroju Dervishaja i Dizdariego decyduje się na bezpieczne schronienie na Zatoką.

przestępczych zajmujących się handlem narkotykami i działających od co najmniej 2014 r. w Ekwadorze, Holandii, Belgii, Albanii i we Włoszech. Korzystając z uprzywilejowanych relacji z południowoamerykańskimi producentami kokainy, kartel umożliwił swoim członkom import i dystrybucję dużych ilości narkotyków z Ameryki Południowej przez porty holenderskie i belgijskie. Przestępcy korzystali z sieci skorumpowanych urzędników publicznych, których zadaniem było monitorowanie ładunków w portach na różnych etapach podróży. Kompania Bello szczyciła się silną hierarchią, a liderzy kartelu rekrutowali się z ogromnej albańskiej diaspory w Holandii i we Włoszech. Choć w Europie cios zadany grupie wielu uznało za decydujący, nie wszyscy jej członkowie zostali zlikwidowani. Mało tego, ci, którzy przetrwali, zintensyfikowali wręcz mafijne działania i wzmocnili powiązania.

Udawana opieszałość szejków?

Jesień roku 2020 miała się okazać dla „zranionej" mafii albańskiej przełomowa. W grudniu 2020 r. władze w Tiranie zdecydowały się powołać Specjalną Prokuraturę Przeciwko Korupcji i Przestępczości Zorganizowanej (SPAK). Starająca się o przyjęcie do UE Albania, chcąc zameldować Brukseli swoją gotowość, po zadaniu ciosu Kompanii Bello zajęła się kolejną mafijną organizacją – tzw. klanem z Durres. SPAK miała informacje, że zlikwidowanie tego potężnego klanu przestępczego z największego portu w Albanii nie będzie łatwe, ale w walce z albańsko-kosowską mafią może się okazać przełomowe.

SPAK oskarżyła kluczowych członków gangu o udział w trzech zabójstwach w 2005 r. i wydała międzynarodowe nakazy aresztowania kilku z nich, w tym zameldowanego w Dubaju Albańczyka Plaurenta Dervishaja. Policji w Zjednoczonych Emiratach Arabskich udało się go zatrzymać, a władze w Tiranie rozpoczęły przygotowania do jego ekstradycji. Czas płynął, ale Dervishaj nie został przekazany stronie albańskiej. Mało tego, władze ZEA wydały… postanowienie o zwolnieniu Albańczyka z aresztu. „Dołożyliśmy wszelkich starań, by przestępca ten został osądzony w sprawiedliwym procesie i trafił za kratki. Cóż, napotkaliśmy biurokrację, nawet niechęć i wyglądające na celowe opóźnienia ze strony władz emiratów",

Około dwóch trzecich wszystkich albańskich mafiosów ukrywa się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

Tak czy inaczej, sytuacja jest dziwna. Szejkowie teoretycznie nie odmawiają ekstradycji. Doszło nawet do aresztowań kilku innych albańskich kryminalistów. Wszystko jednak jest (sztucznie?) przeciągane, upływa okres zatrzymania i Albańczycy wychodzą na wolność.

Ogromne pieniądze, gromadzone przez ostatnich 20 i więcej lat, od pewnego już czasu znajdują się daleko nie tylko od Albanii, ale i całych Bałkanów Zachodnich. Przy czym wielu mafiosów wciąż działa w Albanii, Kosowie i sąsiednich krajach. Czują się jednak coraz mniej bezpiecznie. Czują też, że czas najwyższy, by znaleźć się tam, gdzie ich bezpiecznie ulokowane na kontach miliony. Dziś uważa się, że około dwóch trzecich wszystkich albańskich przywódców przestępczych ukrywa się w Zjednoczonych Emiratach Arabskich.

A szejkowie widzą w bałkańskich mafiosach całkiem niezły potencjał… do dalszego gospodarczego rozkwitu emiratów. Poszukiwani w ojczyźnie kryminaliści chętnie inwestują w nieruchomości. Zakładają też małe i średnie firmy, których działalność

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl d48cff2080

w Dubaju czy Katarze nie wydaje się podejrzana. A że osiedli nad Zatoką Albańczycy niemal wzorowo wywiązują się ze swoich zobowiązań fiskalnych… Komu i dlaczego mieliby tam przeszkadzać? „Moi rodacy w świetle prawa ZEA są czyści jak łza – twierdzi jeden z albańskich dziennikarzy śledczych. – Wielu przestępców w emiratach czuje się tak bezpiecznie, że zapraszają do siebie rodzinę i przyjaciół”.

Nie tylko albańscy narkobaroni czują się w ZEA jak w domu. Według źródeł w Sarajewie Edin Gačanin, przywódca osławionego kartelu o oryginalnej nazwie Tito i Dino, od 2019 r. wykorzystuje kraje Zatoki jako swoją bazę. Nazywany „europejskim Escobarem” Bośniak Gačanin jest oskarżany o handel kokainą na wielką skalę. Jego sieć dostaw od lat łączy rynki Ameryki Łacińskiej z większymi portami Europy Zachodniej. Gigantyczne zyski Gačanin wykorzystuje między innymi na zakup nieruchomości w emiratach. Stać go też na dobrą ochronę, do dziś bowiem skutecznie unika aresztowania.

Costa del Crime

Emiraty stają się bezpieczną kryjówką dla kryminalistów nie tylko z Bałkanów Zachodnich. Brytyjska prasa nazwała wręcz Dubaj nowym Costa del Crime, nawiązując do osławionej hiszpańskiej kryjówki przestępczości zorganizowanej Costa del Sol.

Najnowsze dane na temat przestępczości zorganizowanej w Zjednoczonych Emiratach Arabskich nie stawiają tego kraju w najlepszym świetle. ZEA zajmują 57. miejsce na 193 kraje w świecie w rankingu Globalnego Indeksu Przestępczości Zorganizowanej – Global Initiative Against Transnational Organized Crime z 2021 r. Emiraty mają słabe wyniki w zakresie przepisów dotyczących przeciwdziałania praniu pieniędzy. Po kontroli transakcji finansowych, o których można domniemywać, że są nielegalne, przeprowadzonej w marcu br. przez międzynarodowy organ nadzoru, Financial Action Task Force, umieściła ZEA na swojej czarnej liście. Powód: aktywność ZEA w zakresie przeciwdziałania finansowaniu terroryzmu, handlowi narkotykami, bronią i ludźmi jest dalece niewystarczająca.

Bardzo podobne wyniki zaprezentowała Transparency International. Ta ceniona organizacja stwierdziła, że Zjednoczone Emiraty Arabskie są… „kluczowym elementem globalnej układanki prania brudnych pieniędzy”. Trend przemieszczania się na odległe rynki w celu prania pieniędzy pochodzących z poważnych przestępstw pokazuje coraz większe wyrafinowanie bałkańskich mafiosów.

Sytuacja, do jakiej doszło w emiratach, wpływa na kruche gospodarki Albanii i Kosowa oraz sąsiednich krajów Bałkanów Zachodnich, nękane rozmaitymi kryzysami. Niemożność zatrzymania i osądzenia ludzi, którzy dysponują gigantycznymi brudnymi majątkami, powoduje, że tak potrzebna tej części Europy stabilizacja gospodarcza oddala się coraz bardziej.

Chrystian Ślusarczyk

eprasa.pl d48cff2080

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Nad jeziorem

Jak co roku garść dni nad jeziorem, w drewnianym domku, gdzie każdy szczegół jest dopieszczony przez artystę malarza, który go budował, w pustej okolicy, nad bezludnym jeziorem, z czaplami i żurawiami, gdzieś między Sejnami a Suwałkami. W Przesmyku Suwalskim, który nagle stał się słynny. Media straszą, że o ten przesmyk wybuchnie trzecia wojna światowa, ponieważ Litwa zablokowała transport rosyjskich towarów do Kaliningradu. Wojna światowa pewnie wybuchnie wcześniej, niż załatwią nas zmiany klimatyczne. Ale myślę, że nie teraz. Może szkoda, miałbym dobry temat, a ja ciągle gonię za tematami jak pies z wywieszonym językiem.

•

Spływ kajakami Czarną Hańczą, kilka godzin w wielkim słońcu. Dobry czas, bo jeszcze przed sezonem, mało ludzi, byliśmy więc sami w nurcie rzeki, z łabędziami, kaczkami i białą czaplą, która nagle zerwała się do lotu. Potem obiad w osadzie Wigry, w restauracji z niebywałym widokiem na stary kościół i na klasztor, wielka harmonia. Ten widok to kąpiel duchowa. Jak ważna jest architektura w tworzeniu nastroju, jak rzadko buduje się teraz pięknie. Lepiej się żyje w pięknym krajobrazie, nieważne, czy tworzy go przyroda, czy budowle. Banalna refleksja, niebanalna by była trafna diagnoza, czemu dzisiaj nie potrafimy budować pięknie jak niegdyś.

Obserwuję domki jednorodzinne, które coraz gęściej wyrastają przy drogach, te budowane w ostatnich latach są jednak lepsze od dawnych koszmarów. Lepsze dachy, układ okien, powstaje jakiś nowy wzorzec, nieidealny, ale już nie szpetny. Te domy nie niszczą krajobrazu. Są więc niebrzydkie, ale czemu nie mogą być piękne? Przecież instynktownie czujemy estetyczną stronę świata, skoro garniemy się do dawnej architektury. Proces budowania jest jednak inny niż kiedyś, teraz produkuje się domy, zatracono dawne reguły gry oparte na harmonii.

W Sejnach widoczna z dala i górująca nad niepięknym miasteczkiem bazylika Nawiedzenia Najświętszej Maryi Panny w stylu późnego renesansu, a wnętrza są barokowe. Jesteśmy tu po raz trzeci na wakacjach, a dopiero teraz zwiedzamy bazylikę. To grzech zaniechania.

•

Terroryzowani przez dzieci. Nie chcą jechać do Wilna bo długa podróż w obie strony, a Wilno można przecież obejrzeć w komputerze. A tak chciałbym, aby dzieci dostrzegały piękno świata. I jego brzydotę. I odróżniały je od siebie. Nic z tego. Dziwne, bo przecież obaj mają talent do sztuk plastycznych. Jak się to godzi? Czy jednak ja w ich wieku miałem wrażliwość na architekturę i krajobrazy? Chyba małą. Tego można się uczyć, jak uczymy się z wiekiem smaków potraw. Zamiast do Wilna wynegocjowałem wyjazd do Druskiennik, bo to bliżej. Słynne uzdrowisko. Niewiele jednak jest drewnianych zabytkowych domów, pozostałych z czasów, gdy tak tu lubił przyjeżdżać Piłsudski. Mieszkał bardzo skromnie, bez wygód, bez elektryczności, pisał i czytał przy lampie naftowej. Litwa robi niezłe wrażenie, dosyć pusto, kraj się podobno wyludnia, kiepskie drogi, GPS poprowadził nas na powrót ku granicy kocimi łbami i drogą pyłową, ale chyba jest większa dbałość o estetykę niż u nas i wielkie rozmnożenie elektrycznych hulajnóg, co wypatrzył nasz Franio.

•

Najazd Rosji na Ukrainę gaśnie w mediach, można było tego się spodziewać, to za długo trwa, media mają mało cierpliwości i nie są w stanie długo skupiać uwagi na jednym temacie, i coraz mniejsze są szanse na szczęśliwe zakończenie tego sensacyjnego „filmu". Próbuję być wierny Ukrainie, więc coś o Rosji w kontekście tej wojny. Pisarz Stefan Chwin w rozmowie z „Wyborczą" powiedział: „Zachód parę razy ją (Rosję) napadł i mordował".

Wojna światowa pewnie wybuchnie wcześniej, niż załatwią nas zmiany klimatyczne.

Pisze do mnie poirytowany tymi słowami Chwina Jerzy Czech, poeta, tłumacz rosyjskiej literatury, „Przynajmniej od Iwana Groźnego mamy do czynienia z moskiewskim *Drang nach Westen*. Zanim Napoleon ruszył na Moskwę (i nie urządził rzezi jej mieszkańcom jak Suworow nam), Rosja uczestniczyła aktywnie w trzech koalicjach antynapoleońskich. Nie istnieje coś takiego jak »kolektywny Zachód«. Powiedziałbym raczej, że Zachód zawsze potrzebował Rosji jako czynnika równowagi (Anglia, Austria i Prusy przeciwko Francji, Prusy i Austria przeciw Polsce jako współrozbiorcy, Francja i Anglia przeciw Niemcom i Austrii, Anglia i USA przeciw tymże Niemcom). Ale rzeczywiście, Ruscy myślą, że ten mityczny »Zachód« w nocy śni, a w dzień planuje, jak zaszkodzić Rosji, zwłaszcza że ich propaganda wbija im to do głowy".

•

Kiedy w wielkiej ciszy leżę na plecach na wodzie jeziora i śledzę wędrówkę chmur, to wszystkie te wielkie dramaty zdają się na chwilę mało istotne.

t.jastrun@tygodnikprzeglad.pl

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Wina biednych?

Czemu służy obwinianie uboższych o zmiany klimatyczne i wytykanie im nieekologicznego stylu życia?

Celebryci nie rezygnują z latania prywatnymi odrzutowcami. Nz. Harrison Ford z żoną Calistą Flockhart.

Jakub Dymek

Jak wygląda najbardziej szkodliwy dla planety, klimatu i środowiska naturalnego osobnik? Pewnie jeździ starym spalinowym samochodem, zajada się kanapkami z szynką, pali w piecu węglem, a w supermarkecie półkę z wegańskimi i bio-organicznymi smakołykami omija z pogardą. Na drugim biegunie jest oczywiście ekologiczna celebrytka albo influencerka, która nosi wyłącznie ubrania z przyjaznych środowisku tkanin, je tylko certyfikowane produkty, inwestuje w „zielone" fundusze i kupuje offset klimatyczny, gdy leci na sesję zdjęciową do Maroka albo na wakacje w Tajlandii. Ktoś taki z pewnością jest lepszy dla planety, prawda?

Tak przynajmniej każe nam sobie to wyobrażać główny nurt debaty. Międzynarodowe korporacje i przemysł wydobywczy włożyły w ostatnich trzech dekadach sporo pracy w to, abyśmy tak właśnie myśleli o odpowiedzialności za zmiany klimatu i dewastację środowiska. Brudni, nieuświadomieni, bezmyślnie konsumujący biedacy są w tej opowieści przeciwstawieni czystym, świadomym i odpowiedzialnym wielkomiejskim zielonym elitom. Na tym obrazku brakuje oczywiście najważniejszego: firm, które wytwarzają te dobra konsumenckie, producentów energii i samego systemu gospodarczego. A decyzje, jak konsumujemy i z czego możemy zrezygnować, nie są podejmowane w próżni.

Czy więc „niższe warstwy powinny żreć mniej mięsa" i przestać latać na wakacje? Właśnie dzięki tym sugestiom milionera Janusza Filipiaka – wygłoszonym w rozmowie przeprowadzonej przez dziennikarkę Agatę Kołodziej – spór o indywidualną odpowiedzialność za zmiany klimatu wybuchł w Polsce na nowo. Milioner uważa, że ktoś, kto montuje pompy ciepła, panele fotowoltaicznie i lata małym prywatnym samolotem (a nie rejsowym boeingiem), robi więcej dla walki ze zmianami klimatu niż przywołana przez niego „niższa warstwa" zajadająca się mięsem. Przy czym sam Filipiak oczywiście zalicza siebie do tej odpowiedzialnej grupy. Czy słusznie?

Globalna przepaść

Łatwo zgadnąć, skąd wziął się stereotyp mówiący, że biedni trują bardziej. W końcu rzeczywiście są takie rodzaje konsumpcji – jak jazda elektrycznym samochodem i montaż energooszczędnych rozwiązań

FOT. EAST NEWS

eprasa.pl d48cff2080

w domu – które aż krzyczą „ekologia!”. A są takie, które kojarzą się jak najgorzej: tłuste jedzenie, jazda starym autem, zakupy w foliówce (a nie gustownej torbie hipsterce na ramię). Na te pierwsze najczęściej do niedawna było stać tylko bogatych. Na drugie uboższych.

Ale teza, że to biedni w większym stopniu odpowiadają za emisję gazów cieplarnianych, jest od początku do końca fałszywa. Zbadał to niedawno zespół World Inequality Lab (Światowego Laboratorium Nierówności), a wyniki opublikowane zostały w obszernym raporcie rocznym. Wynika z nich nie tylko, że bogata Północ – USA i Europa – nadal emituje kilkakrotnie więcej gazów cieplarnianych do atmosfery niż reszta świata. To już dość znany fakt. Jednak, jak tłumaczyli to autorzy Bloomberga w swoim dziennikarskim raporcie, na podstawie tych danych: „okazuje się, że wskutek nierównej dystrybucji korzyści z globalizacji przez całe pokolenie, osobisty majątek w większym stopniu niż bogactwo narodowe odpowiada dziś za emisje. Postęp w walce ze zmianami klimatu oznacza więc konieczność ograniczenia śladu węglowego zamożniejszych spośród nas”.

World Inequality Lab dowodzi nie tylko, że najbogatsze 10% społeczeństwa swoim stylem życia odpowiada za większe emisje per capita – co jest dość oczywiste. Jeśli ktoś lata prywatnym odrzutowcem, zatrudnia armię służących i utrzymuje dom z basenem, to w naturalny sposób będzie zużywał nawet kilkaset razy więcej zasobów niż przeciętny zjadacz chleba. Ale badacze WIL pokazują coś jeszcze: najbogatszy 1% społeczeństwa emituje globalnie więcej gazów cieplarnianych niż uboższa połowa świata! Słowem, cała ta „niższa warstwa”, o jakiej mówi Filipiak, razem wzięta i tak (choć jest wielokrotnie liczniejsza) emituje mniej niż najbogatsi z bogatych (których jest garstka). Prawidłowości te są tym prawdziwsze w krajach o dużych nierównościach społecznych, a więc i u nas.

WIL pokazuje też, że w skali świata od 1990 r. emisje udało się ograniczyć wśród mniej oraz przeciętnie zarabiających mieszkańców krajów rozwiniętych. Czyli na przykład średnio zarabiającego Polaka albo Francuza. Ale to samo nie dotyczy najbogatszych – gdziekolwiek mieszkają – bo oni akurat żyją coraz rozrzutnej pod względem swojego wpływu na planetę.

Kto zaciska pasa?

Czy rezygnacja z jedzenia mięsa albo latania na wakacje jest sama w sobie aż takim złym pomysłem? Oczywiście nie. Wiemy, że produkcja mięsa odpowiada za wielkie emisje gazów cieplarnianych do atmosfery, zużycie wody i energii (odkładając na bok humanitarne i etyczne wymiary przemysłowej hodowli). Tak samo z lataniem. Ale tu napotykamy pewien problem: Europa i Ameryka Północna, choć same bardzo zamożne, są w stanie zgodzić się na ograniczenia w konsumpcji, na przykład mięsa właśnie. Niekoniecznie to samo jest prawdziwe w przypadku społeczeństw, które wychodzą z biedy i konsumpcja będzie tam tylko rosła, a jedzenie mięsa ma charakter statusowy.

Ale znowu: czy przykład idzie z góry? Najnowsze dane, opublikowane przez „Financial Times”, pokazały, że po pandemii największe światowe firmy nie tylko wróciły do fundowania swoim prezesom i członkom zarządów lotów prywatnymi odrzutowcami, ale też wydatki te wzrosły i są wyższe niż kiedykolwiek w poprzedniej dekadzie! Zebrane przez firmę doradczą ISS dane wskazują, że przeciętnie firma z amerykańskiej listy spółek S&P 500 jest w stanie wydać tylko na loty prywatnym odrzutowcem prezesa ponad 350 tys. dol. (nie licząc wydatków na normalne bilety lotnicze). Ale niektóre – jak Meta/Facebook czy Warner Bros Discovery (właściciel TVN) – nie mają problemów, żeby wyłożyć na to kwoty kilka razy większe.

Najbogatsi, nawet gdy promują rzekomo bardziej zielone czy innowacyjne rozwiązania, często świadomie lub nie dokładają się do najbardziej energochłonnych i niszczycielskich przedsięwzięć. Tąpnięcie na rynku kryptowalut – promowanych przez wielu bogaczy celebrytów w rodzaju Elona Muska – obudziło niedawno nadzieje, że uda się dzięki temu uwolnić moce elektrowni w krajach globalnego Południa. Cały biznes kryptowalut bowiem, mimo innowacyjnej otoczki, potrzebuje olbrzymich mocy obliczeniowych komputerów, pracujących często w uboższych krajach i pożerających nieprzebrane ilości energii pozyskiwanej z węgla (i na inne „brudne” sposoby). Czy niewidoczny kryptopieniądz w portfelu ma realny wpływ na środowisko? Na pewno.

Podobnie było z publicznym kryzysem tzw. funduszy ESG – od *enviromental, social, corporate governance,* czyli środowisko, społeczeństwo i zarządzanie korporacyjne, które obiecywały inwestorom możliwość lokowania pieniędzy w firmach mających pozytywny wpływ na świat, środowisko i kulturę biznesu. Okazało się jednak – ujawnił to Bloomberg – że faktyczne kryteria, na podstawie których tworzone były indeksy tych spółek, nie miały nic wspólnego z ochroną klimatu, a nieświadomi inwestorzy mogli tak naprawdę wspierać swoimi pieniędzmi firmy wydobywcze i naftowe.

Teza, że to biedni w większym stopniu odpowiadają za emisję gazów cieplarnianych, jest od początku do końca fałszywa.

eprasa.pl d48cff2080

Czyj ślad?

Ale może z całym sposobem patrzenia na tę sprawę jest coś nie w porządku? Samo mówienie o śladzie węglowym czy indywidualnych emisjach jest tylko zagrywką korporacji, które chcą odwrócić uwagę od swojej roli w niszczeniu środowiska, ostrzegają od lat dziennikarze i aktywiści.

„Korporacje bez wahania wspierały finansowo organizacje non-profit oraz inicjatywy, które organizowały kampanie wzmacniające świadomość i domagające się większego zaangażowania obywateli i obywatelek w utrzymywanie swoich miast w czystości. Hasłem stowarzyszenia Keep America Beautiful, finansowanego przez takie firmy jak Coca-Cola, Pepsi, Dow Chemical i Mobil, było: Ludzie zaczęli zanieczyszczać. Ludzie mogą to skończyć", pisał w świetnym tekście „Indywidualizacja winy za katastrofę klimatu – jeszcze większe świństwo, niż myślisz" redaktor czeskiego magazynu „A2larm" Pavel Šplíchal. „Ludzie patrzą z zaniepokojeniem przede wszystkim na wyrzucone w parku butelki PET, nie zwracając uwagi na to, kto je wyprodukował i na nich zarobił, na rozwój całego sektora globalnego przemysłu", dodawał.

Pomysł śladu węglowego był kampanią marketingową brytyjskich producentów ropy.

Sam pomysł śladu węglowego – *carbon footprint* – był kampanią marketingową brytyjskich producentów ropy. „Do dziś, jeśli wejdziesz na stronę internetową, która pozwala ci obliczyć twój indywidualny ślad węglowy, najprawdopodobniej jest to inicjatywa finansowana przez koncerny wydobywcze", przypominała zaś aktywistka Emma Pattee, która wzywa do zupełnie innego podejścia do indywidualnej odpowiedzialności. I podawała przykład człowieka, który pracuje dla firmy naftowej, ale jeździ elektrycznym samochodem. A konkretnie teslą, jak na ironię produkowaną przez firmę tego samego, wspomnianego już Elona Muska. „Ten człowiek bardzo chciał powiedzieć mi jedno: on jeździ elektrykiem, jeździ teslą, więc nie można winić go za wpływ na klimat. Bardzo, bardzo chciał mi wbić do głowy, że jeździ teslą". I co z tego?

Badania pokazują, że najbogatsi – także ci, którzy wybierają teslę lub mały samolocik i inwestują w fotowoltaikę – i tak trują bardziej. Zatem wzywanie do indywidualnych wyrzeczeń w ich przypadku jest demagogią podwójną – ani wyrzeczenia nie pomogą bez systemowych zmian i wielkich inwestycji w zieloną transformację, ani też bogaci wcale nie dają dobrego przykładu. A w kolejce po nasz, zachodni i zamożny styl życia czekają miliardy ludzi, którzy nie przestaną „żreć mięsa" na rozkaz.

Jakub Dymek
j.dymek@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

To nie wysokość płac odpowiada za drożyznę

Skala proponowanych podwyżek pokazuje, że rząd tylko deklaruje troskę o pracowników

Norbert Kusiak

Niemałe emocje towarzyszą negocjacjom w Radzie Dialogu Społecznego w sprawie wzrostu poziomu wynagrodzeń w przyszłym roku. Czy jest szansa na historyczny kompromis i uzgodnienie tempa wzrostu płac w 2023 r.?

W czerwcu rząd przedstawił Radzie Dialogu Społecznego założenia do projektu budżetu państwa na rok 2023 przygotowane przez Ministerstwo Finansów. To podstawa do opracowania projektu ustawy budżetowej, w tym określenia poziomu wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej oraz minimalnego wynagrodzenia za pracę w przyszłym roku. Niestety, analiza wskaźników makroekonomicznych zawartych w założeniach pokazuje, że są one obarczone niepewnością. Oczywiście największym zagrożeniem i niewiadomą jest wysoka inflacja. Z tego powodu potrzebna jest skuteczna odpowiedź rządu na ekonomiczne zagrożenia, a także długofalowa strategia rozwoju gospodarczego. Najlepiej byłoby oprzeć ją na długo wyczekiwanych środkach finansowych pochodzących z Krajowego Planu Odbudowy.

Choć Komisja Europejska obniżyła prognozę wzrostu PKB Polski na 2023 r., perspektywy wzrostu naszej gospodarki są dobre i bardziej optymistyczne niż w pozostałych krajach Unii. Powinno to znaleźć odzwierciedlenie w propozycjach rządu. Tak się jednak nie stało. Rada Ministrów zaproponowała skromne podwyżki wynagrodzeń oraz uległa opinii pracodawców, że presja płacowa napędza wzrost cen i wywołuje spiralę cenowo-płacową. Nie można się zgodzić z takim stanowiskiem. Wysoka inflacja wynika nie ze wzrostu płac, ale z presji marżowo-cenowej. Do wzrostu inflacji przyczyniają się nie tylko rosnące ceny gazu, paliw, energii elektrycznej, ale także polityka firm, które korzystają z sytuacji i zwiększają zyski poprzez szybkie podnoszenie cen. Żeby płace negatywnie wpływały na inflację, musiałyby rosnąć nieadekwatnie do wzrostu wydajności pracy. Tak nie jest! Dane NBP potwierdzają, że wydajność pracy rośnie w wyraźnie szybszym tempie niż przeciętna płaca.

Skala proponowanych podwyżek pokazuje, że rząd tylko deklaruje troskę o pracowników. W rzeczywistości podejmuje decyzje, które mogą negatywnie wpłynąć na siłę nabywczą płac. Świadczy o tym propozycja rządu, by średnioroczny wskaźnik wzrostu wynagrodzeń w państwowej sferze budżetowej w 2023 r. wyniósł 107,8%. Jeśli rząd przeforsuje swój pomysł, płace w budżetówce zwiększą się tylko o 7,8%, czyli o prognozowany wskaźnik inflacji. Realnie zatem nie wzrosną, a wręcz przeciwnie – spadną, ponieważ wszystko wskazuje na to, że inflacja będzie wyższa niż prognozuje rząd. Pozytywnie jednak należy ocenić to, że wieloletnie apele Ogólnopolskiego Porozumienia Związków Zawodowych odniosły skutek. Rząd zgodził się bowiem, aby płace podnieść na podstawie wskaźnika wzrostu wynagrodzeń, a nie poprzez zwiększanie funduszu płac, z czym mamy do czynienia obecnie. Dzięki temu na podwyżkach skorzystają wszyscy pracownicy sfery budżetowej.

W odpowiedzi na propozycję rządu OPZZ wraz z pozostałymi centralami związkowymi zaproponowało wzrost płac o co najmniej 20%. Nie jest to oczekiwanie wygórowane i nierealistyczne w sytuacji, gdy wskaźnik wzrostu wynagrodzeń był zamrożony przez wiele lat. Zażądaliśmy też, aby podwyżki nastąpiły jeszcze w bieżącym roku. Nie można mieć przecież wątpliwości, że rząd powinien skutecznie chronić pracowników przed problemami ekonomicznymi. Podwyżki są konieczne, ponieważ obecny poziom płac w sektorze publicznym jest skandalicznie niski. Zmniejsza zainteresowanie pracą w budżetówce, co prowadzi do odpływu kadr, hamuje rozwój państwa i pogarsza jakość usług publicznych.

Kwestią sporną jest także proponowana wysokość płacy minimalnej. W przyszłym roku, z uwagi na inflację, która przekroczy 5%, musi ona wzrosnąć dwukrotnie. Tak stanowią przepisy prawa i nie jest to przejaw dobrej woli rządu. Chce on, aby płaca minimalna od 1 stycznia 2023 r. wynosiła 3383 zł, a od 1 lipca – 3450 zł. Propozycja OPZZ i pozostałych central związkowych jest bardziej ambitna, ale adekwatna do tempa inflacji i potencjalnych zagrożeń. Oczekujemy podwyżki płacy minimalnej odpowiednio do 3500 zł i 3750 zł. Jeśli rząd przeforsuje swoją propozycję, pracownicy stracą na podwójnej zmianie wysokości płacy minimalnej. Niekorzystną zmianę odczują już na początku nowego roku. Przez pół roku, do 30 czerwca 2023 r., płaca minimalna będzie bowiem niższa o 67 zł miesięcznie od wysokości obowiązującej od 1 lipca 2023 r. Oznacza to łączną stratę w wysokości 402 zł. Nie taki był cel ustawy o płacy minimalnej. Należy przypomnieć, że przepis o dwukrotnej zmianie wysokości płacy minimalnej ma z założenia chronić pracujących przed realnym spadkiem wartości otrzymywanego wynagrodzenia. Tymczasem propozycja rządu spowoduje, że siła nabywcza minimalnego wynagrodzenia w pierwszym półroczu będzie niższa niż w drugim, ponieważ wzrost cen osiągnie apogeum na początku roku. Co równie ważne, kwota 3383 zł jest niższa od minimalnego wzrostu gwarantowanego ustawą! Dopiero druga podwyżka przewyższa ustawowe minimum, ale tylko o niecały 1%. Takich propozycji nie można zaakceptować.

Niestety, propozycje strony rządowej popierają organizacje pracodawców, które są zwolennikami tezy o zagrożeniu spiralą cenowo-płacową. Wszystko wskazuje więc, że nie zostanie osiągnięte porozumienie w kluczowych dla pracowników i biznesu kwestiach. Co prawda strony negocjacji deklarują otwartość i gotowość poszukiwania konsensusu, ale różnice poglądów oraz oczekiwań są zbyt duże, aby można było oczekiwać przełomu w negocjacjach.

Norbert Kusiak jest dyrektorem Wydziału Polityki Gospodarczej i Funduszy Strukturalnych OPZZ

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d48cff2080

Tylko nieliczni wierzyli

Ustawa o odbudowie stolicy z 1947 r. kończyła chaos prawno-kompetencyjny

Jacek Cezary Kamiński

75 lat temu, 3 lipca 1947 r., Sejm RP uchwalił Ustawę o odbudowie m.st. Warszawy. W kontrowersyjnym temacie tużpowojennych dziejów stolicy akurat ten akt prawny nie budzi większych emocji wśród polemistów wciąż gotowych kruszyć kopie zwłaszcza o tzw. dekret Bieruta. A jednak dla Warszawy był to ważny punkt w jej historii.

Lata 1945-1947 były okresem bardzo intensywnych prac przy odbudowie Warszawy, które przyniosły już znaczące efekty „W 1947 r. Warszawa weszła w trzeci rok odbudowy. Na Wiśle stał już podniesiony z dna most Poniatowskiego, Nowy Świat zastawiony był rusztowaniami, a w BOS trwały ustalenia w sprawie wytycznych dotyczących planu ogólnego" – obrazowo ujął to Andrzej Skalimowski w biografii architekta Józefa Sigalina. Mimo wysiłków powołanego już w 1945 r. Biura Odbudowy Stolicy, którego jedną z czołowych postaci był właśnie Sigalin, rekonstrukcja miasta postępowała w znacznej części żywiołowo, przy sporym udziale prywatnej inicjatywy. Wbrew obowiązującym dziś stereotypom o komunistycznych rządach „twardej ręki", w tych pierwszych powojennych latach sytuacja przedstawiała się zgoła inaczej. W kraju wciąż panował chaos, także na poziomie prawno-kompetencyjnym.

Problem ten dotyczył także samego Biura Odbudowy Stolicy, którego roli w dziejach Warszawy nie sposób przecenić. „Podległość i zakres kompetencji BOS-u zmieniały się przez cały okres jego istnienia, do 1951 r. W zakresie planów i polityki urbanistycznej Biuro działało samodzielnie, szukając poparcia i zrozumienia u Bieruta, co często działo się z pominięciem Ministerstwa Odbudowy, z którym BOS był wyraźnie skonfliktowany, podobnie jak z Zarządem Miejskim. Po części nakładały się tu zakresy działania (Zarząd miał się zajmować sprawami dnia powszedniego, BOS odpowiadać za koncepcje i realizację ogólnej polityki odbudowy), po części wizja organizacyjna (Biuro optowało za reglamentacją działalności budowlanej, w ministerstwie dążono do włączenia kapitału prywatnego, który wsparłby skromne środki przeznaczone na inwestycje mieszkaniowe)", czytamy dalej w biografii Józefa Sigalina.

Nieoficjalna droga

W książce „Spór o odbudowę Warszawy. Od gruzów do reprywatyzacji" Andrzej Skalimowski podkreśla, że w warunkach tej prowizorki „wiele kwestii »załatwianych« było drogą nieoficjalną, często ścieżką kontaktów prywatnych i towarzyskich. Niebagatelną rolę odegrały tutaj znajomości kierowników BOS, Romana Piotrowskiego i Józefa Sigalina". Na dłuższą metę taki stan rzeczy utrudniał realizację coraz bardziej zaawansowanych i ambitnych projektów. Powstała więc konieczność uporządkowania stanu prawnego, co rozwiązać miała właśnie ustawa o odbudowie Warszawy. Sprawa była tym bardziej pilna, że kraj wkraczał w erę gospodarki planowej. Dzień przed uchwaleniem ustawy „warszawskiej" Sejm przegłosował plan trzyletni, pamiętne dzieło kierowanego przez Czesława Bobrowskiego Centralnego Urzędu Planowania. Nadchodził czas stabilizacji systemu politycznego. Miało to oczywiście dobrze znaną ciemną stronę w postaci monopolizacji władzy politycznej przez PPR, co wpłynęło zresztą także na kierunek odbudowy Warszawy. To jednak kwestia nieco późniejsza. Mówimy co prawda o okresie dwóch-trzech lat, ale w ówczesnych realiach, gdy w życiu politycznym i społecznym zmiany postępowały niezwykle dynamicznie, to już właściwie inna epoka.

Właśnie w kontekście dokonujących się w kraju przemian społeczno-politycznych postrzegał sens wprowadzenia ustawy warszawskiej kierownik BOS Roman Piotrowski. „Szybka normalizacja stosunków ogólnokrajowych, krzepnięcie naszej gospodarki narodowej, krystalizowanie się aparatu państwowego wymagało zmian zarówno w układzie wzajemnym czynników dysponujących odbudową stolicy, jak i w zakresie kompetencji ich działania. Potrzeba tych zmian nabrała ostatecznie charakteru konieczności z chwilą wejścia naszego Państwa na drogę realizacji zasad gospodarki planowej", pisał na łamach tygodnika „Stolica".

Bardzo lewicowe Biuro Odbudowy Stolicy było przedmiotem częstych ataków ze strony opozycyjnej PSL-owskiej prasy.

Treść nowej ustawy była mało efektowna. Jej istota polegała na uporządkowaniu struktur, ustaleniu precyzyjnych zasad podporządkowania Biura Odbudowy Stolicy zwierzchnim organom (Ministerstwu Odbudowy) i zakreśleniu jego kompetencji. Podobnym regulacjom poddana została także druga kluczowa warszawska instytucja – Naczelna Rada Odbudowy m.st. Warszawy, której kierownictwo obejmował teraz premier (wówczas Józef Cyrankiewicz).

eprasa.pl d48cff2080

Prace wykończeniowe na Rynku Starego Miasta, 1953 r.

Ustawa precyzowała również podział kompetencji pomiędzy Biurem a Radą. Rada Odbudowy miała być organem nadrzędnym – jak przekonywał Roman Piotrowski, „reprezentującym społeczeństwo i posiadającym należny autorytet". BOS miało natomiast stanowić „aparat skupiający najtęższe nasze siły fachowe (…) dla prac wykonawczych".

Burzliwe dyskusje

Istotnym punktem, świadczącym o tym, jaką wagę władze państwa przykładały do sytuacji w Warszawie, był art. 10, stanowiący, że „Minister Odbudowy może wstrzymać wykonanie inwestycji budowlanej na obszarze m.st. Warszawy i Warszawskiego Zespołu Miejskiego, jeżeli ta inwestycja nie jest zgodna z planem zagospodarowania przestrzennego, z planem inwestycyjnym bądź z programami i ogólnymi projektami w zakresie odbudowy stolicy, ustalonymi przez Naczelną Radę Odbudowy m.st. Warszawy". Roman Piotrowski podkreślał jednak także ideowy wymiar tego aktu prawnego. „Takim kamieniem węgielnym jest przeświadczenie, że odbudowa zniszczonej przez wroga stolicy jest zadaniem o wadze ogólnopaństwowej, że Warszawę odbudowuje cały naród. A zatem problemy, jakie narastają przy tym ogromnym przedsięwzięciu, mają znaczenie nie tylko lokalne, warszawskie. Rozwiązywanie ich wybiega daleko poza zainteresowania i możliwości samych mieszkańców miasta. Konsekwencją tego założenia jest niemożność zmieszczenia zagadnienia odbudowy i przebudowy Warszawy w normalnych ramach prawnych, ustalonych dla każdego miasta w Polsce" – komentował Piotrowski na łamach „Stolicy".

Kluczowy był jednak wymiar czysto organizacyjny. Było to ważne nie tylko ze względu na naturalne spory kompetencyjne, które pojawiają się pomiędzy różnymi instytucjami w sytuacji braku precyzyjnych uregulowań. Pierwsze lata powojenne to moment, w którym toczyły się bardzo burzliwe dyskusje dotyczące przyszłości kraju. Znajdowało to także odzwierciedlenie w dziedzinie urbanistyki i architektury, zwłaszcza w odniesieniu do Warszawy, w której był to rzeczywiście palący problem. W ogniu dyskusji, ale także zakulisowych rywalizacji, ścierały się odmienne koncepcje ideowe i grupy interesów. Mocno lewicowe Biuro Odbudowy Stolicy było przedmiotem częstych ataków ze strony opozycyjnej PSL-owskiej prasy, ale linii podziału było znacznie więcej. Prasowe i robocze dyskusje kipiały od emocji. Ten ferment miał swój konstruktywny, twórczy wymiar, ale często również paraliżował działania lub powodował niespójności na etapie wykonawczym.

Jeden z najbardziej zaciętych sporów w kręgu osób odpowiedzialnych za odbudowę Warszawy toczył się pomiędzy „modernistami" (skupionymi wokół Wydziału Urbanistyki BOS) a „zabytkowiczami", których orędownikiem był generalny konserwator zabytków Jan Zachwatowicz. Historyk architektury Ewa Perlińska-Kobierzyńska uważa wprawdzie, że spór ten jest dziś nadmierne wyostrzany, gdyż „zarówno dla architektów konserwatystów, jak i urbanistów oczywiste było, że miasto wymaga przebudowy i odbudowa w formie sprzed 1939 r. nie ma racji bytu", jednak i ona przyznaje, że rozbieżne tendencje obu grup stwarzały problemy. „Główny spór – mimo deklaracji współpracy – polegał na wyraźnym rozdzieleniu kompetencji dotyczących projektowania przestrzennego, związanego głównie z kwestiami komunikacyjnymi oraz projektowania dotyczącego dzielnicy zabytkowej. Powodowało to równoległe powstawanie dwóch miast, nie zawsze tworzących spójną całość", pisała w książce „Spór o odbudowę Warszawy. Od gruzów do reprywatyzacji".

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, na ogół nie uświadamiamy sobie, jak wiele sprzeczności związanych było z procesem odbudowy Warszawy i jak wielkie emocje budziła ta kwestia. Połączenie rozbieżnych interesów, wizji urbanistycznych, a także rozmijających się oczekiwań różnych grup społecznych było niezwykle trudnym zadaniem, wymagającym w gruncie rzeczy arbitralnych decyzji.

FOT. NAC

eprasa.pl d48cff2080

Trzeba pamiętać, że wciąż silne wpływy posiadał w tym czasie prywatny kapitał. „Obok firm takich jak Dom Towarowy Bracia Jabłkowscy, która nie tylko uruchomiła swój sklep flagowy przy Brackiej, ale i zaoferowała sfinansowanie odbudowy kamienicy Baryczków na Starym Mieście, działali przedsiębiorcy, którzy wzbogacili się na interesach z Niemcami, na szabrze, handlu mieniem pożydowskim albo tym, co wyciekało ze składów z pomocą zagraniczną. Uczciwa czy nieuczciwa, ale nie ulegało wątpliwości, że w sklepikach i na straganach »budziła się burżuazja«", pisze w głośnej książce „Najlepsze miasto świata" Grzegorz Piątek.

Radykalna odmiana

Z jednej strony rok 1947 to początek bitwy o handel, która miała na celu poskromienie prywaciarzy, z drugiej – w dziedzinie budownictwa mieszkaniowego władze zamierzały stymulować inicjatywę… prywatnych inwestorów, jak byśmy dziś powiedzieli – deweloperów. Równocześnie z ustawą o m.st. Warszawie Sejm uchwalił także idącą w tym kierunku ustawę o popieraniu budownictwa. „Gwarantuje ona każdemu budującemu mieszkanie możność swobodnego dysponowania nim oraz pobierania czynszu, uzasadnionego rzeczywistymi kosztami budowy", relacjonowała „Stolica". Już wcześniej udział kapitału prywatnego zaangażowanego w odbudowę Warszawy był znaczący. Szacowano, że w 1945 r. kwota ta wynosiła 1 mld zł, a w 1946 r. 1,5 mld zł. Były to kapitały niemałe, biorąc pod uwagę, że nakłady budżetu państwa na ten cel na rok 1947 zaplanowane zostały na 7 mld zł.

Zarówno dla architektów konserwatystów, jak i urbanistów oczywiste było, że miasto wymaga przebudowy i odbudowa w formie sprzed 1939 r. nie ma racji bytu.

Prywatni inwestorzy koncentrowali się głównie na odbudowie dawnych budynków, tymczasem opinia publiczna w większości opowiadała się za radykalną odmianą oblicza Warszawy. Ciekawy przykład, wskazujący, jak daleko krytyczne było nastawienie wobec przedwojennego kształtu stolicy, podaje Grzegorz Piątek. Cytuje znamienny głos dziennikarza PSL-owskiej „Gazety Ludowej": „Pomnik Chopina z Łazienek to może piękny pomysł dekoracji na biurko – dzieło epoki wiedeńskiej secesji, ciekawej jako pewien przejaw epoki – ale czy rzeczywiście tak wybitne, że należy je z pietyzmem i koniecznie odtwarzać?". Głosy rozpolitykowanych obywateli często szły jeszcze dalej. Skrajny, ale wymowny przykład takiego podejścia zaprezentował Jerzy Kochanowski w książce „Zbudować Warszawę piękną… O nowy krajobraz stolicy (1944-1956)". Publikuje w niej list do prezydenta Bieruta ppor. Jerzego Wilanda z Lublina z 10 marca 1945 r., który proponował przeniesienie warszawskiej starówki do planowanego przez siebie „gdzieś w okolicach Otwocka" miasteczka uniwersyteckiego. „Odbudowanie Starego Miasta w Warszawie uważam za nonsens, za wsadzenie korka niepotrzebnego i stworzenie ponownie dzielnicy nędzy (…). Z drugiej strony szkoda zaprzepaścić możliwości odbudowy Starego Miasta, dlatego też uważam przeniesienie go do miasta uniwersyteckiego za bardzo celowe. Tak czy tak, nie będzie to już prawdziwe Stare Miasto, ale tylko kopia. A kopię można ustawić, gdzie się chce".

Andrzej Skalimowski ocenia, że ustawa z 3 lipca 1947 r. była „wyraźnym przejawem dążenia do centralizacji w gremiach kierujących odbudową Warszawy". Czy jednak w ówczesnych warunkach nie było to niezbędne rozwiązanie? Ustawę o odbudowie Warszawy możemy uznać za pewną próbę reformy funkcjonowania państwa w kwestii, którą uważano wówczas za priorytetową. Jeśli zgodzimy się z dość powszechną opinią historyków i publicystów politycznych, że kultura prawna i organizacyjna zawsze były piętą achillesową polskiej państwowości, to warto docenić każdy reformatorski wysiłek w tej dziedzinie. Choć akt z 3 lipca 1947 r. nie kończył procesu reorganizacji struktur odbudowy Warszawy, to w danym momencie przyniósł pozytywne skutki. „W tym czasie wyczerpały się zasoby wypalonych zdatnych do odbudowy stołecznych budynków. Krystalizował się projekt budowy nowego miasta, tym bardziej że założenia planu (trzyletniego – przyp. red.) pozwalały na realizację nowego budownictwa na szerszą skalę. W końcowym okresie realizacji planu trzyletniego zaczęły powstawać w stolicy pierwsze całkowicie nowo budowane osiedla. 22 lipca 1949 r. miasto otrzymało pierwszą nową arterię komunikacyjną po wojnie – Trasę W-Z. (…) Tylko nieliczni wierzyli w realność projektu szybkiej odbudowy stolicy. Warszawa jednak w parę lat podniosła się z ruin", oceniał Robert Nowak, autor książki „Powstanie z ruin. Historia odbudowy Warszawy w latach 1945-1956". Trudno się z nim nie zgodzić.

Jacek Cezary Kamiński

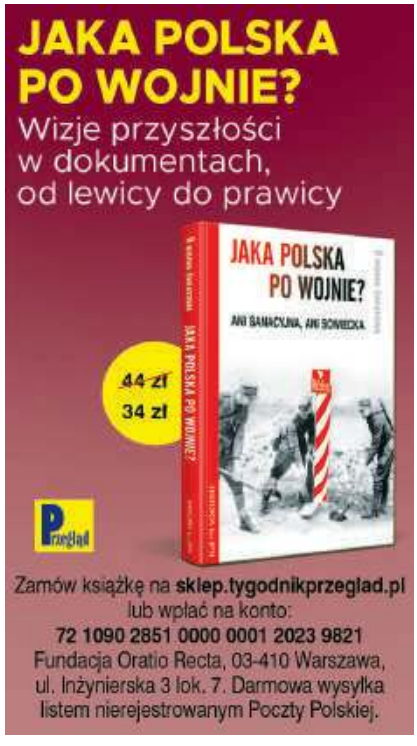

eprasa.pl d48cff2080

Pułkownik i jego goście

Skąd gen. Jaruzelski wiedział o zamiarach ZSRR?

Robert Walenciak

6 lipca mija 99. rocznica urodzin gen. Wojciecha Jaruzelskiego. Żołnierza, polityka, którego życie jest odbiciem historii Polski XX w. Przechodząc do polityki, zapisał się w niej jako architekt dwóch kluczowych dla Polski operacji – stanu wojennego i Okrągłego Stołu.

13 grudnia 1981 r. ogłosił stan wojenny, by uniknąć wojny prawdziwej – rosyjskiej interwencji. Dziś, gdy widzimy, jak wojska rosyjskie poczynają sobie w Ukrainie, jak traktują ludność cywilną, chyba łatwiej możemy sobie wyobrazić ówczesny stan ducha generała. Wychowany był w tradycji troski o polską „substancję narodową", znał polską historię i wiedział, jak reagują Polacy. Ale też znał Rosjan i sposób ich wojowania.

Polski z roku 1981 nijak nie można porównywać z dzisiejszą Ukrainą, która graniczy z państwami NATO i może liczyć na pomoc. Polska leżała wówczas w samym środku imperium. Trzeba więc było wielkiej politycznej gry, by uchronić kraj od najgorszego. Gry, którą Jaruzelski musiał prowadzić na wielu frontach, z których Solidarność była co prawda najgłośniejszym, ale nie najważniejszym. Bo jeszcze była Moskwa, bo była grupa towarzyszy na Moskwę się orientująca, był Kościół, były Stany Zjednoczone…

O tej grze mówi wydana przez PRZEGLĄD książka „Gambit Jaruzelskiego". Oto jej fragment.

Skąd Jaruzelski wiedział o zamiarach ZSRR? Jak czytał ich działania?

Po pierwsze, z rozmów z rosyjskimi przywódcami, z marszałkami, generałami. Znał ich mentalność, znał sposób myślenia. Potrafił z nimi rozmawiać. Po drugie, z informacji, jakie do niego docierały. Czyli? Przecież służby specjalne PRL nie mogły prowadzić działań przeciwko ZSRR. Czyniono to więc trochę inaczej. Schemat postępowania Jaruzelski opisał w książce „Stan wojenny. Dlaczego…": „Już w drugiej połowie 1980 r. ustaliłem z gen. Kiszczakiem, który był wówczas szefem WSW MON (kontrwywiadu i »żandarmerii«), że będzie obserwował i analizował zamierzenia sojuszników w stosunku do Polski – ujawnia Jaruzelski. – Czynił to ostrożnie. Wykorzystywał do tego celu w pełni zaufanych oficerów oraz osobiste znajomości z niektórymi kierowniczymi pracownikami wywiadu i kontrwywiadu wojskowego państw Układu Warszawskiego".

Tak zaczęła działać sieć oficerów wywiadu i kontrwywiadu, których oczy skierowane były na wschód. (...) Kiszczak sporo informacji pozyskiwał, wykorzystując osobiste kontakty. Interesujące informacje otrzymał od dowódcy dywizji zmechanizowanej (byłego szefa wywiadu wojskowego CSRS) gen. Vlka z Karlowych Warów, szefa wywiadu wojskowego Bułgarii gen. Zikułowa, a także od byłego attaché wojskowego ZSRR w Warszawie płk. Korżenkowa, z którym utrzymywał również po jego wyjeździe z Polski dość bliski kontakt. Korżenkow traktowany był przez wojskowych jako ekspert od Polski. Gdy przyjeżdżał do Warszawy w roku 1981, przestrzegał Kiszczaka, że u radzieckich marszałków i generałów nastroje są „bardzo bojowe". Widzą oni tylko jedną możliwość rozwiązania sytuacji – wkroczenie wojsk. I naciskają na radzieckie kierownictwo w kierunku takiego właśnie rozwiązania.

(…) „Źródeł, ogniw operacyjnych, z których gen. Kiszczak otrzymywał informacje było sporo – informował Jaruzelski. – (...) Źródła były starannie kamuflowane". Jednym z niewielu, który zgodził się na ujawnienie nazwiska, był płk Marek Ochocki, komendant wojewódzki Milicji Obywatelskiej w Legnicy. „Płk Ochocki – relacjonuje Kiszczak – w uzgodnieniu ze mną uaktywnił swoje kontakty z radzieckimi generałami i starszymi oficerami. Niektóre z nich przeniósł na grunt towarzysko-rodzinny. Różne okazje: urodziny, imieniny – były wykorzystywane do organizowania spotkań i przyjęć".

Krąg znajomych Ochockiego powiększył się o generałów i oficerów radzieckich, czechosłowackich i NRD-owskich, którzy weszli w skład grupy sztabowej marsz. Kulikowa w Legnicy. Tam właśnie planowano i przygotowywano od strony organizacyjno-operacyjnej wejście wojsk sojuszniczych do Polski. (...) Szef kontrwywiadu Grupy na spotkania z Ochockim przyprowadzał przyjeżdżających z Moskwy szefów grup operacyjnych KGB. W czasie spotkań, przyjęć rozwiązywały się języki. (…)

Płk Ochocki rozpracowywał sztab w Legnicy, identyfikując pracujących tam oficerów oraz zadania, które wykonywali. Rozpracowywał też sytuację za polską granicą. Meldunki składał osobiście Kiszczakowi, w cztery oczy. Wszystko odbywało się tak, by nie było żadnych śladów. ■

eprasa.pl d48cff2080

Marek Książek

Dzięki pracy harcerzy zmienił się wygląd Fromborka.

Fromborskie legendy odżywają na nowo

Operacja 1001 Frombork była największą akcją harcerską w powojennej historii ZHP

W 1967 r. hm. Henryk Leśniowski był zastępcą komendanta Centralnej Szkoły Instruktorów Zuchowych w Cieplicach Śląskich. Któregoś marcowego dnia na jego biurku zadzwonił telefon. Przyjął wiadomość prosto ze stolicy, że nazajutrz ma się stawić w Głównej Kwaterze ZHP i to u samego naczelnika Wiktora Kineckiego. Z duszą na ramieniu pojechał do Warszawy, gdzie naczelnik, bez owijania w bawełnę, powierzył mu funkcję zastępcy szefa sztabu Operacji 1001 Frombork.

– Tata próbował się wykręcić, tłumacząc, że nie zna się na prowadzeniu drużyn starszych harcerzy, ale naczelnik był nieugięty. Zgodził się więc na jeden turnus, ale słowa nie dotrzymał, bo pracował we Fromborku do końca operacji – opowiada Katarzyna Leśniowska, córka zmarłego trzy lata temu druha Henryka.

Z krzyżem harcerskim na kombinezonie

Pomysł na ogólnopolską operację zrodził się w Głównej Kwaterze ZHP, gdy harcerstwo weszło do szkół zawodowych. Na szczeblu krajowym toczyły się dyskusje, jak wykorzystać aktywność i umiejętności fachowe tych harcerzy dla organizacji i samych druhów. Założenia programowe opracowali Mieczysław Siemieński, potem znany dziennikarz, oraz Ireneusz Sekuła, późniejszy minister i wicepremier w rządzie Mieczysława Rakowskiego. Chodziło o to, żeby była to akcja na skalę ogólnopolską, o dużym wydźwięku społecznym, szlachetnym celu, jednocześnie przydatna, przynosząca konkretne, wymierne rezultaty. Zdecydowano się na odbudowę jednego ze zniszczonych w czasie wojny miast polskich. Wybór padł na Frombork, w 80% zrujnowany podczas walk Armii Czerwonej z Niemcami. Ważne przy tym było symboliczne przesłanie: ponad 30 lat żył tu kanonik warmiński, światowej sławy astronom Mikołaj Kopernik. Na Wzgórzu Katedralnym dokończył swoje główne dzieło „O obrotach sfer niebieskich" i tutaj zmarł w 1543 r. Organizatorzy operacji wyznaczyli sobie długofalową perspektywę, aby zakończyć ją na 500-lecie urodzin Kopernika, czyli w roku 1973.

W nazwie operacji znalazła się liczba 1001, oznaczająca pierwszy rok drugiego tysiąclecia państwa polskiego, co dodatkowo podnosiło rangę przedsięwzięcia. Zostało ono zatwierdzone przez władze krajowe i województwa olsztyńskiego. Operacja miała się zacząć w 1967 r., ale już w kwietniu roku poprzedniego na apel naczelnika Kineckiego zgłosiło się 9 tys. harcerzy ze szkół zawodowych z całej Polski. Pierwsza grupa przyjechała do Fromborka w sierpniu 1966 r. i wtedy przez miasteczko, liczące nieco ponad 1,2 tys. mieszkańców, przejechał gąsienicowy spychacz, z którego na rynku wysiadł szef sztabu, hm. Sekuła, powitał mieszkańców i przedstawił założenia operacji. To spektakularne wydarzenie jako pierwsze przeszło do fromborskiej legendy.

W sumie w ośmiu wakacyjnych turnusach wzięło udział ok. 40 tys. harcerzy z różnych stron kraju. Byli podzieleni na zgrupowania utworzone przez rady resortowe szkolnictwa zawodowego oraz chorągwie ZHP. Byli więc „Budowlani", „Górnicy", „Leśnicy", „Chemicy", „Rolnicy", ale i „Archeolodzy". Młodzież ze szkół budowlanych postawiła pierwszy obiekt – remizę strażacką, która służyła ratownikom długie lata. W innych miejscach harcerze kładli chodniki i asfalt na ulicach, pomagali przy budowie bloków mieszkalnych, szkoły, poczty, piekarni, motelu, pawilonu gastronomicznego, sadzili drzewa, urządzali park miejski, wznosili budynki gospodarcze w miejsce szkaradnych szopek i prowizorycznych chlewików. Te roboty szły w dziesiątki, jeśli nie setki obiektów, które diametralnie zmieniły oblicze Fromborka. Rzecz jasna materiały przychodziły z państwowego rozdzielnika, co stało się przedmiotem

eprasa.pl d48cff2080

Maria Iwulska, doktor „Myszka", i hm. Henryk Leśniowski – gorąca para operacji.

Tablica poświęcona Henrykowi Leśniowskiemu została odsłonięta 10 czerwca br. obok Wieży Wodnej .

krytyki tych, którzy prywatnie czekali na cement czy wapno.

Miasteczko w pełnej krasie

Turnusy trwały po trzy tygodnie w czasie wakacji, ale już wiosną przybywały pierwsze ekipy, aby sadzić drzewa lub przygotować front robót. Niektóre zgrupowania, np. budowlane, zakładały obozy także jesienią. Uczestnicy operacji pracowali po trzy-cztery dni w tygodniu, pozostały czas przeznaczając na szkolenia, poznawanie okolic, zawody sportowe, rekreację i zabawę, tak jak na obozach harcerskich. Pod odrestaurowaną wtedy Wieżą Wodną zbudowano scenę, na której kolejne zgrupowania prezentowały się w pokazach artystycznych. Jeden z uczestników opowiada, że na początkowym turnusie szefostwo operacji kategorycznie zakazało spożywania alkoholu (bo stwierdziło takie przypadki), choć niesubordynowani uczestnicy znaleźli wyjście; jeździli na piwko do pobliskiego Tolkmicka. Ten przykład świadczy o tym, że to nie były aniołki w harcerskich mundurkach, a nic co ludzkie nie było im obce.

– Dzięki naszej pracy Frombork nie tylko został odbudowany, ale i nobilitowany, pokazany w kraju i na świecie. Na zakończenie operacji przyjechał Gierek, a premier Jaroszewicz odsłonił pomnik Kopernika przed Wzgórzem Katedralnym. Niestety, dziś często w mroku zapomnienia ginie pamięć o ofiarnych, pracowitych i dzielnych ludziach, przeważnie zwyczajnych, którzy dali przykład, jak wypełniać powinność harcerską w rozumieniu Aleksandra Kamińskiego „Kamyka", twórcy współczesnego ZHP – podkreśla hm. Jerzy Chrabąszcz, uczestnik operacji z Braniewa, autor „Księgi Honorowych Obywateli Fromborka" z lat 1967-2010. Bo uczestnicy co najmniej trzech turnusów otrzymali takie odznaki – jest ich w sumie prawie 3 tys.

Miłość ich życia

Jednym z nich jest Stanisław Tołwiński, przed operacją komendant Centrum Wychowania Morskiego Głównej Kwatery ZHP w Gdyni. Ale że do Fromborka wiodły spływy kajakowe szlakiem Wisły, więc i on do grodu Kopernika dopłynął, zostając zwierzchnikiem drużyn wodnych. Potem przez trzy wakacyjne sezony był łącznikiem między sztabem operacji a kadrą obozów.

– To był fajny okres, który wspominam z łezką w oku, ale i satysfakcją, że brałem udział w tak wielkim i pożytecznym przedsięwzięciu – mówi były wodniak, a dzisiaj organizator lotniczych pokazów na Mazurach.

Cztery turnusy zaliczył syn znanego pisarza Henryka Panasa, Jacek, który w latach 70. był asystentem w katedrze drobiu Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie. Co mu się przydało podczas Operacji 1001 Frombork, kiedy jako zaopatrzeniowiec poczęstował kawałkiem indyka hm. Henryka Leśniowskiego. Nic więc dziwnego, że wkrótce został asystentem wiceszefa sztabu, choć niektórzy twierdzą, że faktycznie to on dowodził całą operacją.

Na pewno tak uważała wtedy młoda lekarka Maria Iwulska z Braniewa, którą druh Leśniowski skutecznie przekonał, aby została szefową obozowej służby zdrowia. I „Myszka", bo tak ją zwą do dzisiaj, zgodziła się przenieść do pobliskiego Fromborka, gdzie m.in. przyczyniła się do zaszczepienia mieszkańców miasteczka i okolic przeciw chorobie Heinego-Medina. Ale nie tylko praca medyczna wśród harcerzy ją zafrapowała, ponieważ wkrótce wybuchnął gorący romans między nią a druhem Henrykiem, za którego wyszła za mąż i żyli razem aż do jego śmierci w 2019 r.

Udział hm. Leśniowskiego w Operacji 1001 Frombork oraz osobiste przymioty tego harcerza, historyka i dziennikarza docenił, tak sam z siebie, obecny właściciel Wieży Wodnej Zygmunt Czarnecki, który ufundował tablicę upamiętniającą tę nietuzinkową postać. Odsłonięcie tablicy, z udziałem obu kobiet życia harcmistrza: żony Marii i córki Katarzyny, a także przyjaciół, harcerzy i władz Fromborka odbyło się 10 czerwca br. W przyszłym roku miasto będzie świętować 550-lecie urodzin Kopernika i półwiecze zakończenia operacji, która już przeszła do legendy. ■

FOT. Z KSIĄŻKI „OPERACJA 1001 – FROMBORK", I. SEKUŁA, H. LEŚNIOWSKI, WYDAWNICTWO HARCERSKIE „HORYZONTY", WARSZAWA 1973, ARCHIWUM HONOROWYCH OBYWATELI FROMBORKA, MAREK KSIĄŻEK

eprasa.pl d48cff2080

Żadne zdjęcie nie jest warte śmierci

Zdjęcia są nagrodą za ryzyko. Im częściej ryzykujesz, tym łatwiej trafisz na dobrą historię

Rozmawia Mateusz Demski

Kiedy zrobiłeś zdjęcie, za które dostałeś Grand Press?

– 5 marca w Białej Cerkwi pod Kijowem. To był moment, kiedy nie było jasne, czy Rosjanie domkną pierścień wokół miasta, a nasz zespół czekał na rozwój zdarzeń. Usłyszeliśmy wybuch, zrobiliśmy typowe „gonienie dymu". Bomba spadła między budynkami – zniszczyła dziesięć domów, kilkanaście kolejnych uszkodziła. Na szczęście nikt nie zginął, kilka osób zostało zranionych odłamkami szkła. Krzątałem się po zgliszczach, aż wpuściła mnie do siebie Irina Maniukina.

Na zdjęciu siedzi przy fortepianie.

– Najpierw zobaczyłem, jak rodzina próbuje ratować dobytek, pakuje rzeczy. Irina nie dowierzała w to, co widzi, i nagle uchyliła pokrowiec fortepianu. Na tle nadpalonej fasady domu zagrała Chopina. Jedną ręką nagrywałem film telefonem, a drugą robiłem zdjęcie.

Poczułeś, że nabierze rangi symbolu?

– Nie, nie myślałem o tym. Od początku wiedziałem, że to mocne ujęcie, ale jak ważne, zdałem sobie sprawę dopiero po publikacji, kiedy zaczęły pojawiać się te wszystkie interpretacje. To pewnie dlatego, że jest to zdjęcie inne niż te pokazywane do tej pory. Na miejscu poraził mnie absurd całej sytuacji. Ta kobieta straciła wszystko w ciągu chwili. I nagle siada do fortepianu, żeby zagrać. To szokujące, jak reagują ludzie na wojnie.

WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI
– fotoreporter, laureat nagrody Grand Press Photo 2022

Potrafi cię coś jeszcze zaskoczyć?

– Niezmiennie. Kiedy patrzę na Ukrainę, to myślę, że nie widziałem takiej wojny. To jest jak I lub II wojna światowa, tyle że z użyciem technologii, które sprawiają, że jest to konflikt jeszcze bardziej krwawy. Po kilku miesiącach skala ofiar cywilnych w Ukrainie jest nieporównywalna do skali ofiar wieloletniego konfliktu w Iraku czy Afganistanie.

Byłeś i tu, i tu. Na wojny jeździsz od wielu lat.

– Od 2006 r. Pierwszy był Liban, wojna między Izraelem a Hezbollahem.

Po co pojechałeś?

– Z ciekawości, chciałem zobaczyć, jak wygląda wojna. Pracowałem dla ogólnopolskich gazet, dosyć dobrze znałem angielski. Pojechałem tam z Andrzejem Talagą. Wyjazd na wariackich papierach. Jakie rzeczy tam robiliśmy, to strach opowiadać.

Co to znaczy?

– Żaden z nas nie miał doświadczenia wojennego. Nie mieliśmy kamizelek kuloodpornych, hełmów. Zdarzyło nam się pojechać na front na rowerach, bo do wszystkiego innego strzelali. To było w Tyrze, w południowym Libanie. Robiliśmy mnóstwo takich głupot. Nie umieliśmy się tam poruszać. Na wojnie trzeba się nauczyć: z kim rozmawiać, jak łapać kontakty, jak ogarniać różne rzeczy na miejscu. Mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu.

Z tymi rowerami to komiczna sytuacja. Na wojnie obowiązuje ponoć czarny humor.

– To coś, co trzyma wszystkich przy życiu. Bez tego nie da rady. Nasz drugi team, który pracował w Ukrainie, miał taką historię ostatnio w Buczy. Cały dzień trwały ekshumacje. Dziennikarka znalazła pięknego szczeniaczka, zaczęła go wycałowywać. Na co kumpel fotograf rzuca: „Wiesz co, najpierw to ja bym mu porządnie wyszorował gębę". To może z zewnątrz brzmieć drastycznie, ale pozwala zdystansować się od tego, co widzisz. To są naprawdę okropne widoki. Na ulicach leżą ciała. Czasem strzelają i wiesz, że możesz dostać.

Ile jesteś w stanie zaryzykować dla zdjęcia?

Wojciech Grzędziński – fotograf i fotoreporter pracujący m.in. dla „The Washington Post". Dokumentował konflikty zbrojne i ich skutki w Libanie, Gruzji, Afganistanie, Sudanie Południowym, Ukrainie.

eprasa.pl d48cff2080

Zdjęcie nagrodzone w konkursie Grand Press Photo 2022.

– Główna zasada – ryzykować jak najmniej. Zdjęcia są nagrodą za ryzyko, które się podejmuje. Im częściej się ryzykuje, tym łatwiej trafić na dobrą historię. Jest genialna sentencja, która od lat mi towarzyszy, a którą powiedziała znajoma: „Człowieka zabić jest trudno, ale łatwo mocno uszkodzić i okaleczyć". Boję się kalectwa. João Silva ze słynnej grupy Bractwa Bang Bang, jeden z najlepszych fotoreporterów na świecie, stracił obie nogi, kiedy wszedł na minę w Afganistanie. Żadne zdjęcie nie jest oczywiście też warte śmierci. Robimy je po to, by zwracać uwagę i pomagać ratować życie. Jeśli ryzykować, to w przemyślany sposób. Zawsze trzeba mieć ze sobą kogoś, kto nas opatrzy, gdy coś się stanie. Jazda w tej chwili samemu do Siewierodoniecka, drogą pod ostrzałem artylerii, może wiązać się z tym, że złapiemy gumę i czeka nas długi spacer pod ogniem nieprzyjaciela.

Można się w ogóle jakoś zabezpieczyć?

– Kalkulacja ryzyka jest ważna. Czasem zamiast pchać się gdzieś samemu, lepiej jechać w kolumnie transporterów opancerzonych. Kamizelka kuloodporna się przydaje – zawsze wożę swoją. To jedna z rzeczy, która pomoże przeżyć. Pomoże, ale nie zapewni przeżycia. Jak dostaniesz dużym odłamkiem, to kamizelka sprawi, że ciało będzie w jednym kawałku.

Były zdjęcia, które ciężko przeżyłeś?

– Te, na których jest krzywda dzieci, ich cierpienie. Kiedyś na moich oczach zostały zbombardowane dwa duże bloki mieszkalne w Libanie. Następnego dnia widziałem, jak wyciągali ciało za ciałem spod gruzów. Czasem były to całe rodziny – tak jak siedziały przy obiedzie. W pewnej chwili ktoś krzyknął, że znaleźli dziecko. W naiwności myślałem, że przeżyło. Przy mnie wyciągnęli zwłoki sześciomiesięcznego chłopca – pokazując je, trzymając nad głową. Obok stał jego dziadek, który przeżył. Ta moja pierwsza wojna była szczególnie brutalna. Do dzisiaj mam ciężkie wspomnienia, które zostaną ze mną na zawsze.

Często miałeś w takich sytuacjach dylemat: robić zdjęcia czy ratować ofiary? Jak Kevin Carter, członek wspomnianego przez ciebie Bractwa Bang Bang i laureat Pulitzera, który zrobił zdjęcie sępa czekającego na śmierć wychudzonej sudańskiej dziewczynki.

– Ludzie nie znają kontekstu tego zdjęcia. Powstało na terenie obozu misji humanitarnej, gdzie rozdzielano żywność. Fotografia była niesamowita, stała się symbolem, ale nie było tam żadnego niebezpieczeństwa – byli tam dorośli, lekarze, opiekunowie. Poza tym znam te rejony. Sudan Południowy nauczył mnie, że takie sytuacje nie są jednoznaczne. Do najbliższego szpitala są np. trzy godziny jazdy bezdrożami, które patrolują bojówki. Kiedy dziecko, które głoduje od dłuższego czasu, przyjmie zwykły posiłek, dostanie skrętu kiszek i umrze w męczarniach. Nie pomożesz. Jedyne, co możesz, to zrobić zdjęcie. Dać świadectwo temu, co się dzieje. Od tego jestem, to moje zadanie. Jeśli te zdjęcia pomogą Narodom Zjednoczonym, NGO, zwrócą uwagę ludzi, to świetnie. A jak zaczną pod ich wpływem sami pomagać, brać do siebie rodziny, to jeszcze lepiej.

Kiedy przyszła propozycja wyjazdu do Ukrainy?

– Tuż przed wojną robiłem materiał na granicy o tym, jak Polska

FOT. WOJCIECH GRZĘDZIŃSKI, MICHAŁ MAZURKIEWICZ

eprasa.pl d48cff2080

przygotowuje się do potencjalnego konfliktu. Była ze mną Loveday Morris, dziennikarka „The Washington Post". To miał być duży materiał – rozmawialiśmy z 82. Dywizją Powietrznodesantową, władzami miast, diasporą ukraińską w Polsce o sytuacji, która może się zdarzyć. Skończyliśmy późnym wieczorem 22 lutego. Loveday została na granicy, a ja wróciłem do Warszawy z założeniem, że jak coś będzie się działo, to wracam. Gdy wojna wybuchła, podjechałem do domu, spakowałem rzeczy, kamizelki kuloodporne i jechałem w kierunku Lwowa. W środku nocy, 25 lutego, fotografowałem na granicy. Kolejki kobiet i dzieci, bo mężczyźni mieli już zakaz wyjazdu z Ukrainy.

„The Washington Post" otwiera pewnie różne drzwi.

– Przede wszystkim współpraca z taką redakcją pozwala być na miejscu. Wyjazd na wojnę nie jest tanią rzeczą. Pobyt kosztuje duże pieniądze, nie da się tego inaczej zrobić. Potrzebne są samochody, tłumacze, fikserzy, hotele. Kiedy teraz byliśmy w Ukrainie, spaliśmy w sześć osób na kupie. Niektórzy, w mniej uprzywilejowanej sytuacji, nocowali na parkingach.

To nie był twój pierwszy raz w Ukrainie.

– Wcześniej byłem tam trzykrotnie. W 2018 r. pracowałem razem z Magdaleną Chodownik i prawie nas utłukli. Nocą zaczął się ostrzał wioski, w której spaliśmy. To była najbardziej wysunięta frontowa miejscowość, dalej była linia okopów. Robiliśmy materiał o tym, jak cywile żyją w cieniu wojny. Przy nas, w domu obok, zginęli ludzie. Dwie osoby martwe, dwie ciężko ranne. Siłą rzeczy mam osobisty stosunek do tej wojny. Bo widziałem, jak to się zaczęło.

A spodziewałeś się, że to się przerodzi w konflikt na taką skalę?

– Byłem pewien, że ta wojna się zacznie. Nie byłem jednak świadom skali, premedytacji rosyjskiego wojska ani tego, jak blisko jest zagrożenie. Od czasu Bośni i Kosowa nie było wojny, na którą można pojechać własnym samochodem. Wyjeżdżasz z Warszawy i półtora dnia później jesteś na froncie w Donbasie. To wojna u naszych granic.

Na twoim Instagramie widziałem mnóstwo zdjęć pokazujących masakry. Ekshumacje w Buczy, ciała cywilów, poćwiartowany szkielet rosyjskiego żołnierza z wraku helikoptera. Nigdy nie miałeś dylematu, czy pokazywać okrucieństwo wojny?

– Toczy się ogromna dyskusja na temat tego, jak pokazywać wojnę. Co można, a czego nie można publikować, uznając obraz za zbyt drastyczny. Są redakcje, które mówią wprost, że nie będą pokazywać ciał. Z jednej strony, wychodzę z założenia, że nie ma takich rzeczy na wojnie, które powinny być tabu. Z drugiej – nie chcę na swoich zdjęciach tylko brutalizować rzeczywistości. Trzeba rozstrzygnąć, o czym się robi materiał, i zbalansować przekaz, żeby był w zgodzie z rzeczywistością. Dam przykład: byliśmy jednego dnia w odzyskanej wiosce. Ludzie naprawiali zniszczone domy, rodziny mieszkały w piwnicach. Na ulicy leżało ciało rosyjskiego żołnierza. Zrobiłem zdjęcie, ale nie widziałem potrzeby pokazywania tego w materiale i epatowania śmiercią. Czym innym był dzień, w którym wyjeżdżaliśmy do Kramatorska, a na dworzec kolejowy spadła rakieta. Rosjanie wiedzieli, że są tam ludzie, którzy czekają na pociąg. Niepokazywanie ciał w momencie, kiedy z premedytacją atakuje się cywilów, jest już zakłamywaniem rzeczywistości.

Na twoich zdjęciach toczy się też normalne życie, ktoś bierze ślub.

– Tak, to para, która planowała wesele przed wojną. Kiedy zaczęły się walki, przyszły pan młody poszedł na front. Dowódca dał mu jeden dzień wolnego, żeby mógł wziąć ślub. Tak wygląda wojna. Ponad 90% czasu to nie są wcale strzały i wybuchy. To jest pewnie promil tego, co się dzieje. Znaczna większość to normalne życie. **Ludzie chodzą do sklepu po chleb. Dzieci się bawią, jeżdżą na rowerach.**

– Albo taki przykład – mam znajomych w mieście, które jest aktualnie zajęte przez Rosjan. Przed jego okupacją robiliśmy obok materiał dotyczący transportu ciała dziewczynki zabitej przez Rosjan. Wolontariusze jechali z jednej linii frontu na drugą, żeby rodzina mogła ją pochować. Podjechaliśmy do tych moich znajomych, a mąż z synem… siedzą na rybach. To jest rzeczywistość wojenna. To absurd wojny, a może wręcz esencja człowieczeństwa i życia, na którą wiele osób nie zwraca uwagi.

Mówisz sobie czasami „nigdy więcej"?

– Miałem takie przemyślenia, powiem więcej – miewam je regularnie. Po jakimś czasie nagle czuję, że sytuacja mnie woła. Mam głębokie poczucie, że to, co robię, ma sens. Zdjęcie nie jest w stanie zakończyć wojny, ale docieralność do ludzi jest realna. Liczy się jakość fotografii, ale przede wszystkim, gdzie ta fotografia jest pokazywana. Najważniejsze jest to, żeby mieć możliwość opowiedzenia tych historii światu. Gdyby moje zdjęcia trafiały do bardzo wąskiej grupy docelowej, na bloga albo Instagram, nie miałoby dla mnie sensu. Czułbym, że oszukuję moich bohaterów. Ale wiem, że te zdjęcia idą dalej. Przez ostatnie miesiące dostałem mejle od czytelników, którzy pisali, że są poruszeni tymi obrazami. Isabelle Khurshudyan, dziennikarka, z którą pracowałem, przesłała mi piosenkę o jednej z bohaterek naszego reportażu. To jest jeden z powodów, dla których będę wracał. Ta wojna jest dość słabo relacjonowana przez polskie media. Mamy bardzo mało dziennikarzy na miejscu, większość opiera się na agencjach i tłumaczeniach innych źródeł.

Kiedy planujesz wrócić do Ukrainy?

– Za około miesiąc. Byłem tam trzy i pół miesiąca. Czułem, że potrzebuję zresetować głowę. Popatrzeć na jezioro, posłuchać rano ptaków, przystrzyc trawę. Musiałem też ogarnąć sprawy rodzinne. To trudna rzecz wrócić, ale i obowiązek w pewnym sensie. Chodzi o wojnę nową, ważną, która zmieni układ sił politycznych na najbliższe dekady.

Mateusz Demski

Nie pomożesz. Jedyne, co możesz, to zrobić zdjęcie. Dać świadectwo temu, co się dzieje.

eprasa.pl d48cff2080

Wymodelowane przez erozję fantasmagoryczne figury.

JACEK PAŁKIEWICZ

PÓŁ WIEKU
REPORTERSKICH PODRÓŻY

Otwierając cykl fotoreportaży o poszukiwaniu osobliwości, ginących cywilizacji, niezwykłych krain i ludzi osiadłych w odległych regionach, zapraszam Czytelników do ostatniego sanktuarium przyrody usilnie strzegącego swoich tajemnic. Mowa jest o tepui. To potężne, tonące w chmurach masywy skalne o płaskich wierzchołkach, wznoszące się pionowymi, prawie kilometrowymi ścianami ponad pofalowaną Wielką Sawanną i dziewiczym lasem amazońskim w odległej Wenezueli.

Izolowany, trudno dostępny i nie do końca zbadany archipelag setki gór stołowych zaliczany jest do unikatowych tworów natury, symbolu świata endemicznego, nie mniej intrygującego od wysp Galapagos, klucza ewolucji. Na jedynym dostępnym dla turystyki tepui Roraima (2810 m n.p.m.) każda wyprawa naukowa odkrywa coraz to nowe gatunki roślin, owadów, zwierząt, w tym takich, które zdają się mieć dużo wspólnego z dawno wymarłymi gadami. Świadczy to o tym, że ten rozdział eksploracji kontynentu południowoamerykańskiego nie został jeszcze zakończony.

Dotarcie tam wymaga wyczerpującej wspinaczki, ale opłaca się, bo widok przedziwnych formacji skalnych z wietrzejącego od milionów lat piaskowca wielokrotnie przerasta zdolność percepcji nawet doświadczonego podróżnika. Tajemny czar i metafizyczny nastrój płynący z naturalnego środowiska powoduje, że człowiek ma wrażenie, iż dotarł do miejsca, w którym nikogo przed nim nie było.

eprasa.pl 048cff2080

JACEK PAŁKIEWICZ

– reporter, eksplorator, odkrywca źródła Amazonki, twórca survivalu w Europie. Autor ponad 30 książek. www.palkiewicz.com

1

2

3

4

5

eprasa.pl d48cff2080

1 – Jacek Pałkiewicz kierował międzynarodową wyprawą naukową.
2 – Mapka gór stołowych.
3 – Znak na granicy Wenezueli, Gujany i Brazylii.
4 – Dwudniowy katorżniczy marsz na szczyt.
5 – Majestatyczne miejsce opisał sir Arthur Conan Doyle w „Zaginionym świecie".
6 – Zdeformowana powierzchnia tepui Roraima.
7 – Miniaturowe oazy roślin o niesłychanych barwach i kształtach.
8 – Roślina mięsożerna.

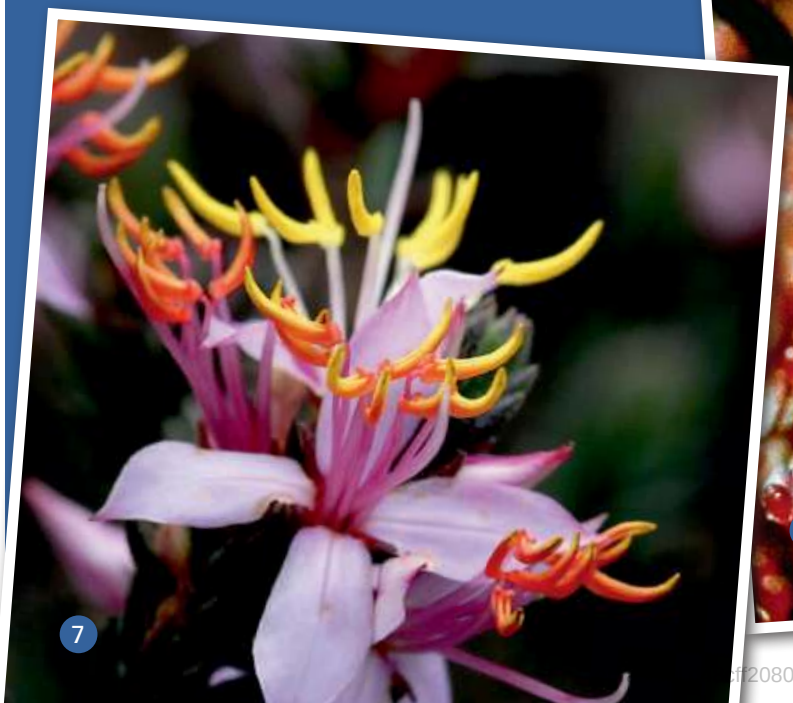

FOT. ARCHIWUM AUTORA

ff2080

Wiesław Kot

Rzeźnicy z Serbii, nieogary z Polski

Wakacyjne zaległości filmowe. Dla wymagających

Wojna, eutanazja, gentryfikacja, weganizm to tematy, które poważne kino brało pod lupę w ostatnich miesiącach. Niestety, pandemia najpierw opóźniła premiery, a potem przekierowała trudniejsze filmy do obiegu DVD i na kanały streamingowe. Ale one tam są, czekają na nas, zwłaszcza w sezonie urlopowym. Jest co oglądać, jest o czym rozmawiać.

„Aida" (reż. Jasmila Žbanić).
Zachód przygląda się wojnie na Wschodzie

W serbskim oryginale film nazywa się bardziej swojsko dla polskiego ucha: „Quo Vadis, Aïda?". Owa Aida (fenomenalna Jasna Đuričić), nauczycielka ze Srebrenicy, pracująca dla sił ONZ jako tłumaczka, próbuje ocalić swoje miasto, własną rodzinę i siebie podczas inwazji wojsk serbskich w lipcu 1992 r. Srebrenica miała wtedy status strefy bezpieczeństwa, była bośniacką enklawą w Serbii. Gwarantem jej bezpieczeństwa były siły ONZ rozlokowane w pobliżu. Tymczasem do miasta wkraczają oddziały serbskie pod dowództwem Radka Mladića, co było ewidentnym naruszeniem wcześniejszych ustaleń i bezpośrednim zagrożeniem życia muzułmańskich mieszkańców Srebrenicy, wobec których Serbowie objawiali wcześniej jawną wrogość. Zachodni gwaranci mają jednak zupełnie inny punkt widzenia. Patrzą na te plemiona, trwające w jakimś nienawistnym szczękościsku na tych terenach od setek lat, i nie mogą się nadziwić, że ci ludzie chcą się wyrzynać w imię jakichś zupełnie abstrakcyjnych racji: rasistowskich, historycznych, wyznaniowych. Wyczuwa się tutaj stanowisko typu: „A niech oni wszyscy się pozarzynają, skoro tak bardzo im na tym zależy. Co nas to obchodzi? Jak się wyrżną nawzajem, od razu poczują się trochę lepiej. To jest dzicz, nad którą trudno zapanować".

„Aida" to produkcja międzynarodowa, z tym że przywódcy Bośni i Hercegowiny nie chcieli wspierać tego projektu, a nawet sabotowali film. Żeby nie otwierać ran, które już rzekomo dawno się zabliźniły. Jasmila Žbanić kręciła go więc po kawałku, często ukrywając się z ekipą.

Film rozszedł się szeroko po świecie, był nominowany do Oscara w kategorii najlepszy film międzynarodowy, do BAFTY, czyli Oscara brytyjskiego, na festiwalu w Wenecji dostał nagrodę specjalną, tzw. Briana. Z kolei w ramach Europejskiej Akademii Filmowej otrzymał tytuł najlepszego filmu roku 2021. Krytyka doceniała zwłaszcza to, że pokazuje wojnę od strony cywilów, więc – wbrew pozorom – od strony osób najbardziej kompetentnych. Ostatecznie to cywile podczas wojny cierpią najbardziej i bywają pozbawieni opieki. Bo formacje wojskowe są jednak aprowizowane, opatrywane przez służby medyczne i wspomagane przez całe działy logistyki, a cywile bywają zostawieni samym sobie. Ich los bywa najgorszy, co znamy z rodzimych doświadczeń, choćby z czasów powstania warszawskiego. A wojna w Ukrainie, która wybuchła półtora roku po światowej premierze filmu (3 września 2020 r.) potwierdziła tamte konkluzje w sposób więcej niż dobitny.

„Wszystko poszło dobrze" (reż. François Ozon).
Śmierć wpisana w biznesplan

Eutanazja po francusku. Tam tego rodzaju wspomagane samobójstwo jest ciągle nielegalne. A tu 85-letni przedsiębiorca po długim i intensywnym życiu zostaje dotknięty udarem i częściowo sparaliżowany. Nie mogąc z tym się pogodzić, prosi najstarszą córkę Emmanuèle (Sophie Marceau), aby pomogła mu rozstać się z życiem. Ta krok po kroku wdraża skomplikowaną procedurę, która ostatecznie dopełni się w Szwajcarii (tam eutanazja jest legalna). Oglądamy opowieść stonowaną, wyzbytą emfazy, celowo beznamiętną. Łza żalu pojawi się dopiero w ostatniej scenie.

Film stawia pytanie: czy śmierć może być szczęśliwym zakończeniem i pod jakimi warunkami. I przypomina: moment odejścia na naszych oczach mocno przesuwa się w górę, w kierunku setki. Już w 2020 r., po raz pierwszy w historii, na Ziemi żyło więcej ludzi w wieku powyżej 60 lat niż dzieci poniżej lat pięciu. Każdego roku przewidywalna długość życia noworodków wzrasta o miesiąc.

Samo umieranie to nie jest akt jednorazowy. To proces, który przebiega właściwie od momentu, kiedy zdajemy sobie sprawę z tego, że jesteśmy śmiertelni. Pytanie, co to znaczy „odejść na własnych zasadach", „umrzeć z godnością", „odejść z wyboru" itd. Często słyszymy o życiu od poczęcia do naturalnej śmierci, ale pytanie, co to znaczy „naturalna śmierć". Czy ktoś, kto na przykład przez wiele lat przybliżał ją paleniem papierosów, notorycznym upijaniem się czy otyłością i innymi formami skrajnie niezdrowego trybu życia, nie jest w jakimś sensie samobójcą? A odchodzenie „zgodne z naturą"? Toż to Stanisław Lem powtarzał, że gdybyśmy mieli odchodzić „zgodnie z naturą", bez wspomagania cywilizacyjnego, umieralibyśmy w okolicach czterdziestki – łysi, szczerbaci, półślepi, wycieńczeni.

I jeszcze Sokrates, który wybrał śmierć z własnej ręki, wcale jej się nie bał. Bo czego tu się bać? Kiedy żyjemy, nie ma śmierci. Kiedy

eprasa.pl d48cff2080

Aida

Wszystko poszło dobrze

Znaj sąsiada swego

przychodzi śmierć – nie ma nas. Mijamy się. Tak więc, czy warto zawracać sobie głowę kimś o kogo ledwie otarliśmy się w przejściu. I to jeden, jedyny raz w życiu?

„Jedenaste: znaj sąsiada swego" (reż. Daniel Brühl).

Gentryfikacja na przykładzie

Film niemiecki, dokładniej: RFN-owski z przymieszką NRD-owskiego, nakręcony w dużej mierze za pieniądze amerykańskie i etykietowany jako czarna komedia. Oto gwiazdor filmowy zmuszony jest spędzić kilka godzin w zwykłym berlińskim barze i tu boleśnie zderza się z życiem. Sam siebie obsadził w głównej roli i sam siebie wyreżyserował niemiecki aktor młodszego pokolenia Daniel Brühl (Pamiętamy jeszcze „Good Bye, Lenin!"?). Tu gra w pewnym sensie samego siebie w sposób autoironiczny, sarkastyczny, poniekąd samobójczy. Oto wielka gwiazda filmowa, balon, z którego nagle uchodzi powietrze. Ale Brühl może sobie na to pozwolić jako najbardziej znany niemiecki aktor naszych czasów, którego majątek ocenia się na 4-6 mln dol. Pozwala sobie, stać go, jest najlepszy.

Jednak głównym bohaterem filmu okazuje się nie on, lecz gentryfikacja. Czyli proces, w ramach którego stare szacowne dzielnice przebudowuje się, unowocześnia i dostosowuje do wymagań nowych mieszkańców, rzecz jasna o znacznie wyższym statusie materialnym niż ci, którzy mieszkali tutaj dotąd. No i coś z tymi poprzednimi mieszkańcami trzeba zrobić. Polscy dziennikarze i prokuratorzy, którzy zajmowali się kwestiami tzw. czyścicieli kamienic, mieliby tu wiele do powiedzenia. U nas mówiło się dużo o gentryfikacji warszawskiej Pragi-Północ. Tu oglądamy gentryfikację po berlińsku. Więc ten pub na rogu, gdzie popularnemu aktorowi upływa przedpołudnie w oczekiwaniu na samochód, który zawiezie go na lotnisko, jest dokładnie taki jak w NRD. A powyżej mieści się jego rezydencja z betonu i szkła, do której jeździ się prywatną windą. W sumie klasyczny przykład gentryfikacji.

No i oglądamy tzw. ludzki aspekt tego procesu. Do obskurnego baru wchodzi mężczyzna – młody, przystojny, dbający o ciało, doskonale ustawiony materialnie, żyjący w luksusowym lofcie z widokiem na berlińską wieżę telewizyjną. Szkło, metal, beton. Dokładny, pilnujący

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d48cff2080

szczegółów, zorganizowany, oddany pracy od poranka. Przy tym rodzinny i miły dla służby. Egzemplarz z żurnala dla panów. Kiedy zstępuje z tych swoich wyżyn na zwykłe zagracone podwórko w kamienicy, to jakby osuwał się w piekło zwyczajności i pospolitości. Podobnie jak wtedy, gdy w barze popija lurowatą kawę, którą pijają codziennie ci z niższych rewirów. I gdy próbuje salcesonu, śniadania klasy robotniczej. Zaraz się okaże, że osób ze swojego otoczenia, które nie są mu potrzebne, po prostu nie zauważa. Nie pamięta imienia barmanki, nie zarejestrował istnienia sąsiada, który od lat odbiera dla niego przesyłki pocztowe. Odruchowo łączy zawodowy półuśmiech, wyuczoną uprzejmość z martwym wzrokiem, pomijającym osobę, z którą właśnie rozmawia. Oczy ciągle w poszukiwaniu kolejnej życiowej okazji i kogoś, kto może mu załatwić coś naprawdę ważnego. Cóż, to tylko wizyta w skansenie, za chwilę podstawią samochód. Ten zawiezie go na lotnisko, a stamtąd samolot uniesie go z powrotem w górę, czyli w jego własne rewiry.

„Gunda” (reż. Victor Kossakovsky).
Wieprzowina – zanim ją zjemy

Dokument. Pełen czułości, zrozumienia i empatii obraz zwierząt, które mamy najbliżej, bo w pobliskiej hodowli, a za chwilę na własnym talerzu. Za obrazem jako współscenarzysta i reżyser stoi Victor Kossakovsky (ur. 1961). Dokumentalista z pochodzenia rosyjski, teraz obywatel świata. Mawia o sobie, że jest „pierwszym radzieckim wegetarianinem” i swój film na temat zwierząt hodowlanych nakręcił z wyjątkową uważnością wobec świnki, która dała tytuł filmowi, krów i kurczaków bytujących na zwykłej farmie. Drugi twórca dzieła – jego producent – to aktor i aktywista proekologiczny Joaquin Phoenix. Ten, który przed dwoma laty zdobył Oscara za tytułową rolę w filmie „Joker”. Tam też było sporo o współczuciu.

W naszej – chrześcijańskiej, wydawałoby się – kulturze ciągle pokutuje przekonanie, że zwierzę jest czymś w rodzaju żywej rzeczy. Słabo przebija się do naszej świadomości, że owszem, otrzymaliśmy zezwolenie, aby „czynić sobie ziemię poddaną”, ale nie nakaz, by brać ją w okrutną, nieludzką i wyniszczającą niewolę.

Tymczasem w tym filmie zwierzęta mają swój własny autonomiczny świat, może niewielki, wyznaczony obrębem stajni i podwórka, ale to jest ich ojczyzna, w której czują się doskonale. No i rozmawiają, gadają, słyszymy ten trzepot skrzydeł, gdakanie, chrumkanie, pokwikiwanie, beczenie i rżenie. Disney zwierzęta uczłowieczał, jego sarenka czy lew to po prostu ludzie, tylko obdarzeni kopytkami, grzywą lub czarno-białymi pasami. Tutaj jest inaczej, te zwierzęta żyją we własnym świecie. Człowiek, owszem, jest im potrzebny, ale nie zwracają na niego większej uwagi niż my na listonosza czy na dostawcę pizzy. Tym razem obywamy się także bez pośrednictwa zoologa z litanią tytułów przed nazwiskiem czy natrętnej komentatorki, która objaśnia dzieciom schematy na tablicy.

A przecież u tych „braci mniejszych” odczytujemy emocje podobne do tych, które zapełniają nasze wnętrza. Krowy bywają melancholijne, maciora przeżywa ekstazę macierzyństwa, kury swoim gdakaniem i skrzętnością w zbieraniu ziarna przypominają ludzi zajętych codzienną krzątaniną i baczących tylko na to, żeby na zakrętach historii ten talerz z codzienną zupą nie przelał im się zanadto. Ale ta idylla będzie miała swój ponury i ostateczny kres, bo rzeźnicy już ostrzą noże przed ostateczną zagładą. Szkoda. I smacznego!

„Kraj” (reż. Maciej Ślesicki).
A nuż się uda?

Zbiorówka. Na całość składa się sześć nowel autorstwa adeptów rodzimej reżyserii, które nie zahaczają o siebie w sensie fabuły. Wiąże je analiza sytuacji, w których rodacy doprowadzeni skutkiem długotrwałego stresu do ostateczności wybuchają i zaczyna się awantura, nad którą nikt już nie panuje.

Mamy tu obrazki z tzw. Polski elementarnej, z Polski parterowej, Polski powszedniej, trzymającej się blisko gruntu. To kraj z ostatnich materiałów w wieczornych wiadomościach i ostatnich stronic gazet, tam gdzie mieszczą się informacje o incydentach, kryminałki, bilanse wypadków drogowych. A przykładowo szosy, od których startuje ta odcinkowa opowieść, to bywa w naszym kraju rzeźnia. Polacy siadają za kierownicą z bardzo wielu powodów, niekoniecznie po to, żeby przemieścić się szybko, sprawnie i bezpiecznie z punktu A do punktu B. Przeciwnie – wyjeżdżają, żeby „podkręcić adrenalinkę”, nadymać ego, żeby się pościgać, zaimponować innym osiągami własnego samochodu, by wykazać przygodnym świadkom, że przepisy drogowe są dla frajerów. No i mamy bezmózgów, nieuków, kretynów i tutaj z ekranu pada cały wianuszek pokrewnych określeń, ale mamy także Polskę nauczycieli i okazicieli. Nauczyciel to taki, którego ulubionym zwrotem jest „ja pana nauczę”, a okaziciel to taki, którego ulubionym zwrotem jest „ja panu pokażę”.

Poza tym rodacy z filmu to, jak mawia młodzież, nieogary, więc ci, którym z najwyższą trudnością przychodzą rzeczy elementarne. Do nich nie dociera, że nie należy się spóźniać i w ten sposób okazać szacunek drugiej osobie. Że trzeba uważać na to, co się dzieje w promieniu metra od nas, żeby nikogo nie potrącić, nie blokować przejścia, nie zastawiać cudzego samochodu na parkingu. I dalej: starać się zapamiętać nazwisko albo imię współpracownika, żeby nie rzucać tekstów w powietrze, nie bać się słów: proszę, dziękuję, przepraszam, nie bać się uśmiechać. Skończyć z tą arcypolską manią narzekania i krytykowania wszystkiego w przekonaniu, że jak się będzie narzekać, to człowiek w towarzystwie zawsze wypadnie lepiej.

A tak w ogóle w Polsce szaloną karierę robi określenie „a nuż”. Oznacza ono, że zasadniczo, jeżeli coś zawalimy, przykrości czekają nas nieuchronnie. Ale zawalamy! Dlaczego? Bo a nuż ktoś nas nie przyłapie, a nuż jakiś przypadek zdecyduje, że się wywiniemy. I na tym „a nuż” często opiera się cała nasza narodowa i osobista kariera.

Wiesław Kot

eprasa.pl d48cff2080

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Ówdzie i już

Zgodnie z Horacjańskim nakazem skupiam się na chwytaniu dnia, bo intuicja zabrania myślenia o przyszłości. Przyszłość już była, już ją przeżywaliśmy, niektórzy nawet w nią inwestowali i zwiedzeni naukami o przezorności niechybnie utracą swój wkład majątkowy. Zawodowa nawijka doradców finansowych, którzy uderzają w najczulsze tony „zabezpieczenia przyszłości dzieciom", a dla ludzi nierodzinnych „zapewnienia sobie spokojnej starości", ostatecznie straciła rację bytu. Nasze dzieci pozostaną nimi na zawsze, nie zdążą już dorosnąć, jedyne, co możemy, to zapewnić im i sobie dostatnie dzisiaj, jeśli zostały nam jakieś oszczędności.

Katastrofizm jest współczesnym realizmem, nikt już nikogo nie wykpiwa za kasandryczną ględźbę, raczej skorzy jesteśmy z politowaniem przyjmować dalekosiężne biznesplany i optymistyczne szukanie działek budowlanych w karpackim zaciszu. Banki jeszcze udzielają kredytów, ale na zaporowych warunkach, miłośnicy wina jeszcze nie otworzyli bordoskich grand cru skitranych w piwnicznym chłodzie na uczczenie matury dziatwy, ale już czują, że trzeba będzie te wina wypić przy znacznie wcześniejszej okazji. Nie wiedzą, że samo życie jest okazją do uczczenia, czcić trzeba każdy dzień, który nie okazał się ostatnim, wszystko inne to czcze gadanie, jedzmy i pijmy, żeby nie umrzeć na czczo (bodaj w niesamowitym „Kwaidan" Kobayashiego pojawia się postać wiecznie cierpiącego głód upiora, który nie zdążył się najeść przed śmiercią).

Czcić trzeba każdy dzień, który nie okazał się ostatnim, wszystko inne to czcze gadanie.

Żyję więc raczej ówdzie i już, niż tu i teraz, bo na uporczywe przeczucie nieuchronnej zagłady reaguję panicznym głodem poznawania nowych miejsc, chcę zobaczyć jak najwięcej, zanim nie będzie już nic widać. Kiedy po kilku dekadach wspinania straciłem partnerów od liny (żyją, po prostu zgnuśnieli), nie bardzo wiedziałem, jak ukoić tęsknotę za dużymi ścianami. I oto odkryłem dla siebie ferraty – „żelazne percie" skalne, wiedzione w eksponowanym, wysokogórskim terenie, nierzadko w pionowych odcinkach. Te najłatwiejsze to po prostu szlaki ubezpieczone klamrami i stalowymi linami, na podobieństwo naszej tatrzańskiej Orlej Perci. Trudniejsze wiodą w całości w pionie i wymagają użycia sprzętu alpinistycznego, te najbardziej ekstremalne to już siłowe wyzwania z klasycznymi przewieszkami do pokonania – od wspinaczki sportowej różni je wyłącznie możliwość autoasekuracji. Czyli w to mi graj – żadnej z żon nigdy nie udało mi się zarazić pasją górską, a kiedy je wykorzystywałem jako „żywe obiekty asekuracyjne", omal nie przypłaciłem tego życiem; teraz mogę śmigać samotnie po bigwallach bez stresu, wystarczy uprząż i taśma asekuracyjna, którą się wpinam do stalówki.

Zawsze sobie powtarzałem, że ferraty zostawię sobie „na starość", ale kłopot polega na tym, że mało kto potrafi starość u siebie w porę zdiagnozować, jeśli to zaś uczyni, niekoniecznie z nią się pogodzi. Koniec świata zbliżył się na wyciągnięcie ręki w stronę guzika atomowego, więc kłopot zniknął, możemy przeżyć starość awansem, już w średnim wieku – potem nie będzie czasu ani miejsca, ani akcji; nie będzie żadnego potem. Gramolę się więc dostojnie po przepaściach, podziwiam widoki i przepuszczam chyżych młodzianków, nad głową latają mi glajciarze, z dołu niosą się dzwonki rogacizny, na horyzoncie majaczy burza, grzmi i błyska, ale ciągle jeszcze gdzieś tam daleko, no, chyba że ktoś się uparł na Giewont w środku sezonu, gdzie morderczy piorunochron wtaszczony dawno temu przez góralskich bigotów niezawodnie zbiera żniwo wśród turystów.

Oprócz wielu zalet ferraty mają i tę, że brak ich w Polsce. Żeby się na nich pobawić, trzeba wyjechać w Alpy lub chociaż na Słowację, wymuszają zatem wychynięcie z naszej Kartoflanii, co umysł odświeża i duszę obmywa. A dla fanatyków ojczyzny zawsze znajdzie się coś swojskiego, na przykład banery reklamujące po wsiach austriackich Radio Maria – mało kto pamięta, że ten szatański organ medialny sekty Rydzyczan nie jest pomysłem rdzennie polskim. Ultrakonserwatywne fobie i bezrefleksyjne katolstwo trują eter wszędzie, gdzie to możliwe.

w.kuczok@tygodnikprzeglad.pl

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl d48cff2080

Rozmawia Joanna Orzechowska

Oswoić sukces

Niektóre filmy nie trafiają na ekrany w odpowiednim momencie. Czasami docenia się je po latach

Pana filmy zawierają nutę goryczy, mówią o grze pozorów i utracie złudzeń.

– Zawsze fascynowała mnie gra masek – nic w naszym życiu nie jest takie, jak się wydaje. Ale nie jestem pesymistą, miłość do życia zawsze u mnie zwycięża. Można budować na ruinach, na tym opiera się psychologiczny koncept rezyliencji.

Był pan często wskazywany jako reżyser kobiet – od lat tworzy pan ich wyraziste portrety.

– Kocham kobiety. Uważam, że są dużo bardziej interesujące i odważniejsze od mężczyzn. Lubię też wypowiadać się poprzez postacie moich bohaterek: mam specyficzny rodzaj wrażliwości, a dystans sprawia, że mogę w nich się przeglądać jak w zwierciadle. Uwielbiam też pracować z aktorkami – są dużo mniej pretensjonalne aniżeli ich koledzy. Bardzo cenię sobie ich towarzystwo.

W pana ostatnim filmie „Wszystko poszło dobrze" główną rolę zagrała Sophie Marceau. Podobno pragnął pan z nią pracować od wielu lat.

– Sophie jest aktorką, która musi odczuwać osmozę z danym projektem. Opowieść o śmierci ojca bardzo ją wzruszyła, być może dlatego, że nie tak dawno straciła własnych rodziców. Na planie była jak zdyscyplinowany żołnierzyk: bez najmniejszych oporów zaakceptowała ograniczenia, które niosła ze sobą rola. Grała bez makijażu, często w tych samych kostiumach. Jest szalenie popularna, co sprawiło, że widzom łatwiej było wejść w opowiadaną historię.

Stworzyła wielką kreację aktorską, podobnie jak André Dussollier w roli jej kontrowersyjnego ojca.

– Aktorzy uwielbiają grać postacie antypatyczne, o silnym charakterze. Szlachetni i zalewający się łzami bohaterowie ich nudzą. W centrum opowiadanej przeze mnie historii znajduje się postać ojca bohaterki: jego wybory oraz homoseksualizm zdeterminowały życie całej rodziny, a udar i decyzja o poddaniu się eutanazji postawiły jego córki przed ogromnym dylematem moralnym.

Film powstał na podstawie autobiograficznej książki Emmanuèle Bernheim. Mówi o odejściu, jednocześnie niesie nadzieję. Kręcił pan film o śmierci czy bardziej o życiu?

– Sytuuję się po stronie życia, chociaż mój film rzeczywiście mówi o śmierci. Paradoks opowiadanej przeze mnie historii polega na tym, że bohater pragnie umrzeć właśnie dlatego, że bardzo kochał życie. Ojciec Emmanuèle patrzył śmierci w oczy – stanowiła dla niego nieodłączną część ludzkiej kondycji. Nie życzył sobie też, aby córki go opłakiwały, odejście było dla niego czymś całkowicie naturalnym. We współczesnych społeczeństwach Zachodu śmierć stała się czymś wstydliwym, ukrywa się ją podobnie jak choroby. Zapominamy, że towarzyszy nam od zawsze, od chwili naszego przyjścia na świat.

> Nie wiem, czy filmy mogą zmienić świat, ale pozwalają go lepiej zrozumieć.

Również w tym dziele powraca stale obecny w pana twórczości wątek kłamstwa – jako przekleństwa i jako wyzwolenia.

– Powiedziałbym, że w obliczu decyzji o zakończeniu życia kłamstwo i gra pozorów przestają odgrywać rolę tarczy, za którą ukrywamy nasze cierpienie. To prawda, że dzięki kłamstwom możemy czuć się lepiej – prawda może zabić, chyba że się ją zaakceptuje, jak bohaterki mojego filmu. Wybierając śmierć, ich ojciec daje im okazję do szczerości. Mogą sobie pozwolić na rozrachunki i pojednanie, ponieważ wiedzą, że niebawem już go nie będzie. Wszystko jest zawsze kwestią ceny.

Bohaterowie „Wszystko poszło dobrze" wywodzą się z bardzo uprzywilejowanej klasy społecznej. Nie zapewnia im to jednak szczęścia.

– Nikt nie ma recepty na szczęście, nawet jeśli jest bogatym przedsiębiorcą jak ojciec bohaterek. Małość, cierpienie i żałoba istnieją wszędzie, wszędzie istnieją też dobrzy i źli ludzie. To prawda jednak, że środowiska francuskiej arystokracji i burżuazji nigdy nie grzeszyły empatią czy szlachetnością uczuć, to kwestia całego systemu wychowania, opartego na hipokryzji. Moje postacie powracają więc z bardzo daleka.

W rodzinie Bernheimów córki musiały znosić homoseksualizm ojca i głęboką depresję matki. W filmie pojawia się również postać jego kochanka.

– Istniał naprawdę i obie córki go nie znosiły. Uważały go za żigolaka, czyhającego na majątek ojca, ja jednak próbowałem dostrzec w tym burzliwym związku historię uczucia, oczywiście niedoskonałego. Życie rodzinne Bernheimów na pewno nie było proste, ale prawie każda rodzina jest toksyczna. Nawiasem mówiąc, postać matki, zdolnej rzeźbiarki, zasługuje na odrębny film. Emmanuèle miała jej za złe, że nigdy się nie rozwiodła i poświęciła swoją karierę dla egoisty, który bez skrupułów korzystał z życia. Była symbolem kobiety ofiary.

Niektórzy krytycy we Francji zarzucali panu, że filmuje pan śmierć u bogaczy.

– To prawda, że pieniądze ułatwiają nawet śmierć, biedacy nie mogą sobie pozwolić na podróż do Szwajcarii, aby tam zakończyć życie w wybranej klinice. Mało tego, często nie stać ich nawet na leczenie! Aspekt ekonomiczny problemu był dla mnie bardzo ważny – pragnąłem

eprasa.pl d48cff2080

François Ozon z Sophie Marceau na planie filmowym.

ukazać, że nawet sposób umierania zależy od stanu konta. To rażąca niesprawiedliwość, moim zdaniem każdy człowiek powinien mieć prawo wyboru.

Czy film wywołał we Francji dyskusję na temat eutanazji? 80% Francuzów opowiada się w sondażach za jej legalizacją.

– To bardzo złożony problem. Niektórzy lewicowi politycy próbują bronić istniejącego projektu prawa zezwalającego na eutanazję, jednak z racji wciąż żywej we Francji tradycji judeo-chrześcijańskiej ustawa czeka na lepszy moment. Mimo obietnic prezydent Macron nie zmienił niczego w tej kwestii.

Od śmierci autorki książki minęło osiem lat. Dlaczego tak długo czekał pan z filmową adaptacją?

– Początkowo nie byłem pewien, czy znajdę dla siebie miejsce w tak intymnej rodzinnej opowieści. Powiedziałem to Emmanuèle, którą dość dobrze znałem. Kiedy kilka lat później zmarła, przeczytałem jej książkę ponownie. Odebrałem ją z zupełnie innej perspektywy i poczułem, że tym razem jestem gotów.

Bohaterowie pana filmów nie są nigdy osobami szczęśliwymi, spełnionymi do końca. Czy szczęście w ogóle istnieje?

– Szczęście nie jest stanem permanentnym – nasze uczucia czy aspiracje skazane są z najróżniejszych przyczyn na klęskę. Zawsze interesowali mnie bohaterowie, którym los przeszkodził w realizacji najintymniejszych pragnień, którzy musieli toczyć walkę, aby pozostać sobą. Ich porażka nie jest jednak klęską – mają za sobą przebytą drogę. Droga jest najważniejsza.

Pracuje pan bardzo szybko, już jest gotowy kolejny film.

– „Peter von Kant" miał premierę na festiwalu w Berlinie. Jest hołdem złożonym niemieckiemu realizatorowi Rainerowi Wernerowi Fassbinderowi i jego sztuce „Gorzkie łzy Petry von Kant". Każdy mój film jest inny, nie chcę się powtarzać i nie znoszę rutyny. Najważniejsza jest jednak odczuwana przyjemność: uwielbiam opowiadać historie. Nie uciekam przed samym sobą, ale to prawda, że wciąż szukam czegoś nowego.

Chętnie staje pan również za kamerą.

– Upraszcza mi to pracę: mogę od razu wyobrażać sobie fazę montażu i przewidywać reakcję widzów. Dużo łatwiej jest mi także prowadzić aktorów czy planować kolejne sceny. I po prostu to lubię.

Co determinuje pana filmowe wybory?

– Historia. Muszę w niej się zakochać. Proces formalnych wyborów następuje później, ale zawsze czekam na niego z dużą niecierpliwością. Obraz, dźwięk i montaż to dla mnie kwintesencja sztuki filmowej.

Ma pan za sobą ponad 30 lat pracy w zawodzie. Co zmieniło się w pana spojrzeniu na sztukę filmową i samo życie?

– Aby uniknąć depresji, staram się nie zadawać sobie tego typu pytań. Wydaje mi się tylko, że wszystko toczy się coraz szybciej i czasami obawiam się, że pewnego dnia po prostu nie nadążę. Zdaję sobie jednak sprawę z tego, że jestem bardzo uprzywilejowany: dysponuję ogromną wolnością twórczą. Sprawa jest bardziej skomplikowana, jeśli chodzi o życie prywatne. Ale o tym nie będę mówił.

Czy udało się panu oswoić sukces?

– Miałem dużo szczęścia, udało mi się połączyć sukces artystyczny z sukcesem komercyjnym. Ponieważ jestem również producentem, zawsze się zastanawiam, jaka będzie reakcja publiczności. Moje ego nigdy nie jest dla mnie najważniejsze. Staram się zachować zdrowy rozsądek i nie przejmuję się specjalnie porażkami – wiem, że niektóre filmy po prostu nie trafiają na ekrany w odpowiednim momencie. Czasami docenia się je po latach.

Nasza epoka, pandemii oraz kryzysu politycznego i ekonomicznego, jest epoką końca dotychczasowych kodów. Czy kino przeżyje?

– Mam nadzieję. Kino będzie wciąż poruszało ważne tematy. Nie wiem, czy filmy mogą zmienić świat, ale jestem przekonany, że pozwalają go lepiej zrozumieć. Kino analizuje rzeczywistość, wychodząc z punktu widzenia indywidualnego człowieka. To jego wielka siła.

Co dalej?

– Zamierzam kontynuować moją filmową drogę. W życiu zawsze należy pozostawiać wszystkie drzwi otwarte. Jeśli je zamykać, to wyłącznie za sobą. ■

FOT. AURORA FILMS

eprasa.pl d48cff2080

FESTIWAL

28. Międzynarodowy Plenerowy Festiwal Jazz na Starówce Emmet Cohen Trio

Wszechstronny, utytułowany amerykański pianista i kompozytor jest jedną z najważniejszych postaci swojego pokolenia na nowojorskiej scenie jazzowej. Zaledwie 31-latek – który naukę gry na fortepianie zaczął, mając trzy lata – już stał się punktem odniesienia dla przyszłych pokoleń muzyków jazzowych. W czasie lockdownu w 2020 r. stworzył „From Emmet's Place", cotygodniową serię koncertów swojego tria i specjalnych gości, takich jak Christian McBride, Nicholas Payton czy Joe Lovano, które transmitowane były na żywo z jego mieszkania w Nowym Jorku i miały ok. 8 mln wyświetleń na YouTubie. Jego (dopiero drugi) koncert w Polsce będzie wydarzeniem i odkryciem dla fanów pianistyki jazzowej. **Więcej na: www.jazznastarówce.pl.**

(ap)

WARSZAWA, RYNEK STAREGO MIASTA, 9 LIPCA, GODZ. 19

KURTYNA W GÓRĘ

„Orlando. Biografie", reż. Agnieszka Błońska, Teatr Powszechny, premiera 25 czerwca 2022

Kim jesteś?

To pytanie stawia Agnieszka Błońska w brawurowym spektaklu w warszawskim Teatrze Powszechnym. Korzystając z ramy fabularnej powieści Virginii Woolf (1928), w którą wtopiła zwierzenia współczesnych bohaterek/ów sceny queerowej, zbudowała show o potrzebie tolerancji, wzajemnego szacunku i wolności. Doznania Orlanda/dy odmalowała wyraziście Klara Bielawka i jej alter ego Maria Robaszkiewicz.

Aktorom Teatru Powszechnego partnerowali wykonawcy/czynie o płynnej tożsamości płciowej. Wśród nich najstarsza polska drag queen Lulla La Polaca, czyli Andrzej Szwan, którego przygotowania do występu w towarzystwie Andrzeja Brykalskiego stanowią jądro spektaklu – ich wspólne wykonanie przeboju Sławy Przybylskiej „Już nigdy" wzbudziło prawdziwy entuzjazm widowni. Obok Lulli na scenie Teatru Powszechnego pojawiło się wielu/wiele innych osób nienormatywnych, m.in. przebojowa/y Filipka Rutkowska.

Scalenie idealnie ze sobą współpracującego zespołu aktorskiego z wykonawców o tak różnych doświadczeniach i warsztacie sprawiło, że powstał nie tylko spektakl w słusznej sprawie – opowiadający się za wolnością wyboru i prawem do ekspresji swojej seksualności, ale zarazem spektakl znakomicie skrojony. Dla osób cispłciowych ten spektakl okazał się wielkim przywilejem – z ogromnym taktem, delikatnością wprowadzał bowiem w nieznany im świat doznań, potrzeb i doświadczeń nienormatywnych. To ważny krok w stronę wzajemnego zrozumienia.

Tomasz Miłkowski

W SIECI

20. Międzynarodowy Festiwal Filmowy Tofifest

Wszystko, co najlepsze na jubileuszowej, 20. edycji MFF Tofifest. Kujawy i Pomorze, będzie w tym roku dostępne dla widzów w całym kraju. Dzięki pokazom online poznamy m.in. zupełnie nieodkryte kino fińskie. Wśród obowiązkowych filmów tej kinematografii są „Aalto – z miłości do architektury", przejmujący dokument o małżeństwie współczesnych architektów, „Madam President", którego główną bohaterką jest fińska polityczka Tarja Halonen, czy „Maija Isola" jednej z najsłynniejszych projektantek tkanin XX w. Dostępne będą też aktualne filmy poświęcone tematowi ekologii, choćby „The Last Male on Earth" o wyginięciu białych nosorożców. Osobną sekcją są filmy poświęcone silnym, niezależnym kobietom, takim jak bohaterka „Poetki z Arabii", Hissa Hilal, która bierze udział w telewizyjnym show „Million's Poet", największym konkursie poetyckim w świecie arabskim, oczywiście dla mężczyzn. Pokazy będą dostępne do 11 lipca na stronie **tofifest.pl.**

(at)

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MAGDA HUECKEL, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d48cff2080

Duda – jastrząb czy nielot?

Sporo dni minęło od konferencji ambasadorów, a w gmachu przy al. Szucha wciąż jest ona obiektem żartów. Z jakiego to powodu? Ech, każdy to wie – konferencja ambasadorów to raczej wydarzenie towarzyskie – żeby spotkać wszystkich ważnych, wyczuć nastroje itd. Po drugie, żeby w zamkniętych gronach omówić jakieś istotne tematy. A reszta, czyli wystąpienia oficjeli (z reguły wiadomo, co powiedzą), to raczej dekoracja.

Bum! Tym razem dekoracja przemówiła! I to jak!

Andrzej Duda dał ambasadorom wykład z polskiej historii. Brzmiał on tak: „Proszę państwa, naszą historię w dużym bardzo uproszczeniu – historycy pewnie powiedzą, że to trochę prymitywne – można sprowadzić do dwóch elementów. Nasza historia, te ponad 1050 lat, to jest de facto – jakby tak ścisnąć i mocno się przyjrzeć – 1050 lat wojen z Niemcami i 500 lat wojen z Rosją".

Tak oto dowiedzieliśmy się za jednym razem dwóch rzeczy – że nasz prezydent pojmuje świat na poziomie kursu historii dla gimnazjalistów i że polska polityka kieruje się teorią dwóch wrogów.

I stosownie do tej teorii ma działać dyplomacja. Czyli jak?

Po pierwsze, czynić wszystko, by wzmacniać Ukrainę i osłabiać Rosję. „Trzeba tak dokręcić śrubę, tak pomóc Ukrainie i taką politykę sankcji wprowadzić, żeby to Władimir Putin prosił liderów o rozmowę. I wtedy można z nim rozmawiać – kiedy to on będzie prosił o to i szukał możliwości znalezienia jakichś warunków do zakończenia wojny, bo wtedy będzie można mu te warunki podyktować. A dopóki tego nie będzie, to każdy, kto do niego dzwoni, jest po prostu proszącym".

A po drugie, tak działać w innych krajach, zwłaszcza Zachodu, by zniechęcać do prób rozmów z Rosją. Tłumaczyć, „że to nie jest zabawa i tu nie ma miejsca dla żadnego business as usual".

Stosownie do teorii dwóch wrogów Duda opisuje świat. Siły, na których opierać ma się pozycja Polski, to Stany Zjednoczone i takie twory jak Trójmorze czy Format Bukareszteński, czyli dziewięć państw ze wschodniej flanki NATO, od Bułgarii po Estonię.

Nie wspomina za to o wspólnocie Zachodu, o Unii Europejskiej (to dla niego Niemcy), to jest obcy obszar, nad którym trzeba propagandowo pracować.

Duda wołał więc do ambasadorów: „Rozmawiajcie przy każdej okazji, udzielajcie wywiadów, nie ustawajcie w pracy – bądźcie po prostu aktywni". Zachęcał ich też, by organizowali mu wizyty. Mówił więc: „Jeżeli będą państwo uważali, że moja obecność gdzieś i moje spotkania – czy to z prezydentami, czy z innymi przedstawicielami władz w krajach, w których reprezentujecie Polskę – mogą uczynić różnicę, poinformujcie nas o tym, moich współpracowników z panem ministrem Jakubem Kumochem na czele, czy mnie osobiście w czasie różnego rodzaju okazji do spotkań, czy też w razie czego proszę wysłać do mnie list, jeżeli trzeba, do rąk własnych (…). Listy od ambasadorów do mnie dochodzą. I czytam je. Są to dla mnie sprawy ogromnie ważne".

Tak oto zachęcał do korespondencji poza plecami szefa MSZ i premiera. Co psuje państwo. A poza tym technicznie też jest trudne do wyobrażenia – bo obojętnie, czy to szyfrogram, czy list – bez wiedzy ludzi ministra Kamińskiego taka korespondencja do Pałacu Prezydenckiego nie dotrze.

Oto więc Duda, niby jastrząb, a nielot.

Attaché

Robotnicy przenoszą paczki juty na targu w mieście Manikganj w Bangladeszu. Juta jest tu nadal uważana za „złote włókno".

FOT. REX FEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl d48cff2080

JOLKA

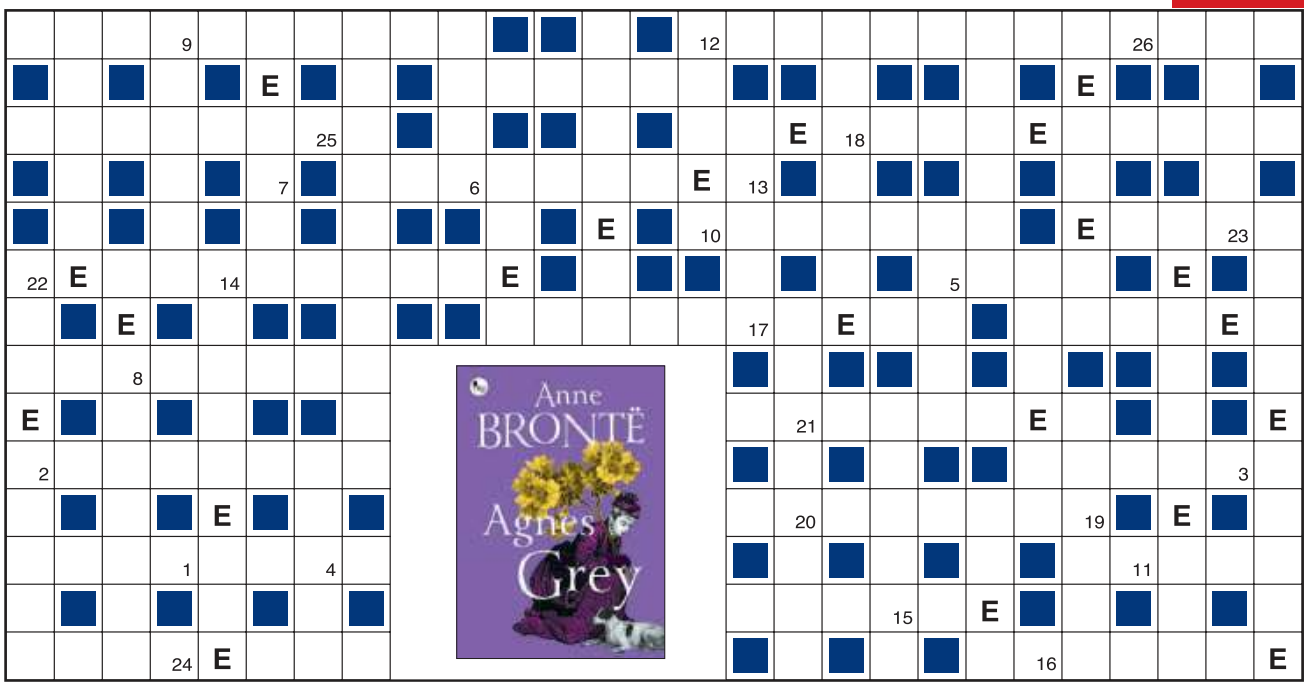

1	2	3	4	5	6	7	8	9

10	11	12	13	14	15	16	17

18	19	20	21	22	23	24	25	26

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery E ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą końcowe hasło.

- studenci w nim mieszkają
- wafel przekładany masą
- wyrzeka się wygód i przyjemności
- karciane kłamstewko
- szeroka ulica nadbrzeżna
- urząd ten sprawował Katon Starszy
- oferma, ślamazara
- strój na trening
- kulisy srebrnego omawiali Kociniak i Zaorski
- widok naklejany na ścianę
- dręczyciel, prześladowca
- córka rybaka, Mazura z Mazur
- świętego lub błogosławionego wybierane na bierzmowanie
- cudzoziemka osiedleńczyni
- dawniej znany jako Persja
- obrączki do skuwania
- czerwona pokazywana na boisku
- „…jesienny na dwa świerszcze”
- duże naczynie do noszenia i przechowywania płynów
- muzyk z monodramu Patricka Süskinda
- uczestnik aukcji
- bobkowe w kuchni
- państwo z Marrakeszem
- królowa, władczyni
- częste na drożyznę albo pogodę
- myślą o niej w Szkocji, Katalonii
- nietoperze z mroczkowatych
- wzdłuż tej rzeki granica RPA i Namibii
- komplikacje życiowe, kłopoty
- dla lakiernika lub do zmywania i solenia ulic
- zimny ochłodzi albo pozbawi złudzeń
- bufon, zarozumialec
- artystyczne wygłaszanie wiersza
- dziennikarka w terenie
- okrągła do świętowania
- dom szeregowy lub mebel
- środkowy obrońca w piłce nożnej
- złociste – psowate widywane już w Polsce
- reprezentacyjna chorągiew np. szkoły
- zna się na posługiwaniu oddziałami wojskowymi
- klejąca to skocz
- ręce – klaskanie, nogi – ?
- był nim w Atenach Pizystrat
- ojcostwa lub stosunku pracy
- wszywana pod podszewkę jako ocieplenie
- furman, stangret
- ekspert, koneser

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1072”. Do rozlosowania książki „Agnes Grey” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 10 lipca 2022 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1069” z nr. 25: *Kłamstwa bywają atrakcyjne.*
Nagrody otrzymują: Jan Bucior z Zagródek, Grzegorz Jóźwik z Legnicy, Zbigniew Żbikowski z Gorzowa Wielkopolskiego.

eprasa.pl d48cff2080

PENETRACJE

POLITYKA

PROF. STEVE KEEN, AUSTRALIJSKI EKONOMISTA

A jak to się stało, że Rosja, która 30 lat temu chciała być jak Zachód, stała się naszym wrogiem? To była gospodarka w poważnym kryzysie, ale – mimo lat komunizmu – dość bliska gospodarce biedniejszej części Zachodu i dużo bardziej zaawansowana niż gospodarka chińska czy indyjska. Dziś Chiny radykalnie wyprzedziły Rosję i gonią gospodarki zachodnie, a Zachód kompletnie Rosji uciekł. Dlaczego tak się stało? Bo kiedy po likwidacji Związku Radzieckiego Rosja wpadła w katastrofalny kryzys, amerykańscy ekonomiści z najlepszych uniwersytetów przekonali rosyjskich polityków do radykalnej rewolucji rynkowej. Gwałtowne puszczenie gospodarki na żywioł miało szybko przywrócić równowagę. A spowodowało totalną katastrofę rosyjskiej gospodarki.

odra

MARCIN FILIPOWICZ, SYN KORNELA

Wstąpiliśmy do księgarni, bo Wisława Szymborska chciała kupić kalendarz ścienny na nowy rok. Oglądaliśmy przeróżne – np. ze starymi samochodami z PRL. Wreszcie natrafiliśmy na kalendarz całkowicie poświęcony bitwie pod Grunwaldem. To trafiło w jej poczucie humoru. Ze śmiechem stwierdziła: „Bitwa pod Grunwaldem w toalecie". Kalendarz miał bowiem zawisnąć w tym właśnie pomieszczeniu. Swoją drogą i ona, i ojciec mieli zwyczaj wieszania w toalecie dość niecodziennych pamiątek. On w swojej toalecie wieszał dyplomy, jakie otrzymywał w czasie spotkań z przyjaciółmi. Pamiętam treść jednego z nich: „Za zbliżone do trafnego wytypowanie wyniku meczu Polska-Niemcy".

PANI

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ, SATYRYK, POETA

Po sukcesie w Opolu, gdy dostałem pierwszą nagrodę, przyszedłem do hotelu Opole i zamówiłem w barku dużą lufę z sokiem pomarańczowym. Obok stał Boguś Łazuka: „Synu, oglądałem cię, to co zrobiłeś, to jest w porządku. Ale muszę ci jedną rzecz powiedzieć", zaczął udzielać mi rady. Myślałem, że usłyszę coś specjalnego od wybitnego artysty, a Boguś mówi: „Zapamiętaj, synku, żeby kac nigdy nie wyprzedził klina".

zwierciadło

ANDRZEJ BARGIEL, JAKO PIERWSZY W HISTORII ZJECHAŁ NA NARTACH Z K2 I BROAD PEAK

Mam szacunek do szerpów. Zauważyli to. „Nie chciałbyś z nami pracować?" – pytali. Nie ma specjalnej więzi między wspinaczami a szerpami. Wspinacze sprowadzają szerpów do roli pomocników. Są osobne namioty dla szerpów, osobne dla wspinaczy. Zawsze starałem się to przełamywać. Ktoś z Europy wchodzi na szczyt ośmiotysięczny, wprowadza go pięciu szerpów, a to on jest bohaterem. Szerpowie są bezimienni. To niesprawiedliwe. Symboliczne więc było, kiedy zdobyli zimą K2.

Lody, lody, mięsne lody dla ochłody w ogrodzie zoologicznym w Rzymie.

FOT. AFP/EAST NEWS

Aby język giętki…

GEN. BOGUSŁAW PACEK
O WOJNIE W UKRAINIE

Mamy mylne przeświadczenie, że Ukraina dobrze sobie radzi w wojnie z Rosją. Ukraińcy walczą heroicznie, ale niewiele są w stanie zrobić.

STANISŁAW KOSTRZEWSKI
O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

W otoczeniu prezesa zaczęło przybywać donosicieli, manipulatorów. Osób miałkich intelektualnie, pozbawionych jakiejkolwiek ideowości.

WITOLD BEREŚ
O KRZYSZTOFIE GLOBISZU

Jest z tej generacji aktorskiej, która uważa, że zanim się zacznie grać, trzeba wszystko przepuścić przez intelekt, przeczytać wszystko, co się da, związane z granym tematem.

DANIEL OLBRYCHSKI
O BOGUSŁAWIE LINDZIE

Są tacy aktorzy, którzy cokolwiek by robili ich partnerzy, to patrzy się na nich. Boguś do nich należy.

PAWEŁ TOMASZEWSKI
O GRZEGORZU WIŚNIEWSKIM

Przez trzy miesiące byłem uczestnikiem obłędu tego człowieka. Jego manipulacji, zastraszania, znęcania się, dręczenia, nadużyć na każdej płaszczyźnie, nie wykluczając sfery seksualnej.

PABLOPAVO O POEZJI

Ludzie poezji trochę się boją. Chcieliby ją zrozumieć, a wystarczy czasem ją poczuć.

MARYLA RODOWICZ O TVP

To potężne medium i zarazem jedyna telewizja, która robi takie koncerty. Jak zacznę bojkotować TVP, to co mi zostanie?

BOGNA SWOROWSKA O SOBIE

Nie jestem z tych kobiet, które mówią, że czegoś nie wypada albo na coś jest za późno.

STEFAN MAJEWSKI
O CZESŁAWIE MICHNIEWICZU

Kiedy prowadziłem Amikę Wronki, on był rezerwowym bramkarzem, bez większych szans na wygranie rywalizacji. W żadnym innym klubie kariery też nie zrobił.

eprasa.pl d48cff2080

MEMY BEZ ŚCIEMY

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Ucieleśnianie – tak, umniejszanie – nie!

Władze Chin wydały kolejne wytyczne dla influencerów. Od internetowych celebrytów oczekują m.in. „aktywnego ucieleśniania podstawowych wartości socjalistycznych", a zakazują – „umniejszania grup o niskich dochodach w celu pochwalenia się swoim bogactwem" oraz pokazywania marnowania żywności. Co więcej, chińscy influencerzy nie mogą wypowiadać się na takie tematy jak prawo, finanse i medycyna, chyba że mają specjalistyczne kwalifikacje. Cała inicjatywa ma nasze wstępne poparcie, jednocześnie podpowiadamy kolejną: podatek od selfies.

Nekromancja? Nie, Alexa

Amazon ogłosił, że już niedługo oferowana przez niego tzw. asystentka głosowa będzie mogła komunikować się z domownikami głosami ich zmarłych krewnych. Dysponując zaledwie minutą materiału, Alexa jest w stanie nauczyć się tembru i sposobu mówienia danej osoby (rzecz jasna także żyjącej). Firma zaprezentowała tę funkcję w formie wideo, na którym wnuczek prosi urządzenie, aby poczytało mu na dobranoc „Czarnoksiężnika z krainy Oz", ale „głosem babci" – a maszyna spełnia jego życzenie. Czy to oznacza, że i złośliwości toksycznego dziadunia mogą z nami zostać na wieki?

Sztygarzy do lamusa

W Pilbarze w Australii zaczęła działać kopalnia rudy żelaza, w której większość prac wykonywana jest przez maszyny nadzorowane z odległego o 1,5 tys. km centrum operacyjnego w Perth. W zakładzie wykorzystano m.in. samobieżne ciężarówki i pociągi z urobkiem, bez udziału pracowników odbywa się także choćby zakładanie ładunków i badanie próbek skał. Koncern Rio Tinto zainwestował w przedsięwzięcie równowartość 3,5 mld dol. (tych amerykańskich), licząc na długofalowe oszczędności. O ile tańsze będą choćby obchody Barbórki!

Masz człowieku placek!

Czynnik ludzki jest powoli eliminowany także z… kuchni włoskiej. Firma Nala Robotics z Illinois stworzyła autonomiczny system do wypieku pizzy, którego kluczowym elementem jest mechaniczne ramię. Maszyneria wałkuje ciasto, smaruje je sosem i nakłada dodatki, a następnie piecze placek, kroi go i pakuje w pudełko. Twórcy rozwiązania podkreślają, że na życzenie restauratora mogą wzbogacić robotyczną kuchnię o stanowiska do przygotowywania innych posiłków, a następnie nauczyć ją nowych procedur. Podobno Pizzaiola ma jeszcze jedną przydatną funkcję: jest odporna na krytykę, nawet ze strony samej Magdy Gessler.

CYTATY

ANDRZEJ SEWERYN,
aktor, dyrektor Teatru Polskiego
Zbyt optymistyczne myślenie o człowieku jest naiwne i nierozsądne, jest świadectwem naszej krótkiej pamięci.
„Twój Styl"

ANNA DZIEWIT-MELLER, felietonistka
Co czwarty Polak czuje się wypalony zawodowo. Można zrozumieć, że młodzi odmawiają udziału w tej sztafecie zmęczonych pokoleń.
„Polityka"

KRZYSZTOF DAUKSZEWICZ,
satyryk
Nie szaleję, gdy przychodzi sukces, nie dramatyzuję, gdy przychodzi nieszczęście.
„PANI"

PROF. ROCH SULIMA,
kulturoznawca
Cenzorki wymarły. Nie ma już tych staruszek, które siedziały na ławeczkach przy drodze albo przy oknie w izbie.
„Tygodnik Powszechny"

eprasa.pl d48cff2080

W Światowy Dzień Bursztynu (28 czerwca) dowiedziono, że w kolekcji gdańskiego Muzeum Bursztynu znajduje się największa bryła tego kruszcu na świecie. Eksponat waży 68,2 kg i wiadomość o nim niebawem trafi do Księgi Rekordów Guinnessa.

Do zakochania jeden list

Japońskie miasto Miyazaki zachęca miejscowych singli do szukania miłości za pośrednictwem tradycyjnych listów, wypartych przez aplikacje randkowe. – Trwa to dłużej i sprawia, że wyobrażasz sobie osobę, z którą się kontaktujesz – skomentowała Rie Miyata, szefowa firmy, której lokalne władze zleciły prowadzenie programu. Kandydaci są wstępnie łączeni w pary na podstawie m.in. zainteresowań i wysyłają do siebie do pięciu listów (bez zdjęć!). Jeśli po wyczerpaniu tego limitu wyrażą zainteresowanie spotkaniem, organizator udostępnia im dane kontaktowe. Marysieńka byłaby całą inicjatywą szczerze wzruszona!

FOT. A-MEM, MEMY GORSZEGO SORTU, PIS NA KSIĘŻYC, PIC NA WODĘ FOTOMONTAŻ, ANNA REZULAK/KFP/REPORTER

Przegląd

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego:
Paweł Dybicz **e-mail:** p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępcy redaktora naczelnego:
Roman Kurkiewicz **e-mail:** r.kurkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Robert Walenciak **e-mail:** r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji:
Joanna Wielgat **e-mail:** j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Marcin Ogdowski, Jan Ordyński, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek **e-mail:** a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska **e-mail:** a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych:
Sandra Zawadzka **e-mail:** s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Izabela Strupiechowska
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

FUNDACJA ORATIO RECTA

eprasa.pl d48cff2080

Złotoujście

Jacuzzi

Jacek Yerka – Magiczne Światy

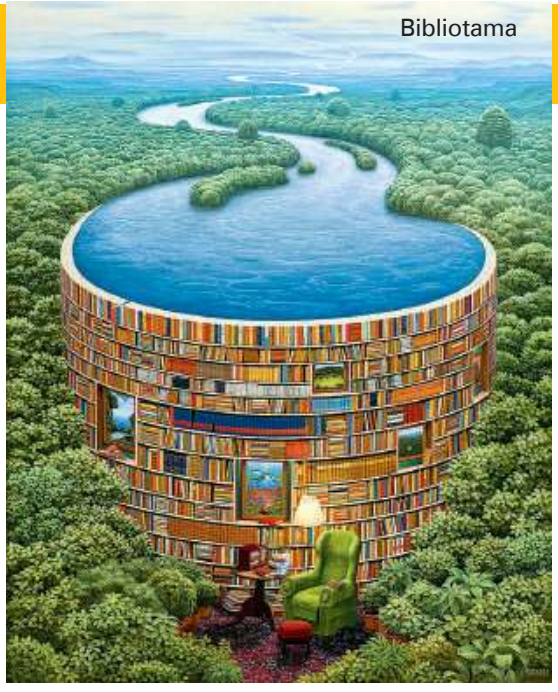
Bibliotama

Rekordy, jakie biją na aukcjach płótna Jacka Yerki, sytuują go w wąskim gronie najdroższych polskich malarzy wśród artystów żyjących. 5 lipca w galerii Agry zostanie otwarta niekomercyjna wystawa malarstwa Yerki – pierwsza tak duża ekspozycja jego dzieł i niepowtarzalna okazja, aby obejrzeć kilkadziesiąt obrazów jednego z najwybitniejszych przedstawicieli realizmu magicznego. Jego obrazy od lat trafiały prosto z pracowni do prywatnych kolekcji lub na aukcje. Jedyną możliwością, aby obejrzeć choć niektóre z nich, są wystawy przedaukcyjne. W galerii Agry można zobaczyć kilkadziesiąt płócien Yerki, powstałych w latach 1980-2022, m.in. jedno z najbardziej rozpoznawalnych – „Bibliotamę", słynne „Złotoujście" sprzedane w 2021 r. za rekordową kwotę 984 tys. zł, a także imponujących rozmiarów tryptyk „Drzewko poziomkowe".

W czasie trwania wystawy planowane są wydarzenia towarzyszące, m.in. spotkania z artystą.

Dom Aukcyjny Agra-Art
Warszawa, ul. Wilcza 70
do 3 września

Drzewko poziomkowe

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl d48cff2080

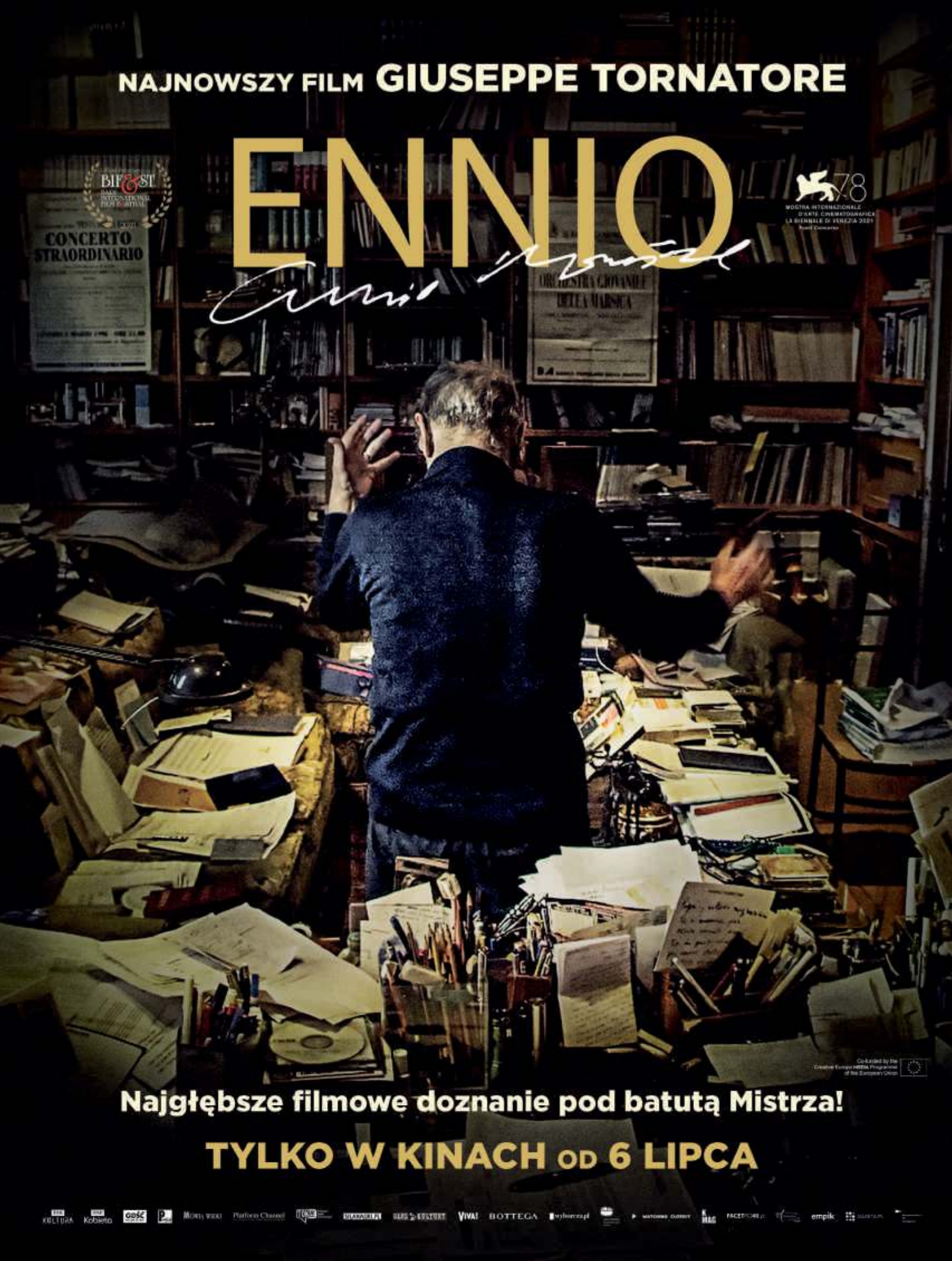
NAJNOWSZY FILM GIUSEPPE TORNATORE
ENNIO
Ennio Morricone
78
MOSTRA INTERNAZIONALE D'ARTE CINEMATOGRAFICA LA BIENNALE DI VENEZIA 2021
Fuori Concorso
CONCERTO STRAORDINARIO
ORCHESTRA GIOVANILE DELLA MARSICA
Co-funded by the Creative Europe MEDIA Programme of the European Union
Najgłębsze filmowe doznanie pod batutą Mistrza!
TYLKO W KINACH OD 6 LIPCA
KULTURA
Kobieta
Platform Channel
VIVA!
BOTTEGA
empik

eprasa.pl d48cff2080